



POETA, STRAŻNIK I WIĘZIEŃ

LEE JUNG - MYUNG

Tę powieść pokochają wielbiciel *Cienia wiatru*
i *Skazanych na Shawshank*.

Świat Książki

LEE JUNG-MYUNG
POETA, STRAŻNIK
I WIĘZIEŃ

Z angielskiego przełożył
Jan Kraśko

Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
THE INVESTIGATION

Wydawcy
Grażyna Woźniak
Agnieszka Koszałka

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Konsultacja koreanistyczna
Anna Wojakowska-Kurowska

Redakcja
Elżbieta Kobusińska

Korekta
Jan Jaroszek
Michał Markiewicz

First published 2014 by Mantle, an imprint of Pan Macmillan
a division of Macmillan Publishers Limited
Copyright © Lee Jung-myung 2014
Copyright © for the Polish translation by Jan Kraśko 2016

Świat Książki
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Łamanie
MAGIK,

Druk i oprawa
Opolgraf SA

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-329-3
Nr 90096868

PROLOG

RZECZY DAWNO MINIONE MIGOCZĄ JAK ŚWIETLIKI

Życie może nie mieć celu. Śmierć jednak wymaga jasności - nie po to, by udowodnić, że w ogóle nastąpiła, tylko dla dobra tych, którzy przeżyli. Nauczka, jaką otrzymałem ubiegłej zimy, uczyniła mnie tym, kim teraz jestem. Wojna wychłostała mnie jak burza piaskowa. Choć byłem wycieńczony, wyniszczony, powoli dorastałem. Dojrzałem, okrzepłem fizycznie, zdobyłem doświadczenie i pewnie można by mi pogratulować, lecz zapłaciłem za to wysoką cenę. Nie mogę stać się na powrót tym, kim byłem przedtem, w czasach, gdy nie zdawałem sobie sprawy z okrucieństwa świata, panoszącego się wśród nas zła czy potęgi wersetu.

Wojna skończyła się piętnastego sierpnia 1945 roku. Osadzonych uwolniono, ale ja zostałem. Zmieniło się jedynie to, że teraz ja jestem za kratami i zamiast brązowego munduru strażnika mam na sobie czerwony przyodziewek więźnia. Na mojej piersi widnieje numer wydrukowany wyraźnie ciemnym tuszem: D29745. Nie do końca rozumiem, dlaczego tu się znalazłem. Podczas wojny byłem żołnierzem, strażnikiem w więzieniu w Fukuoce. Obecnie Amerykanie uznali mnie za podrzędnego zbrodniarza wojennego. Siedzę dokładnie w tej samej celi, którą kiedyś nadzorowałem, w wielkim więzieniu za wysokim ceglany murem zwieńczonym ostrym drutem kolczastym, w gmachu pełnym grubych krat i ceglanych pomieszczeń, które pochłonęły życie wielu tysięcy ludzi.

Błede promienie słońca padają na ciemną drewnianą podłogę, w którą jeszcze niedawno wsiąkała ropa i krew. Na prostokątnym kawałku światła, jak na papierze, piszę palcem kilka słów. Mam prężne mięśnie, gładką skórę i czerwoną krew, lecz moje oczy widziały zbyt dużo okrucieństwa. Skończyłem dopiero dwadzieścia lat.

Amerykańscy wojskowi oskarżyli mnie o maltretowanie więź-

niów. To chyba logiczne, bo nawet ja nie powiem, że jestem niewinny. Tak, maltretowałem więźniów, czasem z rozmysłem, czasem nie zdając sobie z tego sprawy. Krzyczałem na nich i biłem ich. Muszę ponieść za to karę. Ale jeszcze większą winę ponoszę za coś innego: za zbrodnię bierności. Za to, że nie zapobiegłem niepotrzebnej śmierci tylu ludzi. Że milczałem w obliczu szaleństwa. Że zatykałem sobie uszy, by nie słyszeć krzyku niewinnych.

Historia, którą zaraz usłyszycie, nie jest o mnie: to opowieść o tym, jak wojna niszczy naszą rasę. Opowieść o istotach pozbawionych człowieczeństwa i o najczystszych z ludzi. O jasnej gwiazdzie, która przemknęła przez nasz mroczny wszechświat dziesięć tysięcy lat temu. Naprawdę nie wiem, gdzie ta historia się zacznie, jak się skończy ani nawet czy uda mi się ją zamknąć. Po prostu wszystko spiszę. Będzie to opowieść o dwóch mężczyznach, których poznałem w Fukuoce. W kiszkowatej celi wspominam ich życie za wysokimi ceglanyimi murami, na zalanym słońcem dziedzińcu i w cieniu strzelistych pól. Życie więźnia i strażnika, poety i cenzora.

CZĘŚĆ PIERWSZA

PRZYBYŁEM JAKO OBCY I OBCYM TEŻ ODCHODZĘ

Brzask. Dźwięk dzwonka rozdarł stężałe powietrze. Co się stało? Ktoś uciekł? Zerwałem się z twardej pryczy. Na dworze było jeszcze ciemno. Właśnie sznurowałem buty, gdy na długim korytarzu zamigotało światło.

Z trzeszczących głośników popłynął nagły głos: - Wszyscy strażnicy stawiają się w swoich rejonach i sprawdzą obecność. Natychmiast meldować o wszelkich nieprawidłowościach. Strażnik z Oddziału Trzeciego: zająć stanowisko przed wejściem do głównego korytarza!

Nocny obchód, który zaczynał się punktualnie o dziesiątej wieczorem, zawsze odbywało nas dwóch. Inspekcja wszystkich cel po obu stronach długiego korytarza oraz sprawdzenie wszystkich zamków trwały dwie godziny bez dziesięciu minut. Zmienialiśmy się o północy, o drugiej i czwartej nad ranem. Sugiyama Dozan, z którym miałem służbę, był starym, ponadczterdziestoletnim weteranem. Gdy po obchodzie o drugiej wróciłem do wartowni, siedział na łóżku i zakładał owijacze. Wyszedł z pokoju bez słowa, z pałką u pasa. Zniknął za drzwiami i w ciemności majaczył przez chwilę upiorny zarys jego pleców. Ciężkie ze zmęczenia powieki pociągnęły mnie w czarne trzęsawisko snu - snu, z którego właśnie mnie wyrwano.

Z trudem otworzyłem oczy i wypadłem na główny korytarz, który prowadził do biura. W ciemności za czerwonym ceglany murem szczełały psy. Światło reflektora z wieży strażniczej przecinało noc jak ostry nóż. Do moich uszu docierały niecierpliwie krzyki strażników z zewnątrz. Zza krat po obu stronach wąskiego korytarza wyglądałi więźniowie o zaczerwienionych oczach pełnych rozdrażnienia i urazy. Strażnicy otwierali drzwi, żeby ich policzyć. Z dźwiękiem dzwonka mieszały się głosy wyczytujące numery oraz odpowiedzi osadzonych. Biegłem, uciekając przed dudniącym echem własnych kroków. Zatrzymałem się gwałtownie dopiero przed wejściem do głównego korytarza Oddziału Trzeciego. Na widok tego, co zobaczy-

łem, zapragnąłem na powrót uciec w sen. To było gorsze niż koszmar nocny. Na podłodze promieniste rozbryzgi czarnoczerwonej krwi wciąż kapiącej z poręczy na piętrze, nagie ciało zwisające na linie z dźwigara pod sufitem. Przywiązane do poręczy, szeroko rozłożone ręce. Krople krwi, które z lewej części piersi spływały powoli na brzuch i uda, wisiały chwilę na czubku palucha i spadały. Miał nisko pochyloną głowę. Patrzył z góry prosto na mnie. Sugiyama Dozan.

Dostałem gęziej skórki. Nigdy nie myślałem o śmierci, dla dziewiętnastolatka to jeszcze za wcześnie. Chociaż nosiłem mundur, wciąż byłem tylko chłopcem. Zwymiotowałem, kilka razy przełknąłem ślinę i wytarłem mokre oczy. Pozostali strażnicy kręcili się wokoło zdezorientowani, nie wiedząc, czy zostawić ciało na sznurze, czy je zdjąć. Podszedłem bliżej i oświetliłem latarką jego twarz.

Miał zaszyte usta. Siedmioma równymi, delikatnymi szwami od dolnej wargi do górnej i z powrotem. Z trudem zapanowałem nad trzęsącymi się nogami.

Nadszedł oddziałowy Maeda i z twarzy odpłynęła mu cała krew.

- Zdjąć go - wykrztusił. - Przykryć i zanieść do izby chorych!

Kilku strażników pobiegło na piętro, rozwiązało supeł i powoli opuściło Sugiyamę. Dwóch innych przyniosło nosze i szybko zniknęło z ciałem.

Maeda rozejrzał się i spytał:

- Kto miał z nim służbę? Stanąłem na baczność.

- Watanabe Yuichi! Na posterunku.

Maeda przeszył mnie wzrokiem i coś krzyknął. Otumaniony kwaśnym odorem wymiocin i przecinającym mrok jaskrawym światłem latarek słyszałem tylko syrenę wyjąącą na zewnętrznej wieży i szeczekanie psów.

Wrócił strażnik, który miał przeszukać wejście do budynku.

- W nocy spadło piętnaście centymetrów śniegu - zameldował - ale nie ma ani jednego śladu. Nikt tu nie wchodził, nikt stąd nie wychodził.

Tyle wiedzieliśmy i bez niego. Na miejscu zbrodni nie było ani kałuż wody ze stopionego śniegu, ani śladów stóp. Jak morderca tu wszedł? Gdzie uciekł?

Jeden ze starszych stopniem strażników klepnął mnie w ramię. Wróciłem do rzeczywistości. Strażnik przekazał mi rozkaz Maedy, żebym zebrał rzeczy Sugiyamy i napisał raport o zdarzeniu. Pobiegłem na piętro. Tuż przy poręczy leżał jego mundur. Sugiyama zawsze chodził zapięty na ostatni guzik. Mundur był jego drugą skórą, bez munduru czuł się nikim. A teraz? Wywinięte rękawy, wywinięte

nogawki, brak kilku guzików. Zauważyłem, że na kurtce nie ma żadnych rozcięć. Morderca zdjął ją z niego przed egzekucją. Dopiero wtedy wbił mu w serce długi stalowy pręt. Spodnie, wytarte i wybrzuszone na kolanach, leżały ciśniecie niedbale na bok, mimo to wzdłuż nogawek wciąż biegły starannie zaprasowane plisy. Sugiyama zaszył wszystkie kieszenie, żeby nie wkładać do nich rąk; mistrzowski styl był tajemnicą jego spokojnego kroku.

Wsunąłem dłoń do wewnętrznej kieszeni kurtki i zadrzałem jak chłopiec sięgający do ciepłego ptasiego gniazda. Czubkami palców dotknąłem czegoś mięciutkiego jak pióro pisklęcia: złożonego na pół kawałka lichego papieru. Rozłożyłem go. Rozszepotały się słowa, przytulone do siebie jak wiejskie chaty:

DOBREJ NOCY

*Przybyłem jako obcy
I obcym też odchodzę.
Maj był życzliwy dla mnie,
Zsyłał narecza róż.
Mówiła o miłości,
Jej matka i o ślubie...
Teraz świat tak ponury,
Drogi zasypał śnieg...*

*Nie mogę wybrać czasu,
By zacząć moją podróż.
Sam sobie muszę drogę
Odnaleźć w mroku tym.
Księżycy cień wędruje
Ze mną jak mój towarzysz,
Na śnieżnobiałych polach
Szukam jelenich dróg.*

*Czemu tu miałbym zostać,
By ludzie mnie wygnali?
Niech psy bezpańskie wyją
U dawnych domostw wrót.
Miłość kocha wędrować -
Taką ją Pan Bóg stworzył -
Z serca do serca krąży.
Dobranoc, miła ma.*

*Nie chcę Twych snów zakłócać,
Żal by Cię było zbudzić.
Kroków mych nie usłyszysz,
Cichutko zamknę drzwi...
Piszę tylko przechodząc
Na drzwiach Twych: Dobrej nocy,
Żebyś wiedziała, że ja
O Tobie myślę znów.**

* *Gute Nacht* - pieśń Franza Schuberta do słów Wilhelma Mullera z cyklu pieśni *Podróż zimowa (Winterreise)*. Przekład Joanny Skórskiej (Aleksias). (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Z każdej linijki bił smutek, rozpacz i głęboka miłość, każda strofa była jak smutny kochanek odchodzący w noc zaśnieżoną drogą. Uważnie obejrzałem papier: plamkę atramentu nieco rozlaną w miejscu, gdzie znieruchomiało wahające się pióro, kształt niezdarnych, szybkich i wolnych, pociągnięć, to płytsze, to głębsze rysy od stółki. Sugiyama napisał ten wiersz czy tylko przepisał? Jeśli to nie jego ręka, to czyja? Czy ktoś tę kartkę podrzucił i dlatego Sugiyama miał ją w wewnętrznej kieszeni kurtki?

Zanim powrócę do opowieści o jego śmierci, powinienem napisać coś o jego życiu. Na Oddział Trzeci przeniesiono mnie ledwie trzy dni wcześniej, po trzech miesiącach służby na Oddziale Czwartym. Dlatego prawie nic o nim nie wiedziałem. Nie stał się duchem po śmierci - dla mnie był duchem już za życia. Ze spisem więźniów w ręku, równym krokiem krążył po korytarzu Oddziału Trzeciego w jaskrawym świetle lamp. Osadzeni cichli wtedy i z bezpiecznych cel przyglądali się jego plecom. Miał niemal przezroczystą skórę i twarz zimną jak gipsowe popiersie. Nigdy się nie odzywał, jego usta były jak jaskinia Ali Baby, która zapomniała, co zrobić, żeby się otworzyć. Niezmiernie rzadko spomiędzy jego spieczonych warg wydobywał się chrapliwy głos. Sugiyama nie musiał krzyżeć, umiał siać strach cichym słowem. Miał sinawe od zarostu policzki i krzywy nos. Wśród strażników krążyły plotki o tym, kto mógł mu go złamać: legendarny leworęczny członek yakuzy, wysoki sowiecki żołnierz w bitwie pod Nomonhan*, odłamek eksplodującego w pobliżu pocisku, a może kolba sowieckiej arisaki***. Ale nikt nie znał prawdy. Czapkę nosił nisko naciągniętą na czoło, żeby ukryć oczy. W słońcu błyszczała czerwona blizna przecinająca mu twarz aż do ust. Niewielu wie-

działo, gdzie się zaczynała; mogła sięgać za oko, aż do czoła.

* Inaczej: bitwa nad Chalchyn gol stoczona w 1939 r., pomiędzy wojskami Armii Kwantuńskiej i Armii Czerwonej na pograniczu Mandżukuo, marionetkowego państwa utworzonego w 1932 r., przez Japonię na okupowanych przez nią obszarach Mandżurii, i Mongolii.

** Japoński karabin powtarzalny wz. 38. W czasie I wojny światowej Japonia sprzedała 640 tys. tych karabinów swoim sojusznikom, głównie Rosji.

Sugiyama był wszechobecny. Był tam, gdzie musiał, i robił to, co mu kazano. Miał w tym tak wielką wprawę, że rzadko kiedy ktoś coś zauważał. Wszyscy znali jego nazwisko - strażnicy i więźniowie, Japończycy i Koreańczycy - wszyscy się go bali i nim pogardzali. Nie chcę powtarzać tych niewiarygodnych historii tylko po to, żeby postawić go w ciekawszym świetle. Ale gdybym jednak miał coś o nim opowiedzieć, zacząłbym chyba właśnie od nich.

Sugiyama został przeniesiony do Fukuoki latem 1939 roku. Naczelnik miał wysokie oczekiwania wobec bohatera mandżurskiego frontu; liczył na to, że człowiek o wojskowym sposobie myślenia zapanuje nad chaosem w więzieniu. Według pogłosek Sugiyama był sierżantem Armii Kwantuńskiej*** i służył w 28 Pułku Piechoty wchodzącym w skład 64 Brygady. Walczył, nie rozumiejąc dlaczego, i widział śmierć swoich towarzyszy. Kiedyś jego kompanię otoczyli żołnierze sowieckiego 9 Korpusu Zmechanizowanego. Na rozkaz sztabu dywizji Cesarskiej Armii Japońskiej każdy oddział miał przebić się przez pierścień wroga i wycofać na wschód. Sugiyama cały dzień leżał w zasadzce wraz z trzydziestoma żołnierzami i gdy z nadejściem nocy ustał nieprzyjacielski ostrzał, przeprowadził atak na sowiecką dywizję pancerną. Chociaż przez dwa tygodnie nie mieli kontaktu ze swoimi, udało im się przebić i wycofać. Ognisty kocioł pochłonął trzydzieści czołgów, sto osiemdziesiąt samolotów i życie dwudziestu tysięcy żołnierzy, a Sugiyama jako praktycznie jedyny wyszedł z niego cało.

*** Część Cesarskiej Armii Japońskiej, stacjonująca głównie w Korei, a podczas II wojny światowej na terenie Mandżukuo.

Nikt nie wiedział, co wydarzyło się naprawdę. Potwierdzić można było jedynie to, że 28 Pułk Piechoty Armii Kwantuńskiej stoczył bitwę z siłami sowiecko-mongolskimi pod Nomonhan. Pewne dość wiarygodne fakty zdawały się świadczyć, że Sugiyama rzeczywiście dokonał wielu heroicznych czynów. Strażnicy rozprawiali o tym starciu, jakby byli jego naocznymi świadkami. Jeden z nich widział podobno siedem ran postrzałowych na ciele Sugiyamy. Inny twierdził,

że ten bohater jest zupełnie głuchy na lewe ucho, odkąd tuż obok niego wybuchła bomba. Mówiono również, że w jego ciele tkwi szrapnel wielkości pięści. Plotki te, w połączeniu z jego powściągliwością, tworzyły pozory prawdy.

Kilku strażników było świadkami kolejnej historii. Kiedy Sugiyama przybył do więzienia, lekko kulał od rany postrzałowej w prawej nodze. Miał rozczochraną brodę i oczy błyszczące jak ślepiea dzikiego zwierzęcia. Zdawało się, że więzienie jest dla niego nowym polem bitwy i chociaż nie było tu wrogów, traktował wszystkich jak nieprzyjaciół. Hojnie rozdzielał ciosy pałką, kontrolując każdy czyn i każde słowo więźnia. Był brutalny i przebiegły. Osadzeni bali się go, a strażnicy unikali. Jego zła sława wzrosła z dnia na dzień dzięki sposobowi, w jaki stłumił bunt Koreańczyków.

Trzech koreańskich więźniów zamknęło się w warsztacie, przeciągnęło na swoją stronę kilku studentów skazanych za uchylanie się od poboru i razem zaczęli wszystko demolować. Buntownicy wzięli trzech japońskich zakładników i zażądali, żeby naczelnik przyznał im status jeńców wojennych. Chociaż tego rodzaju incydenty należało zgłaszać Specjalnej Wyższej Policji*, naczelnik postanowił tego nie robić, uważając, że za czerwonymi murami więzienia rządzi tylko on. Wezwanie tajnej policji byłoby poniżeniem. Dlatego otworzył zbrojownię i wydał strażnikom karabiny. Wtedy z szeregu wystąpił Sugiyama i zaproponował, że wejdzie do warsztatu i poskromi buntowników sam. Naczelnik tylko na niego spojrzał. Sugiyama zdjął kurtkę od munduru i powiedział, że jeśli nie wyjdzie za dziesięć minut, strażnicy mają przypuścić szturm. Wszedł do środka, jakby go wessało. Drzwi zamknęły się cicho. Naczelnik nie odrywał wzroku od zegarka - długi, cienki sekundnik kroił mu serce jak precyzyjny nóż. Minęło pięć minut. Spocone dłonie strażników zaczynały ślizgać się na kolbach karabinów. Naczelnik szykował się do szturm, dobrze wiedział, że nie uniknie strat w ludziach. W tym momencie usłyszeli głośny trzask i przytłumione krzyki. Otworzyli drzwi i wpadli do warsztatu. Sugiyama stał na wysokim stole roboczym z pałką u boku. A na podłodze, wijąc się jak robaki, leżeli Koreańczycy z zakrwawionymi głowami, rozciętymi ustami i podbitymi oczami.

* Japońska tajna policja, znana także pod nazwą „policji myśli” lub policji bezpieczeństwa publicznego.

Podobnie jak w innych, w tej historii też może być dużo przesady, prawdą jest jednak, że Sugiyama wszedł sam do kryjówki buntowników, a niezaprzeczalnym faktem, że opuścił ją bez jednego zadrapa-

nia. Po tym incydencie powrócił do życia w cieniu. Należał do tych, którzy istnieją tylko w pogłoskach. Jego obecność odczułem wyraźnie dopiero wtedy, gdy zginął. I dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że nic o nim nie wiem.

Głównego wejścia zakładu karnego w Fukuocę strzegła olbrzymia stalowa brama i potężny ceglany mur. Kompleks więziennych budynków przypominał leżącego na brzuchu człowieka z szeroko rozłożonymi rękami i wskazującą północ głową. Fukuocę nadano status więzienia krajowego ledwie trzy lata wcześniej, przedtem była więzieniem obwodowym. Gdy wybuchła wojna na Pacyfiku, w Japonii zapanował chaos. Antywojenni intelektualiści i kryminaliści zerwali się ze smyczy i policja straciła nad nimi kontrolę. Więzienie kilka razy rozbudowywano, mimo to nie mogło sprostać potężnemu napływowi skazanych. Władze uznały jednak, że niezbędne jest odizolowanie wrogich Japończykom Koreańczyków, którzy z byle powodu wznicali bunt, i wybrały położoną na uboczu Fukuokę.

Biura, w tym gabinet naczelnika, znajdowały się w gmachu głównym. Japońskich więźniów, którym przysługiwały specjalne względy, przetrzymywano w Oddziale Pierwszym. Oddział Drugi i Trzeci rozwidłały się na końcu skrzydła administracyjnego. W Drugim przebywali złodzieje, bezwzględni mordercy i osadzeni z wieloletnimi wyrokami. Trzeci zarezerwowano dla koreańskich buntowników i skazanych na śmierć. Drobnych przestępców japońskich umieszczono w Oddziale Czwartym i Piątym, dobudowanych do Trzeciego od zachodu. Mimo tych dobudówek więzienie było przepełnione. Zwłaszcza w Trójce dochodziło do wielu incydentów, wypadków i zamieszek. Osadzeni ogłaszali strajki głodowe, akty przemocy zdarzyły się tam częściej, a egzekucje stały się powszechne. Uznano, że Koreańczycy są więźniami najbardziej brutalnymi i niebezpiecznymi, więc odpowiednio ich traktowano. Służbę pełnili tam najzdrowsi i najsilniejsi strażnicy, a każdemu ich rozkazowi towarzyszył cios pałką. W Trójce pobito na śmierć niezliczonych więźniów.

Stałem na baczność w gabinecie i owiał mnie ciężki zapach tytoniu i mahoniowego drewna. Przez otwarte okno wpadało do środka rześkie powietrze. Na ścianie wisiał dyplom z cesarską pieczęcią, a pod nim, obok siebie, rodzinny herb samuraja i flaga Japonii. Na

szafce z litego drewna, jak na wystawie, leżał długi wojskowy bagnet i błyszczący karabin. Naczelnik Hasegawa, z okoloną strzechą włosów łysiną na głowie, miał zamknięte oczy i machał długą pałką, jakby stanowiła przedłużenie jego ciała. Był w zaprasowanych w ostry kant brązowych spodniach, a na jego piersi błyszczały odznaczenia. W pokoju rozbrzmiewał śpiew, usłyszałem przepojony smutkiem potężny męski głos. Na przykrytym czerwonym aksamitem stole stał gramofon, na którym wirowała płyta. Gabinet ten, wraz z wysokimi aż do sufitu eleganckimi oknami, dźwięcznym śpiewem i osłepiającym porannym słońcem, stanowił jego azyl. Nie wiedziałem, że w tym ponurym ceglany gmachu istnieje tak luksusowe pomieszczenie. Hasegawa podniósł ramię z igłą i gramofonowe trzaski ustały. Pocierając starannie wypielęgnowaną brodę, naczelnik delektował się przez chwilę pobrzmiwającym w gabinecie echem.

- Watanabe Yuichi, Oddział Trzeci, panie naczelniku!

Hasegawa przełożył pałkę do drugiej ręki i wstał. Uśmiech mu stężał, oczy pochłodniały - zamyślony, rozsmakowany w melodyjnej pieśni mężczyzna w średnim wieku szybko zmienił się w zimnego urzędnika.

- Już słyszałem o tym martwym strażniku, od Maedy.

Zastanawiałem się, po co mnie w takim razie wezwał. I nagle doznałem olśnienia: byłem ostatnim, który widział Sugiyamę żywego. Zacisnąłem zęby, żeby powstrzymać drżenie ust.

- Jesteś studentem? - Głos Hasegawy, ostry niczym szpony jastrzębia, wbił się we mnie jak w polną mysz.

Podjeżdżał mnie o coś?

- Tak, panie naczelniku. Studiowałem sztuki wyzwolone w Trzeciej Szkole Wyższej w Kioto*.

* Niezależna uczelnia wykładająca nauki wyzwolone, od 1949 roku część uniwersytetu w Kioto.

- Szcześciarz z ciebie. Twoich kolegów z poboru wysłano pewnie na południowy front. Ciebie zostawili w kraju, w dodatku skierowali cię do więzienia, nie trafiłeś nawet do wojska. - Otaksował mnie błyszczącymi oczami. - Weźmiesz to na siebie, ten incydent.

Chciał przez to powiedzieć, że mam zająć się pogrzebem? Czy próbował mnie zrobić w morderstwo? Wolałbym już chyba skierowanie na front.

- Zgłoszę tę sprawę Specjalnej Wyższej Policji - wykrztusiłem piskliwie.

Hasegawa kiwnął głową i przeszył mnie spojrzeniem.

- Właśnie. Tak mówi standardowa procedura. Ale tu taj, w Fu-

kuoce, nie możemy przestrzegać standardowych procedur. Mamy tu najgroźniejszy element na całym archipelagu, ludzi, których trzeba wyeliminować ze społeczeństwa, którzy w ogóle nie powinni się byli urodzić. Zdrowy rozsądek nic tu nie pomoże. Wojsko też sobie z nimi nie poradzi, nie wspominając już o policji. Wszystko to, co się tu dzieje, jest bitwą i tylko my możemy ją wygrać. Dlatego nie wspominaj mi więcej o tej przeklętej policji!

Nie miałem na to żadnej odpowiedzi.

- Przejmiesz śledztwo. Dowiesz się, który z tych kryminalistów zabił Sugiyamę Dozana i dlaczego. Pójdiesz natychmiast do oddziałowego i zażadasz pomocy. Maeda dopilnuje, żebyś nie miał z tym żadnych kłopotów. Przekaze ci niezbędne dokumenty i przygotuje harmonogram przesłuchań. Jeśli odkryjecie coś nowego, chcę natychmiast o tym wiedzieć!

Całkowicie zagubiony strzeliłem obcasami i stanąłem na baczność. Zasalutowałem, odwróciłem się i szybko wyszedłem.

Odwach mieścił się na końcu skrzydła administracyjnego, w miejscu rozwidlenia Oddziału Drugiego i Trzeciego. Za drewnianymi drzwiami była cela i wartownia, pas ziemi niczyjej między więźniami i strażnikami, a na jej końcu obskurne biuro oddzielone od reszty prowizorycznymi ścianami. Otworzyłem rozchwierutane drzwi. Na zardzewiałej kozie gotowała się woda w czajniku. Piecyka doglądał oddziałowy Maeda w czapce od munduru wyjściowego mocno naciągniętej na oczy. Nigdy jej nie zdejmował - czapka dodawała mu wzrostu, przykrywała łysiejącą głowę i rzucała władczy cień na blisko osadzone oczy, opadające brwi i płaski nos. Dobiegał pięćdziesiątki, ale wyglądał o wiele starzej; całe życie spędził usidlony w brązowym mundurze, otoczony przez ludzi, których dni powoli dobiegały kresu. Pozdrowił mnie skinieniem głowy i wymamrotał:

- A więc w końcu do tego doszło.

Nie byłem pewny, czy mówi do mnie.

- Wiedział pan, że go zabiją?

Jego twarz momentalnie zubożniała, jak gdyby opuszczono na nią kurtynę. Rzucił na biurko teczkę, raport zmianowy Oddziału Trzeciego. Obliznął palec i zaczął przeglądać dokumenty.

- Nie tylko ja uważałem, że coś mu się przydarzy. Nie wiedziałem tylko, że skończy w tak potworny sposób...

- W co ten Sugiyama wdepnął? - Celowo nazwałem go w taki

sposób, bez grzecznościowego *-san*. Usuwało to podejrzenie, że mu współczuję.

Maeda złągodniał.

- Po powrocie z Nomonhan nie mógł się wyzbyć wojennych nawyków. Traktował osadzonych jak wrogów. Zachowywał się jak podczas bitwy. Zgoda, czasami musiał. Nasi więźniowie robią wrażenie potulnych, ale nic bardziej mylnego. Daj im tylko okazję, a rozerwą cię na strzępy. Sugiyama też stał się zwierzęciem.

Za oknem, w gałęziach trzmieliny, gwałdał wiatr. Woda w czajniku przestała wrzeć; ogień powoli wygasiał.

- Tu nie chodzi tylko o śmierć strażnika! - krzyknął nagle Maeda.
- To wojna. Wypowiedziano nam wojnę! Morderca wciąż tu przebywa. Powiem ci coś: Oddział Trzeci jest inny. Trzymamy w nim najgorszych przestępców, najgroźniejszych: Koreańczyków, zdrajców i komunistów. Tu cuchnie krwią. Ci ludzie obnażają szpony i rzucają się sobie do gardła. Jeśli nie będziesz ostrożny, możesz skończyć jak Sugiyama. - Z jego słów biła nienawiść i szyderstwo.

Potrząskiwały węgle w piecyku. Nie miałem pojęcia, o czym Maeda mówi. Zdezorientowany, poczułem się jak pilot, który wylądował awaryjnie na terytorium wroga. Ale musiałem zrobić swoje. Wziąłem z biurka teczkę. Otworzyłem przetartą błyszczącą okładkę. Wciągnąłem zapach słodkiego papieru i zatraciłem się na chwilę w aromacie przedniego atramentu i wonnych drzew. Ostatni zapis pochodził z dwudziestego drugiego grudnia.

Zamiast dokładnego raportu dziennego strażnicy pisali zwykle: „Nie zaszło nic niezwykłego”, a jeśli nawet to okazywało się zbyt trudne, skrobali: „N/N”. Ale raporty Sugiyamy wyróżniały się szczegółowością. Nawet niemal identyczne wydarzenia były opisane trochę inaczej. Poprzedniej nocy zanotował: „349 więźniów śpi w 48 celach. Zmiana godz. 2-6 rano. Korytarz Oddziału Trzeciego, 348 kroków w obie strony. Wielu przeziębionych. Pacjent ze stłuczeniami i złamaniami powoli wraca do zdrowia”. Natomiast raport sprzed dwóch dni brzmiał tak: „Od 2 do 6 rano sprawdziłem przez judasza 346 więźniów w 48 celach. Coraz więcej przeziębionych, jeden pacjent ze stłuczeniami i złamaniami”. O pacjencie tym wspominał codziennie, dlatego zaciekawiło mnie, kto to jest i jak odniósł obrażenia. Kartka po kartce cofnąłem się w czasie. Pierwszą wskazówkę znalazłem w zapisie z trzynastego grudnia. „Więzień 331 z celi 28: ukarany pałką za odmowę wykonania rozkazu i niewłaściwe zachowanie. Nieprzytomny. Przeniesiony do izby chorych i stosownie zaopatrzony. Stłuczenia na całym ciele, łącznie z głową, podejrzenie

złamania ręki i żeber”. Byłem trochę zdziwiony, że Sugiyama tak dokładnie opisał stan osadzonego, którego własnoręcznie pobił. Odszukałem dane więźnia 331. Nazwisko: Choi Chi-su. Przestępstwo: studia nad komunizmem i teoriami obalenia rządu, próba zamachu na członka rządu, spisak mający na celu wzniesienie buntu. Należał do więźniów z wieloletnimi wyrokami.

Wstałem i poprawiłem mundur. Zastanawiałem się, czy człowiek ten będzie mógł wyjaśnić tajemnicę śmierci Sugiyamy. Sęk w tym, że kiedy go zabito, wszyscy osadzeni przebywali w celach. Swobodnie poruszać się mogli jedynie strażnicy i szczury, i tylko oni nie spali. Mimo to musiałem kogoś przesłuchać i więzień 331 był jedyną osobą, jaka przyszła mi do głowy.

Później, w słabym cieniu wysokiego ceglanego muru okalającego dziedziniec, przyjrzałem się kartce, którą znalazłem w mundurze Sugiyamy. Przetarte rogi już się rozpadały, lecz zdawało się, że wciąż bije z niej ciepło jego ciała. Odwróciłem ją na drugą stronę - pochodziła z rejestru korespondencji wychodzącej i przychodzącej Oddziału Trzeciego. „27 marca 1942. Korespondencja przychodząca: 14. Korespondencja wychodząca: 5”. Pod spodem nazwisko nadawcy oraz adres i więzienny numer odbiorcy, wszystko czarnym atramentem. Pierwsze niepewne pociągnięcie piórem zdradzało ostrożną osobowość, a pociągnięcia następne, niezdarne, lecz śmiałe, sugerowały zdecydowanie i silne poczucie celu.

Wierzyłem, że pismo jest zwierciadłem duszy, że kontury i układ tekstu - podobnie jak odstępy między literami i liniami czy szybkość pisania - zdradzają nie tylko charakter i pragnienia autora, ale i jego nastrój oraz uczucia, jakie towarzyszyły mu w chwili pisania. Nawet czysta kartka mówi czytelnikowi coś o osobie, która postanowiła nic nie napisać. Jeśli zaś chodzi o zawartość - doskonale zdawałem sobie sprawę z magii pękających w moich ustach spółgłosek, elegancji wylewających się z nich samogłosek, tego, że mieszając się ze sobą i zderzając, tworzą ton, znaczenie i uczucie. Przypomniały mi się postaci z powieści, które czytałem dawno temu. Ponury więzienny dziedziniec stał się pokrytą śniegiem Syberią z *Tołstojowskiego Zmartwychwstania*; gdybym miał kogoś pokochać, pokochałbym kobietę taką jak Katusza. Skoro słowa mogły zgłębić życie, dlaczego nie mogłyby rzucić światła na śmierć? W interpunkcji i pociągnięciach piórem Sugiyamy szukałem tego, kim w istocie był, lecz szybko

się pogubiłem. Dostrzegłem dwie jakże różne osoby. Wpisy w rejestrze korespondencji i raporcie zmianowym zrobiono identycznym charakterem pisma: ich autor był człowiekiem pewnym siebie i nieustraszonym, tak jak Sugiyama, którego znałem. Chociaż wiersz napisano tą samą ręką, to ręka ta wydawała się wstydliva i niepewna. Czy spod niej wyszły zarówno oficjalne raporty, jak i wiersz? A może ktoś próbował się pod niego podszyć? I najważniejsze: dlaczego ta kartka znalazła się w jego kieszeni?

COŚ, CO ZBIERA SIĘ W SERCU, ZANIM POWOLI ZENI WYPLYNIE

Nad murami więzienia zaczynał zapadać mrok. Codziennie o tej porze dobiegały mnie skądś uwodzicielskie dźwięki granej na pianinie melodii i nieświadomie nuciłem ją pod nosem. W izbie chorych paliło się światło. Uwiedziony muzyką, ruszyłem w tamtą stronę. Przystanąłem pod oknem sali widowiskowej i zajrzałem do środka. Stał tam fortepian, dumny i pewny siebie niczym łódź, która z rozwiniętymi żaglami płynie przez czerwony zachód słońca. Te podobne do kolumn nogi, te krągłości i eleganckie, sztuczne rzeźbienia - efekt był wprost nieziemski. Siedziała przy nim kobieta w schludnym białym uniformie pielęgniarki i ilekroć pieszczotliwie muskała palcami klawisze, fortepian wydawał czysty, delikatny dźwięk. Poczuliśmy się tak, jakbyśmy ujrzeli źródło majestatycznej rzeki, małe źródło bijące w głębi gór. Białe palce pielęgniarki kołysały się jak fale, pomykały jak myszki, śmigły jak ciekawskie ptaki. Pogrążony w transie, oglądałem ten nieprzystępny świat zza tafli przezroczystego szkła. Czas zwolnił bieg. Kobieta była jak egzotyczny ptak lecący prosto w zachód słońca, w ciemność, ciszę. Gdy powietrze wchłonęło ostatni dźwięk, wyprostowała się i spojrzała w okno. Patrzyła na mnie? Gapiłem się na nią jak zaczarowany - tak, była prawdziwa. Miała gładką jak porcelana twarz, włosy błyszczące w bursztynowym blasku gasnącego słońca, piękne wysokie czoło, wąskie brwi, migdałowe oczy z uroczymi kącikami, zaróżowione policzki i budzące ciekawość lekko rozchylone usta.

Chciałem się jej przedstawić, lecz zawałałem się ze względu na mój zaniedbany wygląd. Przytrzymała szpilkę między wargami, potem przypięła nią czepek. Zerknęła na swoje odbicie w klapie fortepianu, wzięła dokumenty i pospieszyła do wyjścia. Z każdym krokiem jej biała spódnica trzepotała wokół kostek. Zanim zdałem sobie sprawę z tego, co robię, wszedłem do środka. Nieskazitelnie czysty korytarz zaprowadził mnie do sali. Drzwi otworzyły się cicho, jakby na mnie czekały. Podeszedłem do błyszczącego fortepianu, podziwia-

łem czarne i białe klawisze, tętniące życiem usłojenie drewna i napięte jak ścięta struny. Spojrzałem na swoje szorstkie, splekane ręce i brudne paznokcie. Czy tak zapuszczone palce byłyby w stanie stworzyć jakąś melodię? Nacisnąłem klawisz. Zabrzmiała czysta nuta, która wzruszyła moje serce. Zamknąłem oczy.

- To jest sol. - Jej głos zamigotał jak łuski rybyaju płynącej w górę strumienia. W moich uszach rozdzwoniły się setki dzwonów.

Obejrzałem się. Miała ściągnięte usta, lecz nie patrzyła na mnie z wyrzutem. Czarna teczka z dokumentami, którą przyciskała do piersi, tworzyła ostry kontrast z białym uniformem. Miała długie, blade, delikatne palce i niemal przezroczyste paznokcie o różowawym połysku. Jak długo mnie obserwowała?

- Inaczej g - dodała. - Piąta nuta. Na piąty palec. Arbiter dźwięku, który harmonizuje wszystkie pozostałe nuty, most łączący te wyniosłe, mroczne i niskie, z tymi delikatnymi i wysokimi. - Przyjrzała mi się uważnie.

Skurczyłem się w sobie. Wyglądałem tragicznie. Mój mundur był uwalany ziemią, a skóra sponiewierana przez niosący piasek wiatr. Miałem spierzchnięte usta i od dawna się nie kąpałem. Pielęgniarka uśmiechnęła się lekko. Naigrawała się ze mnie? Czy mi współczuła?

- Przepraszam - powiedziałem sztywno. - To, że tu wszedłem i dotknąłem tego przedmiotu... - Szukałem słów, by dokończyć zdanie. Miałem ochotę odgryźć sobie niezdarny język za to, że nazwałem przedmiotem ten wspaniały, urzekający instrument.

Powiedziała, że nic nie szkodzi, że to nie jej fortepian, i sięgnęła po nuty, które zostawiła na podstawce.

Zebrałem się na odwagę i odezwałem się ponownie.

- Utwór, który pani przed chwilą grała, jak się nazywa? Chyba gdzieś go słyszałem, ale nie pamiętam tytułu.

Zamiast odpowiedzieć, pielęgniarka otworzyła nuty. Tytuł widniał na górze pierwszej strony. *Die Winterreise*.

- To po niemiecku. *Podróż zimowa*.

- *Podróż zimowa*... - powtórzyłem.

- Schubert skomponował cykl pieśni do wierszy Wilhelma Müllera. W sumie jest ich dwadzieścia cztery i opublikowano je jako *Die Winterreise* opus 89. Baryton śpiewa o samotności życia i bólu miłości, ale nawet na samym fortepianie pieśń jest naprawdę piękna. W *Die Winterreise* fortepian nie tylko akompaniuje. Nadaje ton całości. Powiedziałabym, że to duet pianisty i śpiewaka.

- Ciekawe, kto dałby radę zaśpiewać ją bez akompaniamentu.

- Profesor Marui Yasujiro. Najlepszy japoński tenor. Wykłada w

Cesarskim Konserwatorium Muzycznym w Tokio i nagrał kilka płyt. Cieszy się międzynarodową sławą, zwłaszcza jako wykonawca pieśni Schuberta. Żeby w pełni oddać smutek i samotność tej, którą grałam, zaśpiewał ją barytonem. Jego wykonania należą do najlepszych interpretacji dzieł Schuberta.

Byłem wystarczająco zadziwiony, co musiało być widoczne na mojej twarzy.

- Profesor - ciągnęła pielęgniarka - zamierza dać koncert na rzecz pokoju w Azji. Tutaj, w lutym. Postanowił zrezygnować ze swojego akompaniatora i zażądał miejscowego. Uznał, że będzie to lepiej pasowało do tematu pokoju i nadziei. Dlatego tak dużo ćwiczę. - W uśmiechu odsłoniła równe zęby podobne do białych fortepianowych klawiszy. - Nazywam się Iwanami Midori - dodała.

Słowa te rozeszły się jak fale na wodzie i zebrały w moim sercu.

- Watanabe... Yuichi - wydukałem pełen wstrętu do samego siebie za to, że nie umiem się normalnie przedstawić.

Iwanami skinęła głową i odeszła.

- Iwanami Midori... - wymamrotałem. Brzmiało to jak muzyka.

*

Padał śnieg. Sypał w ciemności, potrzaskując jak cienki lód. Nocne powietrze było ciężkie od szadzi, zimna, bezduszości, spisków, tajemnic i innych nierozpoznawalnych rzeczy. Nasze koszary mieściły się w prowizorycznym budynku po zachodniej stronie gmachu głównego. Gdy tam dotarłem, światło było już zgaszone, a strażnicy spali głębokim snem. Pośrodku sali jarzył się stalowy piecyk. Wcisnąłem się do śpiwora przesyconego zapachem innych ludzi. Miałem za sobą długi dzień. Śmierć Sugiyamy, próżne poszukiwanie wskazówek, tajemniczy wiersz. Nie byłem Sherlockiem Holmesem ani detektywem ze Specjalnej Wyższej Policji. Nie umiałem rozwiązywać zagadek makabrycznych morderstw, nie mówiąc już o chwytności sprawców.

Wiatr zwiwał śnieg z ocynkowanego blaszanego dachu. Ciepło, bursztynowe światło, elegancki fortepian, dziewczyna w bieli... Skrzyżowałem ręce na piersi i wymacałem kartkę, którą wyjąłem z kurtki Sugiyamy.

*Przybyłem jako obcy
I obcym też odchodzę.
Maj był życzliwy dla mnie,*

*Zsylał naręcza róż.
Mówiła o miłości,
Jej matka i o ślubie...
Teraz świat tak ponury,
Drogi zasypał śnieg...*

Ten brutalny strażnik napisał taki wiersz? To do niego nie pasowało. Czy była to wskazówka, pozostawiony przez mordercę znak? Po co przestępca miałby zostawiać tajemniczy wiersz w kieszeni ofiary? Nigdy dotąd nie byłem tak dezorientowany, nabierałem jednak coraz większego przekonania, że wiersz zawiera jakiś klucz. W mojej głowie wciąż pobrzmiwała grana przez pielęgniarkę melodia, pieśń o rozpacz, o bolesnej miłości. Melodia otulała poezję, poezja nakładała się na melodię. Warstwy pełnych harmonii dźwięków odzianych w wiersz - w złocistym blasku bijącym z piecyka pobrzękiwał fortepian. Przed moimi oczami majaczyły trzy twarze: Sugiyamy, Hasegawy i Midori. Poezja, melodia, fortepian.

Zanim wojna podarła na strzępy moje życie, każdy dzień rozpoczynałem w jednopiętrowym domku ze strychem na przedmieściach Kioto, a potem przebywałem w małym antykwariacie mojej matki. Otoczony papierem, spędzałem wiele godzin wśród starych drewnianych półek pokrytych warstwą kurzu. Ściany książek chroniły mnie przed złowieszczymi wiadomościami z wojny. Nic nie mogło przesączyć się przez tysiące kartek, ani wszczynane przez kupców awantury, ani stukot butów maszerujących żołnierzy, ani mróz zimowej nocy. Książki broniły mnie przed rebeliami naszych czasów i niepokojem o przyszłość. Wsunąłem się głębiej w służbowy śpiwór, przywołując na pamięć zapomniane nazwiska tych, których twarze widziałem wyraźnie jak na nowej fotografii: Fiodor Dostojewski, André Gide, lord Byron, Rainer Maria Rilke.

Otworzyliśmy antykwariat, gdy poszedłem do gimnazjum. Trzy lata wcześniej mój ojciec próbował dostać się do mandzurskiej akademii wojskowej, ale był za stary. W końcu mu się udało, po tym, gdy zuchwale zademonstrował swoją gorącą wolę listem, który napisał własną krwią i wysłał do ministra wojny. Wczesnym rankiem w dniu wyjazdu matka i ja odprowadziliśmy go na dworzec. Z tyłu, wśród pulchnych płatków śniegu, wyglądał jak drewniana zabawka, żołnierz uginający się pod ciężarem ekwipunku. Z czarnych kół

dyszącego białą parą pociągu zwisały grube, masywne sople. Na kłującej brodzie ojca osiadł szron. Ojciec miał długie rzęsy, jak ja.

- Bądź dobry dla matki, Yuichi. - Te zmarznięte słowa zmieszały się z jego białym oddechem, gwizdem czarnego pociągu i stukotem wojskowych butów. Ojciec ruszył powoli w stronę stalowego potwora. Po chwili płacz kobiet ucichł zagłuszony przez marsz wojskowy.

Matka wynajęła mały sklepik, wstawiła tam regały i wywiesiła biały blaszany szyld. Na jej czoło wciąż opadały kosmyki niesfornych włosów, więc spełniając ostatnią prośbę ojca, kupiłem jej spinkę z motylkiem. Pracowała od frontu: sklejała porwane okładki gęstym klejem, brakujące zastępowała sztywnym kartonem, zszywała rozchodzące się oprawy i odtwarzała zerwane grzbiety za pomocą jedwabnego materiału. Książki nie do odratowania kończyły tam swój żywot, stając się podpałką, torebką na ciepłutkie bataty w zimową noc czy chusteczką, którą można było wytrzeć nos małemu dziecku. Ale nawet gdy umierały, zawarte w nich zdania wciąż żyły i oddychały. Mądrości Platona na torebce z batatami mogły przykuć uwagę biednego studenta, a słowa Dumasa poruszyć ojca, który wytarłszy nos synkowi, każe mu rozłożyć lepki papier.

Nasze dni zaczynały się i kończyły w tym małym sklepiku. Szliśmy tam codziennie przez chłodny świt. Otwieraliśmy szklane drzwi i czuliśmy stęchły zapach papieru. Po szkole wracałem do kolebki książek. Matka witała zza lady klientów, podczas gdy ja, ukryty z tyłu między wąskimi regałami, niczym kowboj znakujący nowego cielaka, stemplowałem każdą książkę emblematem naszego sklepu, przyjmując ją do rodziny. Kichałem od kurzu, rozcinałem palce na ostrych krawędziach kartek, obijałem się o kanciaste półki, byłem jednak szczęśliwy. Układałem książki według dziedzin i tematów, a te popularne ustawiałem od frontu - każda była światem samym w sobie. Zgodnie z moją wolą porządkowałem na półkach całe wszechświaty. Miałem władzę absolutną i zgodnie z własnymi zasadami i rozkazami ustawiałem eseje Tołstoja tuż obok *Zbrodni i kary* Dostojewskiego, a pożółkły egzemplarz *Otella* obok *Króla Lira*. Tak jak rolnik, który potrafi ocenić dojrzałość i słodkość owocu po kolorze i gładkości jego skórki, szybko nauczyłem się określać wiek książki po samym zapachu, a jej temat po szybkim spojrzeniu na spis treści. Potrafiłem odgadnąć zainteresowania klientów po wyrazie twarzy, z jakim wchodzili do antykwariatu. W większości przypadków podawałem im książkę, o którą pytali, ale czasem, gdy szukali czegoś, co chciałem na zawsze zachować dla siebie - *Pamiętników Malte-Lauridsa Brigge*,

albumu z kolorowymi obrazami van Gogha, *Dzwonnika z Notre Dame* - mówiłem, że tego nie ma. Kiedy klient odwracał się zawiedziony, miałem wyrzuty sumienia, chociaż w głębi ducha byłem podekscytowany.

Wciąż przywoływał mnie labirynt książek w głębi sklepu. Ukrywałem się w kanałach Paryża w przededniu rewolucji i poznałem kobietę na mroźnej, zaśnieżonej Syberii. Odważnie wkraczałem w świat bohaterów i bogów, odwiedzałem samotną wyspę, gdzie uwięziono zdetronizowanego księcia. Książki były miastami, których nigdy nie widziałem, miejscami pełnymi filarów mądrości i zakrętów ulic, labiryntami zbudowanymi z zawiłych struktur zdaniowych, alejami skomplikowanych sylab. Były wielobranżowymi sklepami, w których znaki przestankowe błyszcząły niczym herby szacownych rodzin, w których spokojnie oddychały zdania i szeptały słowa. Wracałem do rzeczywistości, gdy w oddali zaczynał skrzyć się dach świątyni Złotego Pawilonu, a niebo stawało się pomarańczowe. O zmroku matka zamykała drzwi. Świat zdań tonął w ciemności, bohaterowie, królowie i oplakujące ukochanych damy zapadały w sen. W drodze do domu matka sprawiała wrażenie samotnej; bez końca zagadywałem ją wtedy o książki, które tego dnia sprzedała, o to, kto je kupił i o czym były. Czułem się mile zaskoczony, gdy opowiadała mi szczegółowo o tych, które kiedyś czytała, i tych, które przeczytać chciała, lecz nie mogła do nich zasiąść. Czasem się śmiała, chociaż śmiech ten brzmiał zawsze głucho. Wiedziałem, że nie mogę zmierzyć się z jej samotnością i zmęczeniem; niemal czułem zapach papierosów ojca, zapach potu i lekkiego smutku. Niczym rysunek na piasku, jego twarz z czasem się zatarła. Nie dostaliśmy od niego ani jednego listu. W końcu uznałem, że już nie czekam, aż do nas napisze, nie liczę na jego powrót. Zapomniałem go. Musiałem zapomnieć najpierw o nim, żeby potem nie zapomniano o mnie. Nie chciałem zmarnować sobie życia, żywiąc nadzieję na cud.

Matka była samotna, a ja wycofany, ale nie czuliśmy się nieszczęśliwi. Chroniła nas forteca z książek. Odkryłem to znacznie później, lecz stało się tak również dzięki mojemu ojcu, cenie jego życia, dzięki temu, co nam dał, wkraczając do strefy wojennej w Mandżurii. Może byłbym trochę mniej smutny, gdybym o tym wiedział. Jednak nic nie dzieje się w odpowiednim momencie. Dlatego boli nas, bo za wcześnie znajdujemy miłość, bo za długo kogoś nie widzieliśmy, bo za późno odkrywamy prawdę.

PLECY SMUTNEGO CZŁOWIEKA IDĄCEGO SAMOTNIE POD METEOREM

Nazajutrz Maeda powitał mnie uśmiechem. Nalał mi kubek herbaty.

- Czego się dowiedziałeś?

Głosem twardym jak kłoda drewna odparłem, że nie mam do zameldowania nic specjalnego. Maeda bawił się daszkiem czapki.

- Fakt, dla studenta i młodego żołnierza takiego jak ty to niełatwe zadanie. Jednak złóż sobie obietnicę i do prowadź sprawę do końca.

Wyjąłem z kieszeni kartkę i ją rozprostowałem.

- Znalazłem to w kurtce zabitego. Jest tu dziwny wiersz.

Maeda spojrział na mnie, potem na kartkę, którą położyłem na biurku. Roześmiał się.

- Oczywiście. Nie tak łatwo wyzbyć się nawyków. Nie mógł się powstrzymać.

Moja ciekawość wzrosła jeszcze bardziej.

- Sugiyama Dozan był moim kolegą, jednak w gąszczu zdań zachowywał się jak zbłąkany pies. - Maeda uśmiechnął się chytrze. - Sugiyama był również cenzorem Oddziału Trzeciego.

Brzmiało to bardzo poważnie. Wiedziałem jedynie, że cenzor powinien przesiadywać na zapleczu, i tyle. Ten z Czwórki był starym strażnikiem. Otrzymał to stanowisko z szacunku, ponieważ nie radził sobie z więźniami. Siedział w swojej małej pakamerze i przez cały dzień drzemał, czytając listy. Czy to możliwe, żeby pierwszorzędny strażnik, ktoś taki jak Sugiyama, był cenzorem?

- Oddział Trzeci jest niezależną jednostką - wyjaśnił Maeda, widząc, że jestem zaskoczony. - Przetrywamy tu najgroźniejszych przestępców. W porównaniu z tymi Koreańczykami ci więźniowie, do których przywykłeś w Czwórce, to dżentelmeni. Żeby sprawdzić ich korespondencję, cenzor musi być brutalny i bezlitosny, tak jak oni. Sugiyama był nie tylko znakomitym strażnikiem, ale i naszym najlepszym cenzorem.

- Wydawało się, że słowa go nie interesują... - zauważyłem z niedowierzaniem.

- Masz rację. Ponieważ niedawno nauczył się czytać i pisać, mógł być w tym znakomity.

- Nie rozumiem.

Maeda odchrząknął i jego głos zmieszał się z bulgotaniem wody gotującej się w czajniku.

- Kiedy Oddział Trzeci zalała fala Koreańczyków, uznaliśmy, że trzeba zastosować inną metodę cenzurowania, ponieważ ludzie ci myślą inaczej niż my. Po pierwsze, zakazaliśmy wszelkiej korespondencji w języku innym niż japoński. Tak więc aby sprawdzić ich japońszczyznę, potrzebowaliśmy analfabety. Nowicjusz, ktoś, kto dopiero co nauczył się czytać i pisać, czytałby i pisał tak jak Koreańczycy, którzy słabo znają japoński. Dzięki temu mógłby łatwo wychwytywać podejrzane wyrażenia.

- A Sugiyama doskonale się do tego nadawał.

- Nigdy nie przekroczył progu szkoły podstawowej, ale miał wspaniale rozwiniętą umiejętność rozumienia i uczenia się. Zamiast czytać jak ktoś normalny, instynktownie skupiał się na zakazanych słowach i zwrotach. Jego oczy wychwytywały każde dwuznaczne wyrażenie. - Maeda z podziwem pokręcił głową.

Wiedziałem, że cenzura jest niezbędna. Po tym, jak zbombardowaliśmy Pearl Harbor, wojna przybrała na sile i codzienne życie stało się jeszcze bardziej chaotyczne. Ulicami włóczyli się bandyci, Koreańczycy i wywrotowcy uzbrojeni w noże i bańki z benzyną. Wszystkich nastawionych nieprzychylnie do Japonii aresztowano, mimo to wywrotowa działalność nie ustała. Nad tokijskimi ulicami i uniwersytetami, niczym mgła, unosiło się złudzenie niepodległości, zarażając pozostałych Koreańczyków. Ilekroć aresztowano jakiegoś koreańskiego przestępcę politycznego, konfiskowano wszystkie jego zapiski, książki i dokumenty, a nawet skrypty dłużne, aby nie mogły już szerzyć zakazanych idei. Po skazaniu, pudła ze skonfiskowanymi materiałami oraz ich lista towarzyszyły więźniowi do zakładu karnego.

Maeda wyjaśnił, że specjalnym rozkazem Sugiyama został mianowany cenzorem Oddziału Trzeciego, skutkiem czego musiał nauczyć się czytać i pisać. Początkowo protestował, bo gardził tymi umiejętnościami. Pisanie było dla niego jedynie narzędziem do deprawowania świata, szerzenia ideologii, które rozpałały serca słabym i na nich żerowały. Ale ostatecznie był żołnierzem i nie musiał rozumieć rozkazów - musiał je tylko wypełniać. Zaczął naukę od spisywania słów, których nie znał. Biuro cenzora mieściło się w prowizorycznym pomieszczeniu na końcu Oddziału Trzeciego; kie-

dyś, zanim zbudowano miejsce kaźni na dużą skalę, wyposażone w szubienicę i ścianę do rozstrzeliwania, ten pokój wykorzystywano do przesłuchań i egzekucji. Sugiyama spędzał tam cały dzień, ucząc się pilnie i z mozołem jak jedwabnik pożerający liście morwy. Pomieszczenie to było jego samotnym polem bitwy, wrogami zaś zostali koreańscy więźniowie: łaknący zniszczenia komuniści, terroryści planujący zamachy na wysokich urzędników państwowych, próbujący obalić rząd anarchiści, złodzieje, bandyci i oszuści. Sugiyama wertował ich listy, szukając w każdym zdaniu wywrotowych znaczeń i polując na zakazane wyrażenia. Jego czujnym oczom nie umknęła ani jedna podejrzana fraza. Sortował pudła ze skonfiskowanymi materiałami, przydzielał im numery, ustawiał w magazynie oraz palił. Jego czerwone pióro cięło kartkę jak nóż. Nie zwracał uwagi na dobór słów, długość zdania, siłę czy słabość wyrażen - jeśli jakiś dokument nie odpowiadał ustalonym przez niego surowym normom, stawał na nim czerwony stempel: DO SPALENIA.

Powrócił żywy ze strefy wojny. Przez siedem lat i trzy miesiące walczył w zalewanych przez deszcz okopach i na zaśnieżonych polach, brał udział w oblężeniach i bił się po ciemku na bagnety. Jednak za najcenniejszą według Maedy uważał cichą wojnę, jaką toczył w swoim skromnym biurze. Książki i zapiski maszerowały naprzód jak nieprzyjacielscy żołnierze, a on znajdował wśród nich wrogów, którzy pożerali nasze zdrowe cesarstwo niczym chmara moli. Widząc, że zachodzące słońce maluje na czerwono małe zachodnie okno, podnosił głowę tylko na chwilę, by zaraz powrócić do świata papieru i atramentu. Gdy ponownie odrywał wzrok od pracy, już świtało. Dopiero wtedy odpoczywał. Z nastaniem dnia przenosił wywrotowe książki i listy do nowej spalarni, którą zbudowano na pustym placu obok biura. Patrząc, jak płomienie cicho pożerają zakazane dokumenty, odczuwał ulgę, jakby palił zbuntowaną wioskę czy wykonywał egzekucję na zdrajcy.

Maeda przestał mówić i poszperał w kieszeniach. Wyjął zapalniczkę, która błysnęła w jego ciężkiej dłoni, i zapalił papierosa.

- Należała do Sugiyamy - powiedział. - Weź. Przyda ci się. - Zaciągnął się głęboko. - Sugiyama nie żyje i zostaliśmy bez cenzora. Mamy duże zaległości. Dlatego tymczasem zajmiesz jego miejsce. - Strząsnął biały popiół.

Wpadłem w przerażenie. Poczułem się jak Abraham, który musi zabić własnego syna.

- Mamy strażników lepiej wykwalifikowanych i bardziej doświadczonych. Nie wiem nawet, na czym ta praca polega.

- Według mnie nadasz się w sam raz. Masz umiejętności, których tamci nie mają.

- Ale jakie?

- Przejrzałem twoje akta. Nie tylko studiowałeś nauki wyzwolone, ale i zdobyłeś nagrodę w ogólnokrajowym cesarskim konkursie na najlepszy esej. Na pewno znajdziesz to, co ukryte między wierszami.

Wiedziałem, o co mu chodzi. W świecie strażników obowiązywała hierarchia. Wymiana przysług i surowa rywalizacja, zazdrość i pilna obserwacja, knowania i spiski - to wszystko pomagało awansować. Nikt nie chciał siedzieć na zapleczu jak starzec i przez cały dzień przeglądać listów więźniów. Maeda nadymał moje ego, bym zajął się czymś, czego nie chciał robić nikt inny. Ale mnie też to nie odpowiadało. Zaciśnąłem palce na zapalniczce.

- Przecież mam załatwić sprawę Sugiyamy i przeprowadzić śledztwo.

- Nikt nie kazał ci znaleźć mordercy - prychnął Maeda. - To byłoby niemożliwe. Musisz tylko wszystko pozapinać, zanim ktoś coś zwęszy. Nie możemy dopuścić do tego, żeby kręcili się tu policyjni detektywi. Ale cenzura to co innego. Dasz sobie radę.

Wyglądało na to, że nie chce, bym przeprowadził wnikliwe śledztwo i obciąża mnie obowiązkami cenzora, żebym nie miał czasu myśleć o morderstwie. Próbowali pewnie to wyciszyć. W przeciwnym razie po co naczelnik powierzyłby mi śledztwo?

- Cenzorskie zasady są proste - ciągnął Maeda. - Nie muszę ci chyba mówić, że wszystkie listy napisane w języku innym niż japoński trzeba spalić, prawda? Jeśli nie będziesz pewny, spal wszystko. Do ostatniej kartki. Zrozumiałeś? A teraz marsz do biura.

Zdałem sobie sprawę, że nie mam wyjścia. Nagle poczułem do Sugiyamy niechęć, głęboką i pełną goryczy. Gdyby nie umarł, nie miałbym problemu.

Biuro cenzora znajdowało się na końcu korytarza. Otworzyłem ciężkie, niskie drzwi i wkroczyłem do hermetycznego świata Sugiyamy. Musiałem się pochylić - za drzwiami był wąski korytarz. Zrobiłem po ciemku kilka kroków i po lewej stronie zobaczyłem kolejne drzwi. Otworzyłem kłódkę, pchnąłem je i znalazłem się w pokoju przesłuchań, gdzie stało stare drewniane biurko i dwa krzesła. Sugiyama musiał przesłuchiwać tu autorów wywrotowych tekstów i

właścicieli zakazanych książek. Pod ścianą stało metalowe krzesło pokryte skórą: tam ich torturowano. Zamknąłem drzwi i założyłem kłódkę. Trzecie drzwi prowadziły do biblioteki pełnej przewodników dla obywateli w czasie wojny, podręczników ze wskazówkami na temat sposobów zwiększenia produkcji przemysłowej oraz książek edukacyjnych podkreślających obowiązki poddanych wobec cesarza. I tak dotarłem do biura cenzora na końcu korytarza. Gdy otworzyłem wielką, ciężką kłódkę, a potem drzwi, wydostał się zza nich zapach papieru i zaschniętego atramentu. I nagle doznałem wstrząsu. Tak bardzo tęskniłem za stęchłym zapachem starego kurzu unoszącego się w powietrzu, tak bardzo pragnąłem znowu zasnąć nad książką. Jak we śnie wszedłem między wąskie półki. Na poplamionym niebieskim atramentem drewnianym biurku leżały cenzorskie narzędzia: nóż, nożyczki, szkło powiększające, peseta, czerwone ołówki i kilka słowników: japoński, angielski, chiński i koreański.

Zauważyłem półkę wypełnioną teczkami; każda była opatrzona napisem. „Archiwum”, „Rejestr zakazanych pism”, „Raporty cenzorskie”, „Rejestr dokumentów do spalania”. Otworzyłem teczkę z raportami cenzorskimi. Sugiyama zapisywał wszystkie szczegóły, dokładnie wskazując problematyczne fragmenty zapisków autorstwa przetrzymywanych u nas więźniów. Tytuły skazanych na śmierć książek wymieniał w rejestrze dokumentów do spalania. *Pierwsza miłość* i *Ojcowie i synowie* Iwana Turgieniewa, zbiór opowiadań Nathaniela Hawthorne'a, *Piektło* Dantego... Skreślił je czerwonym atramentem; wyglądało to tak, jakby martwe książki krwawiły. Lista była długa i znalazła się na niej nawet księga rachunkowa koreańskiego handlarza ryżu - powodem jej spalenia był fakt, że zawierała „powtarzające się w nieskończoność liczby, których nie dało się rozszyfrować”.

Obok biurka stały dwa worki z pocztą, jeden z listami wychodzącymi, drugi przychodzącymi. Pisane przez więźniów odkrytki do ukochanych zawierały głównie prośby o różne dobra i artykuły pierwszej potrzeby. W czasach rządowej reglamentacji było do przewidzenia, że spotkają się one z odmową. Grubą stalówką zaczerniłem kilka kłopotliwych wyrażeń i wrzuciłem listy z powrotem do worków. Otworzyłem płytką szufladę i znalazłem w niej plik dokumentów: zeszloroczne raporty służbowe bez okładki i stalowych klamer. Przyszła mi do głowy pewna myśl. Wyjąłem z kieszeni wystrzępioną kartkę Sugiyamy. Na drugiej stronie widniała data, ale znacznie wcześniejsza niż ta na dokumentach z szuflady. Odwróciłem pierwszą kartkę z tych, które przed chwilą znalazłem, i zobaczyłem,

że z tyłu coś jest: napisany niebieskim atramentem wiersz.

WYZNANIE

*W brązowym lustrze splamionym błękitną rdzą
Widzę swoją zhańbioną twarz
Relikt której dynastii?*

*Ograniczę się do jednej linijki -
Na jakie szczęście liczyłem przez dwadzieścia cztery
lata i jeden miesiąc życia?
Jutro albo pojutrze, pewnego szczęśliwego dnia
Muszę napisać kolejną linijkę wyznania -
Wtedy, w tym młodym wieku
Dlaczego było takie wstydlive!*

*Noc po nocy
Dłonią i podeszwą stopy
Poleruję moje lustro.*

*A w lustrze tym
Widzę plecy smutnego człowieka
Idącego samotnie pod meteorem.**

* Wszystkie wiersze, oprócz zaznaczonych, w przekładzie Jana Krasko.

Poczułem się tak, jakby dźgnięto mnie nożem. Potężna symbolika wzmagała bijący z wiersza ból. Introspekcja autora przywodziła na myśl Rilkego, a jego czysty poetycki język - Francisa Jammes'a. Zakręciło mi się w głowie, byłem wystraszony i zdezorientowany jak ocean w burzliwą noc. Kto to napisał? Co miał wspólnego z Sugiyamą? Z fragmentu „Na jakie szczęście liczyłem przez dwadzieścia cztery lata i jeden miesiąc życia?” wiedziałem, że to nie on jest autorem, bo nauczył się czytać i pisać dopiero po przyjeździe do Fukuoki. Dlaczego więc przepisał to i schował do szuflady? Czy ten wiersz miał coś wspólnego z tym, który znalazłem w jego kieszeni? Przeczytałem go jeszcze raz, lecz mimo doskonałej budowy nie dawał się łatwo zanalizować. Kimkolwiek był jego autor, napisał go w wieku dwudziestu czterech lat. I dopuścił się wtedy jakiegoś ponizającego czynu. Niczego więcej nie mogłem wyczytać. Podniosłem wzrok. Korytarz za półkami tonął już w ciemności. Przetarłem suche zmęczone oczy.

Nazajutrz kontynuowałem swoje cenzorskie powinności, zabijając książki, aby zrobić miejsce dla następnych, tych, które miałem dopiero przejrzeć. Wybrałem dziesięć i ułożyłem je w stos na tacze. *Romeo i Julia*, powieść Stendhala, dwa tomy myśli komunistycznej i sześć książek po koreańsku. Od spalarni dzieliło mnie mniej więcej pięćdziesiąt metrów. Porównałem spis skonfiskowanych materiałów z listą dokumentów do spalenia, którą sporządził Sugiyama. Nie dostrzegłem żadnych różnic. Spalarnia była niczym ołtarz czekający na ofiarę. Wlokłem się tam noga za nogą, czując się jak kat wchodzący na szafot. Gwałtownie otworzyłem drzwiczki - uderzył mnie zapach papieru, dymu i popiołu, i dostałem ataku kaszlu. Wyjąłem zapalniczkę. To ogień - nie trucizna czy sztylet - miał zabić Romea i Julię. A mała iskierka powalić Stendhala. Jego i sześciu koreańskich pisarzy i poetów, których nazwisk nie umiałem przeczytać. Spojrzałem na wypłowiałą okładkę jednego z dzieł i nazwisko autora zadrżało w błękitnym świetle. Jak odpokutuję za zniszczenie duszy poety przelanej na te stronice? Dobrze, że nie znałem koreańskiego. Gdybym znał, wątpię, czy byłbym w stanie spalić ten tomik. Zaciśnąłem powieki, wyrwałem pierwszą kartkę i podpaliłem ją. Wrzuciłem książkę do spalarni. Płomień liznął ją i buchnął, dotarłszy do środka. Koreańskie litery, okrągłe i kanciaste, skurczyły się w ogniu. Wrzuciłem do środka pozostałe dzieła, które kiedyś były dla mnie pocieszeniem. Cała dziesiątka zniknęła w pożodze, pozostała jedynie smuzka dymu i garść popiołu. Wyciągnąłem rękę i moja dłoń zawisła nad mrugającymi żarem prochami. Poczułem ciepło umierających książek. Miałem krótki, urywany oddech, jak wieloryb, który wypływa na powierzchnię po długim pobycie w głębinach. Wmawiałem sobie, że palenie zakazanych materiałów jest obowiązkiem każdego cenzora, że spaliłem właśnie książki odebrane niezdrowemu elementowi naszego narodu. A element ten musiał zniknąć z tego świata. Chociaż w głębi duszy pragnąłem strzec śpiących słów i zdań, stałem się katem literatury.

ŚLEDZTWO

W małym, ciemnym pokoju przesłuchań ruchem głowy wskazałem mu lodowate drewniane krzesło. Otaczała nas wilgoć i kwaśny odór pleśni. Sam zająłem miejsce naprzeciwko niego, przy starym drewnianym biurku. Choi Chi-su, więzień 331, miał spokojne oczy; czuł się tu chyba swobodnie. Przypominał Koreańczyków, których widywałem za młodu w Kioto. Patrzyli na wszystkich beznamiętnym wzrokiem albo rozglądali się wokoło, jakby czegoś szukali. Dopiero później odkryłem, dlaczego mieli puste, oskarżycielskie oczy - stracili sens istnienia.

- 331! - powiedziałem tak ostrym głosem, że przestraszyłem się sam siebie.

- To nie jest moje nazwisko - odparł szorstko. - Nazywam się Choi Chi-su.

- To nazwisko koreańskie. Podaj japońskie!

- Nie mam - wycedził szyderczo. - Wszystko mi jedno, jak będziecie mnie nazywali. Co pan powie na to? Ponieważ mój więzienny numer kończy się jedyneką, niech pan nazywa mnie Ichiro. Będzie pasowało, bo jestem przywódcą więźniów.

Miał rację: *ichiro* znaczy po japońsku „syn pierwotny”.

- Trzynastego grudnia zostałeś poturbowany. Opowiedz, co się stało.

Zerknął na mnie, próbując dociec, dlaczego go o to pytam.

- Nic takiego. Miałem złamany nadgarstek i rozcięte czoło. Trochę krwawiłem, to wszystko.

- Dla mnie stało się bardzo dużo, ponieważ strażnik, który cię pobił, nie żyje.

- Trzynastego grudnia? Niech no pomyślę. Tego dnia, jak zwykle, poszliśmy do pracy. Trochę się guzdrałem i zostałem w celi. Ten sukinsyn otworzył judasza i zaczął na mnie krzyczeć. Powiedziałem, że jestem przeziębiony. Wtedy wszedł do środka i uderzył mnie pałką w głowę. Ale tylko na tym skorzystałem, bo zamiast do pracy wysłano mnie na dziesięć dni do karceru.

- Powiedziałem ci przed chwilą, że ten strażnik nie żyje, a ty nie jesteś nawet zaskoczony.

- A powinienem? A może powinienem się bać? Niby dlaczego? Ja go nie zabiłem.

Przynajmniej to było oczywiste. Miał żelazne alibi. Między drugą i czwartą nad ranem, gdy zamordowano Sugiyamę, przebywał w zamkniętej celi. Co więcej, siedział w oddalonym od oddziału karczerze, który zawsze podlegał surowemu nadzorowi. Pytając go o wydarzenia z dwudziestego drugiego grudnia, podważyłbym wiarę w doskonałą szczelność systemu bezpieczeństwa naszego więzienia. Poczuję się zagubiony jak myśliwski pies, który nagle stracił trop.

- 331! Nie o to pytam. Pytam o ciebie.

Choi Chi-su złożył ręce i schował dłonie do rękawów. Odchylił się do tyłu. Błysnęły kajdanki. Posłał mi zimny uśmiech.

- Już zapomniałem, kim kiedyś byłem. - Przeszył mnie spojrzeniem.

Zastraszony, otworzyłem akta i wyrecytowałem:

- Nazwisko: Choi Chi-su. Czterdzieści dwa lata. Z Gaeseong na Półwyspie Koreańskim. Jako siedemnastolatek zaatakował posterunek policji, napadł na japońskiego kupca i próbował podpalić japoński sklep. W wieku dwudziestu dwóch lat rzucił bombę zapalającą na posterunek policji w Gaeseong i zaraz potem uciekł do Mandżurii. Dziewięć lat później pojawiłeś się w Tokio. Rzuciłeś bombę podczas uroczystych obchodów urodzin cesarza w parku Ueno i zostałeś aresztowany na miejscu zdarzenia. Miałeś szczęście: skazano cię na dożywocie tylko dla tego, że bomba nie wybuchła. Odbywałeś karę w więzieniu w Tokio, ale minister spraw wewnętrznych zarządził, aby wszyscy koreańscy więźniowie zostali przeniesieni do Fukuoki. Tak tu trafiłeś. W ciągu siedmiu lat szesnaście razy próbowałeś uciec i spędziłeś trzysta czterdzieści osiem dni w karczerze za dwadzieścia siedem wykroczeń.

Choi Chi-su łypnął na mnie spoode łba.

- Byłem pod kluczem, kiedy go zabito.

- To żadna wymówka. Jesteś tu dłużej niż inni i znasz to miejsce jak nikt. Mogłeś w jakiś sposób wymknąć się z karczeru. I masz motyw. Sugiyama cię pobił.

- Sugiyama? Mam powiedzieć, co o nim wiem? - Choi uśmiechnął się tajemniczo.

Co takiego wiedział? Co ukrywał? Nachyliłem się ku niemu niczym ryba podpływająca do przynęty.

- Sugiyama Dozan był żołnierzem przez całe życie. Ale umarł

jak mięczak. - Walczyłem z silnym, podstępny przeciwnikiem. Mimo to nie zamierzałem oddawać mu pola. - Uważaj. Dowiem się, co knujesz.

- Jak? - zapytał z uśmiechem.

- Jakoś cię... rozgryzę.

Uniósł brew.

- Kolejny męczycusza. Myślałem, że tylko Hiranuma to lubi.

Nadstawiłem uszu. I wbiłem sobie do głowy te cztery sylaby. Hi-ra-nu-ma.

W rejestrze materiałów przychodzących drobnymi drukami zapisano numery więźniów, tytuły książek oraz daty przybycia skazanych do Fukuoki. Hugo, Tolstoj, Stendhal, Cervantes - książki umieszczono za kratami, tak jak ich, jednak dusze pisarzy i poetów wciąż połyskiwały żywe pośród kart. Papier był ich skórą, tusz krwią, a okładki więzadłami. Poznałem je w naszym antykwaracie, dorastałem w ich krzepiącej obecności. Gdy mnie od nich oderwano, zostałem sierotą. Moja dusza zabłądziła, moje marzenia kuśtykały chwiejnie w mroku.

Przerzuciłem kilka kartek rejestru, by odszukać akta Hiranumy Tochu. Więzień 645. Podszedłem do półki. Na każdym zakurczonym pudle widniał numer osadzonego. Boki pudła oznaczonego numerem 645 były brudne i wyslizgane - ktoś często je zdejmował. Tylko cenzor miał swobodny dostęp do skonfiskowanych materiałów. Moje plecy zalała fala gorąca. Czyżby Hiranuma miał coś wspólnego ze śmiercią Sugiyamy? Otworzyłem pudło i wyjąłem kartkę z danymi osobowymi.

Hiranuma Tochu. Urodzony w 1917 r, w wiosce Mingdong (prefektura Helong, prowincja Jiandao, Mandżuria). W 1932 r, rozpoczął naukę w szkole średniej Eurjin w Mandżurii, a w 1935 przeniósł się do szkoły średniej Sungsil w Pyongyangu w północnej Korei. Gdy szkołę zamknięto za odmowę odprawiania modłów w japońskiej świątyni shintoistycznej, wrócił do Longjing w Mandżurii. W 1938 r, wstąpił do college'u Yonhi w Seulu. W 1942 r, przeprowadził się do Japonii i zapisał na wydział literatury angielskiej na Uniwersytecie Rikkyo. Jesienią tego samego roku przeniósł się na wydział literatury angielskiej Uniwersytetu Doshisha w Kioto. W lipcu 1943 r, został zatrzymany przez funkcjonariuszy Specjalnej Wyższej Policji i jako przestępca polityczny osadzony w areszcie na posterunku w Shimogamo.

Dwudziestego drugiego lutego 1944 r, skazany na dwa lata więzienia za pogwałcenie Aktu utrzymania porządku publicznego.

Jego przeszłość kryminalna była podobna do przeszłości innych osadzonych. Otworzyłem rejestr skonfiskowanych dokumentów. *Zbrodnia i kara* Dostojewskiego, *Ciasna brama* André Gide'a, *Kwiaty zła* Baudelaire'a, wiersze Paula Valéry'ego, Francisca Jammes'a i Rainera Marii Rilkego. Znajome nazwiska - z wahaniem powróciłem do nich pamięcią. Wciąż połyskiwały we mnie jak gwiazdy, serce waliło mi jak młotem. Pudło zawierało szesnaście książek o wytartych okładkach, wystrzępionych od częstego czytania. Na wierzchu leżały *Pamiętniki Malte-Lauridsa Brigge* Rilkego. Czułem, jak krew krąży mi w żyłach. Chciałem powrócić do Rilkego po wojnie. Zamiast spełnić moją prośbę, Bóg zesłał mi inną możliwość: mogłem zrobić to już teraz, tyle że w więzieniu. Coś wysunęło się spomiędzy kartek i spadło na podłogę. Ostrożnie podniosłem pozołkłą kartkę.

AUTOPORTRET

*Samotnie obchodzę górę, stoję przy ustronnej studni
na skraju poletka ryżowego i bez słowa zaglądam do środka.*

*Widzę tam jasny księżyc, leniwie sunące chmury,
bezkresne niebo i błękitny wiatr; jest jesień.*

*Widzę również człowieka.
Nie podoba mi się z jakiegoś powodu, więc odchodzę.*

*Ale po namyśle robi mi się go żal.
Wracam więc i zaglądam; wciąż tam jest.*

*I znowu odchodzę, bo mi się nie podoba.
Myślę o nim i zaczyna mi go brakować.*

*Widzę w studni jasny księżyc, leniwie sunące chmury,
bezkresne niebo i błękitny wiatr; jest jesień.
Widzę również człowieka, jak wspomnienie.*

Wiersz był doskonały jak szwajcarski zegarek, chociaż zamiast ze śrubek i zębatych trybików złożono go z rzeczowników, czasowników i przymiotników. Zawsze podziwiałem niezwykłość maszyn, to,

że gdy są dobrze skonstruowane, służą duchowi ludzkości. Rycząca tkalnia wypłuka materiał, aby ktoś mógł się nim delektować. Kompas, karabin, silnik parowy, samochód i samolot rozpalają naszą wolę, dodają nam odwagi i zmieniają nasze życie. Ten wiersz, to skomplikowane urządzenie werbalne, napęłnił zadowoleniem część mojej duszy. Przypomni mi się inny: *Wyznanie. Autoportret i Wyznanie*. Obydwa pachniały tak samo, były jak bliźnięta. W obydwu dostrzegłem spokój i znajomość samego siebie, melancholię i cień nadziei. Zaczynały się smutno, jednak smutek ten szybko ustępował miejsca żarliwemu optymizmowi. Choć przeczytałem tylko dwa, miałem wrażenie, że znam ich autora. Czy to Hiranuma je napisał? Żeby się o tym przekonać, musiałem się z nim zobaczyć.

Drzwi do pokoju przesłuchań otworzyły się cicho i wszedł do środka. Jego przystojna twarz rozświetliła mroczne wnętrze. Ogolona głowa i cienkie brwi uwydatniały zaokrąglone czoło. Miał migdałowe oczy i delikatny, lecz stanowczo zarysowany nos. Na jego spierzchniętych ustach błędził cień uśmiechu. Wyglądał tak, jakby coś mu się śniło. Jakim cudem ktoś taki, człowiek o tak łagodnych oczach i tak błogim uśmiechu, mógł skończyć w więzieniu? Zajrzałem do akt, żeby przypomnieć sobie, jakie popełnił przestępstwo: udział w koreańskim ruchu niepodległościowym.

Przemówił jako pierwszy.

- Widzę, że i pana ściągęli tu bez powodu.

Czy była to deklaracja niewinności? Powiedział: „i pana”. Nieważne. Nie byłem sędzią. Byłem tylko niskiej rangi strażnikiem.

- Każdy więzień twierdzi, że jest niewinny - odrzekłem. - Nawet wyrachowany morderca. Ale skoro siedzisz w więzieniu, musiałeś popełnić jakieś przestępstwo. Chyba że jesteś Edmondem Dantèsem.

Rozbłysły mu oczy.

- A Prometeusz przykuty do kaukaskiej skały?

Przez chwilę patrzyłem na niego bez słowa. Czytaliśmy te same książki, znaleźmy tych samych autorów, mieliśmy podobne wspomnienia.

- Prometeusz skradł ogień. Nieważne, co kradniesz czy komu, każda kradzież musi zostać ukarana.

- Czy bezsilność i naiwność jest zbrodnią? Jak w przypadku Edmonda Dantèsa, który, kochając Mercedes, nie mógł jednak zapobiec spiskowi Mondegi, Danglarsa i Villeforta?

To nie było pytanie. Podobnie jak ja, on też chciał porozmawiać o fikcyjnych bohaterach wciąż żyjących w jego głowie.

- Nie, bezsilność i naiwność to nie zbrodnia - odparłem. - Ale jedno i drugie może być powodem zbrodni, ponieważ nikt nie obroni kogoś, kto nie próbuje obronić się sam.

Kiwnął głową, przyjmując mój zakamuflowany argument, że Koreańcy są przestępcami, bo nie umieli obronić swojego kraju, że przestępstwem jest już samo bycie Koreańczykiem.

Z kieszeni na piersi wyjąłem dwie kartki i rozłożyłem je na biurku. *Autoportret* i *Wyznanie*.

Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie i strach.

- *Autoportret* napisano na kartce wyrwanej z *Pamiętników Malte-Lauridsa Brigge* Rilkego. Książkę tę znalazłem w twoim pudle ze skonfiskowanymi materiałami. To twój wiersz, prawda?

- Tak, ci z policji zabrali mi tę książkę. Ale kupiłem ją w antykwariacie. Skąd pewność, że to mój wiersz?

- Język jest jak podpis, jak odcisk palca. Narodziny, dorastanie, wspomnienia, przeszłość: to wszystko w nim jest. *Autoportret* i *Wyznanie* są jak bliźnięta. Jeśli napisałeś *Autoportret*, niewątpliwie napisałeś i *Wyznanie*.

- Niech pan to udowodni.

- Podmiot liryczny przywykł do samotności. Jest małomówny: ogranicza swoje wyznanie do jednej linijki i bez słowa krąży wokół studni. Nienawidzi siebie i się nad sobą lituje, jednocześnie mu siebie brak. Godzi się na brzemię życia. Ktoś, kto w *Wyznaniu* wykorzystuje swoje ciało do polerowania zardzewiałego lustra z czasów upadłej dynastii, jest człowiekiem pogrążonym w rozpacz, lecz także wytrzymałym. Wyrażenie: „Relikt której dynastii?” to aluzja do jego osobowości. Innymi słowy, jest Koreańczykiem.

Hiranuma przyglądał mi się z dziwnym wyrazem twarzy. Po chwili podniósł gardę.

- Jestem tylko więźniem. Nic z tego, co pan powiedział, nie dowodzi, że to ja napisałem te wiersze.

Tylko na to czekałem.

- Istnieje wyraźny dowód, że jesteś autorem *Wyznania*. Dwadzieścia cztery lata i jeden miesiąc: dokładnie tyle liczył sobie poeta, kiedy je napisał. Po co miałby tworzyć tego rodzaju wiersz w tak młodym wieku? Co chciał by wyznać?

Nie szukałem odpowiedzi, bo już ją znałem. Według sentencji wyroku Hiranuma przybył do Japonii wiosną czterdziestego drugiego, by wstąpić na Uniwersytet Rikkyo i w grudniu skończył dwadzieścia

cztery lata. Musiał napisać ten wiersz kilka miesięcy przed wyjazdem z Korei.

- Żeby przyjechać legalnie do Japonii - ciągnąłem - Koreańczyk potrzebuje zaświadczenia. Można przekraść się tu nielegalnie, choćby jako pasażer na gapę pod pokładem statku, ale nie wtedy, kiedy chce się oficjalnie rozpocząć studia. Aby otrzymać zaświadczenie, trzeba przyjąć japońskie nazwisko. Twoje, tamto koreańskie, jest reliktem z czasów upadłej dynastii. A „zhańbiona twarz” w zardzewiałym lustrze aluzją do tego, że musiałeś je zmienić. To właśnie dlatego cierpiałeś. To właśnie to chciałeś wyznać, patrząc na kogoś, kogo musiałeś się wyrzec, żeby tu przyjechać.

Hiranuma robił wrażenie zmęczonego.

- To zwykły wiersz, który napisałem przed wyjazdem do Japonii - powiedział chrapliwym głosem. - Czy to przestępstwo? Nie został nawet opublikowany.

- Nie, to nie przestępstwo.

W takim razie dlaczego tu jestem? - spytały jego oczy.

- Ten wiersz łączy się jakoś ze śledztwem w sprawie morderstwa. Znalazłem *Wyznanie* w biurku zabitego trzy dni temu strażnika. Ten sam poeta jest autorem *Autoportretu*. Tak więc po co ów strażnik przepisał twój wiersz? Co te dwa wiersze mają wspólnego z jego śmiercią? Oto czego chcę się dowiedzieć.

W oczach Hiranumy nie było ani napięcia, ani powściągliwości. Na jego ustach błędził lekki uśmiech.

JAK CHŁOPIEC STAJE SIĘ ŻOŁNIERZEM

Z piecyka w gabinecie Maedy wciąż biło ciepło. Z ogrzaną krwią w żyłach byłem zmęczony i ospały. On sam ledwo zerknął na cenzorski rejestr, który dałem mu do podstemplowania. Nie wiedziałem, co mu powiedzieć, a co zatrzymać dla siebie.

- A propos sprawy Sugiyamy... - zacząłem chrapliwie mówić.

- Zaszło coś nowego? - spytał ze znudzoną miną. - Zmartwychwstał? - Wetknął palec do ucha, jakby chciał wydłubać zeń to, co przed chwilą powiedział.

- Myślę, że zaczynam rozumieć znaczenie wiersza, który znalazłem w jego kurtce.

Maeda wygrzebał z ucha wosk i zaskoczony, wytarł palec. Nie dziwiłem mu się, bo kilka anonimowych gryzmołów nie było dowodem przestępstwa, nie mówiąc już o zbrodni.

- W tej sprawie nie ma nic godnego uwagi. Skup się na obowiązkach cenzora.

- Tak jest, nie zamierzam ich zaniedbywać. Jeśli zajrzy pan do rejestru, przekona się pan, że nie traciłem czasu. Chciałbym jednak ustalić przyczynę i okoliczności śmierci Sugiyamy.

- Wszystko to znajdziesz w protokole sekcji zwłok, który przysłano nam z izby chorych.

- Pewnych faktów nie da się ustalić na jego podstawie. Myślę, że dobrze by było, gdybym tam poszedł, porozmawiał z lekarzem, który przeprowadzał autopsję, i dowiedział się czegoś więcej...

Maeda odrzucił na bok gazetę, którą właśnie zaczął czytać.

- Jesteś na to za głupi, chłopcze! Zdajesz sobie sprawę, czym jest izba chorych? Ośrodkiem badawczym wydziału medycyny Cesarzowskiego Uniwersytetu Kiusiu. Znajduje się w pierwszej strefie bezpieczeństwa, strażnicy nie mają tam prawa wstępu! Nie można tam wchodzić ot tak, kiedy się chce.

Nie ustępowałem.

- Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa, zgodnie z wyraźnym rozkazem naczelnika. Moją uwagę przykuło coś w raporcie

codziennym, więc przesłuchałem więźnia 331. Sugiyama pobił go tak bardzo, że połamał mu kości.

Przez pomarszczoną twarz Maedy przemknął cień zaciekawienia.

- Chcesz powiedzieć, że 331 zabił Sugiyamę, bo miał mu coś za złe?

- Żeby to potwierdzić, muszę przesłuchać lekarza, który przeprowadzał sekcję zwłok, i obejrzeć ciało.

- Dobrze. Dam ci zezwolenie. Ale bądź ostrożny. - Maeda podstemplował przepustkę do izby chorych. - Zrób to, co musisz, i od razu wyjdź. Bądź niewidzialny.

Dziwne, ale rozkaz ten zabrzmiał jak prośba.

*

Izba chorych mieściła się w dwupiętrowym budynku w prawej części kompleksu. Patrząc z zewnątrz, zdawało się, że jest to jeden gmach, ponieważ z główną częścią więzienia łączył ją długi korytarz. W środku natomiast było nie do porównania. Zamiast odoru potu i odchodów królującego w budynku głównym w korytarzach unosił się tam zapach środków dezynfekcyjnych tak silny, że zakręciło mi się w głowie, ale nie szkodzi. Izbę chorych zbudowano, kiedy Fukuokę przekształcono w więzienie krajowe dla skazanych z wieloletnimi wyrokami. Przedtem nikt nie zwracał sobie głowy zdrowiem zdrajców i kryminalistów. Dlatego w skrzydle administracyjnym zamiast izby chorych urządzono prowizoryczny lazaret bez odpowiedniego sprzętu medycznego, w którym pracował dobiegający sześćdziesiątki lekarz i czterdziestokilkuletnia pielęgniarka. Mieli głównie do czynienia ze zwłokami więźniów, tych, których właśnie stracono, którzy umarli na jakąś chorobę czy zginęli podczas zamieszek. Medycyna nie znajdowała tam żadnego zastosowania, ponieważ nikt nie próbował ratować umierających ani leczyć chorych. Sytuacja zmieniła się dzięki profesorowi Moriocie z wydziału medycyny na Cesarskim Uniwersytecie Kiusiu, najlepszemu specjalście w kraju. Wielbiciel sztuki, człowiek niezwykle czarujący i towarzyski, Morioka był znanym w Kioto intelektualistą i filantropem. Dlatego jego decyzja przejścia z uniwersytetu do więziennictwa była wprost szokująca i wywołała histerię w mediach. Tłumacząc, że wiąże się to ściśle z przysięgą Hipokratesa, Morioka oświadczył, że więźniowie też mają prawo do opieki medycznej. A ponieważ w szpitalach uniwersyteckich pracuje aż za dużo dobrych lekarzy, to on chce służyć tym, którzy potrzebują go najbardziej. Jednocześnie podkreślił, że

będzie kontynuował swoje badania w więzieniu. Dyrektor szpitala był zupełnie zdezorientowany, a burmistrz próbował odwieść profesora od tego zamiaru. Morioka zwerbował dziesięciu specjalistów, dwunastu stażystów, dwudziestu laborantów i dwadzieścia kilka pielęgniarek. Gdy przybył do Fukuoki, wszyscy powitali go z niecierpliwym wyczekiwaniem. Więźniowie byli wniebowzięci, że ich zdrowiem, zniszczonym przez zimno, głód i bicie, zajmą się teraz uniwersyteccy lekarze.

Mijałem pokoje pacjentów, stanowiska pielęgniarek i sale zabiegowe. Wszędzie paliło się jaskrawe światło i wszystko tonęło w skrzyślej się bieli. Na korytarzu krzatali się lekarze i pielęgniarki w olśniewająco białych kitlach. Zawsze uważałem, że uniform jest odzwierciedleniem duszy - więźniowie byli bladzi i zmęczeni, strażnicy mroczni, lekarze czysti, a pielęgniarki nieskalane. Prosektorium znajdowało się w piwnicy na samym końcu korytarza. Ciało Sugiyamy leżało na metalowym wózku na środku pustego pomieszczenia. Pokrywały je sińce, niebieskie, czarne i czerwone. Zauważyłem, że kolana były podrapane, ciemne i zrogowaciałe. Na roztrzaskanym czole widniały krople zaschniętej krwi, a blade, spierzchnięte usta zostały starannie zaszyte.

Eguchi Shinsuke, laborant prowadzący sekcje zwłok, stał przy wózku w masce chirurgicznej, która zasłaniała mu prawie całą twarz. Zasalutowałem. Shinsuke podniósł kościstą rękę i zdjął maskę. Uśmiechnął się szeroko. W każdym calu dżentelmen, miał czterdzieści kilka lat. Podczas wojny mężczyźni szybko się starzeli, ale zdawało się, że on uniknął brutalnej rzeczywistości naszych czasów. Wyszliśmy i zaprowadził mnie do sali obserwacyjnej przeznaczonej dla świadków egzekucji i tych, którzy odbierali ciało. Położył na biurku i otworzył protokół sekcji zwłok.

- Główną przyczyną śmierci było pęknięcie czaszki i krwotok śródmózgowy wywołany ciosem w tył głowy. Zasinienia na ciele wskazują, że już nieprzytomnego pobito tępym narzędziem.

Ogarnęła mnie groza. Lekarz posłał mi dziwne spojrzenie, wyszedł i przykrył ciało białym prześcieradłem. Wrócił i umył ręce. W chłodnej sali zapachniało rybą.

- Czy można stwierdzić, jakie to było narzędzie?

- Prawdopodobnie strażnicza pałka. Zasinienia mają kształt jej czubka. A rany szarpane na głowie podobny obwód. Największe urazy wewnętrzne spowodował długi metalowy przedmiot, którym ugodzono go w pierś. Przedmiot ten przebił serce.

Wiedziałem, że w więzieniu łatwo taki zdobyć. Znalazłszy kawa-

łek metalu, skazany natychmiast zaczynał się zastanawiać, jak można nim kogoś zabić. Więźniowie spiłowywali łyżki, by nadać im kształt noża, albo wyrwawszy z ogrodzenia część siatki, skręcali druty, zaostrzali czubek i tak skonstruowaną broń chowali do rękawa.

- Ciało wisiało na sznurze - zauważyłem.
- Powieszenie nie było bezpośrednią przyczyną zgonu.
- To znaczy, że już wtedy nie żył?

Eguchi spojrział na mnie znad okularów i pokręcił głową, dając mi do zrozumienia, że nie wie.

Spróbowałem z innej beczki.

- Ma zaszyte usta. Co to znaczy?

Eguchi znowu pokręcił głową.

Zatem to ja musiałem odkryć prawdę. Wyniki sekcji zwłok były jednoznaczne, ale zgromadzone w jej trakcie dowody nie tworzyły pełnego obrazu. Chciałem jak najszybciej wyjść z tego białego, błyszczącego szpitala, nie mogłem się już tego doczekać. Bardziej pasowałem do miejsc ciemnych, szarych i wilgotnych.

Poranek ósmego dnia grudnia 1941 roku był taki sam jak inne. Dzwoniąc głośno, po szynach przesuwiał się z łoskotem tramwaj, chodnikami spieszyły kobiety w kimonach, a mężczyźni łypali spode łba z wykrzywioną gniewem twarzą. Po południu do antykwariatu wpadł jakiś student i powiedział, że w radiu na okrągło nadają ważny komunikat. Pobiegłem do mieszczącego się tuż obok zakładu radiotechnicznego. Przed szklanymi drzwiami kłębił się tłum ludzi. Przez trzaski zakłóceń przebijał się beznamiętny głos:

- Dziś o szóstej rano Cesarska Kwatera Główna, której podlegają japońskie siły lądowe i morskie, wydała rozkaz rozpoczęcia wojny na Pacyfiku, wystąpiła przeciwko siłom amerykańskim i brytyjskim. Samoloty japońskiego korpusu lotniczego zbombardowały Pearl Harbor na Hawajach, w rezultacie zatopiły liczne okręty wojenne i za dały Amerykanom potężny cios...

Gdy wyszedłem z zakładu, nie byłem już chłopcem. Na ulicy roiło się od mężczyzn z uwagą czytających specjalne wydanie gazet. W oczy były ich wielkie jak pięść litery: CESARZ WYPOWIADA WOJNĘ AMERYCE I WIELKIEJ BRYTANII. MARYNARKA WOJENNA ATAKUJE HONOLULU: W PEARL HARBOR TONĄ DWA AMERYKAŃSKIE OKRĘTY. Wojna towarzyszyła mi przez całe życie. Mandżuria, Chiny, Pacyfik - jedna się jeszcze nie skoń-

czyła, a już zaczynała następna. Ale ta była inna, ta wyciskała życie z moich rodaków. Szkoły elementarne zmieniły nazwę na szkoły narodowe. Mężczyźni przesywali klapy marynarek, bo chcieli przerobić je na mundury narodowe. Wprowadzono zakaz prywatnych zgromadzeń i reglamentację towarów. Wytwórnia *oden** zaczęła produkować żywność tylko dla wojska, a szwalnia szyć wojskowe mundury. Dzieci, uczone, że nawet gwoździak może stać się kulą i przeszyć serce nieprzyjacielskiego żołnierza, plądrowały domy w poszukiwaniu choćby najmniejszego kawałka metalu, który przekazywały potem szkole. Na rogach ulic budowano schrony przeciwlotnicze z wypełnionych piaskiem worków, a tramwaje kursowały między nimi, jakby nic się nie zmieniło. Rangun, Surabaja, Holenderskie Indie Wschodnie - jak papuga, radio nieustannie nadawało wiadomości o kolejnych zwycięstwach w różnych częściach Pacyfiku. Hasło „Z tym, czego pragniesz, zaczekaj do zwycięstwa” wypalało mi uszy. Rozpaczliwie czekałem na zwycięstwo, ciągle wyglądając specjalnych racji żywnościowych, które towarzyszyły dobrym wiadomościom, paczek z cukrem, fasolą i słodyczami, bo dzięki nim nasze szare serca nabierały koloru. Maszerując wokół szkolnego boiska, instruktorzy musztry wydawali nam szczekliwe rozkazy. Zaczęliśmy od musztry w szyku zwartym i udzielania pierwszej pomocy, a pod koniec semestru znaleźliśmy już zasady walki na bagnety, umieliśmy strzelać, rozpoznawać amerykańskie bombowce oraz w zależności od huku bomb i koloru dymu powstałego podczas eksplozji stosować się do różnych planów ewakuacyjnych. Nigdy nie połuźnialiśmy owijaczy, bo gorąco wierzyliśmy, że cierpimy razem z naszymi żołnierzami, a dla uczczenia poległych postanowiliśmy, że pospieszymy na front, kiedy tylko nas wezmą. Szkolne mundurki można było szybko przerobić na wojskowe mundury, ale nie wierzyliśmy, że do tego dojdzie. Chociaż zbieraliśmy się na dworcu, aby pożegnać wiwatami naszych starszych kolegów powołanych do armii, nie wierzyliśmy, że ktoś przyjdzie kiedyś pożegnać nas. Wojna wciąż wydawała się nam czymś nierzeczywistym i odległym.

* Danie składające się z rzodkwi daikon, konnyaku, panierowanych ryb, dashi, tofu i sosu sojowego.

Ale los jest sprawiedliwy.

Pewnego letniego dnia pod koniec semestru, gdy właśnie skończyłem siedemnaście lat, czerwony bilet sfrunął z góry jak bomba i rozsadził moje życie. Byłem akurat w antykwariacie - czytałem *Przygody Olivera Twista* - gdy usłyszałem, jak otwierają się szklane drzwi. Ktoś zawołał:

- Watanabe Yuichi!

Niski, ponury głos roztrzaskał moje marzenia jak szkło. Zamknąłem książkę i niczym w sennym transie wyszedłem chwiejnie zza półek. Listonosz w narodowym mundurze zerknął na mnie i zajrzał do torby. Przerzucił palcami plik listów. Widziałem, że unika mojego wzroku. Przed iloma chłopcami musiał uciekać wzrokiem w bok? Chłopcami, którzy trzęśli się jak przed egzekucją, jak schwytane w sidła młode jelonki. Długo grzebał w torbie, wreszcie podniósł głowę, by z kamienną twarzą podać mi list i poduszkę z tuszem. Przycisnąłem do niej kciuk, po czym potwierdziłem odbiór przesyłki. Zauważyłem, że na matkę też nie patrzy. Odwrócił się sztywno. Na kopercie widniały słowa: „Cesarska Kwatery Główna”. Słowa wyciągnęły macki, chwyciły mnie za gardło i zaczęły dusić. W środku był czerwony bilet: powołanie.

Godzina zbiórki: 6.30, 27 marca, Showa 18*

Miejsce zbiórki: wschodnia strona placu przed dworcem kolejowym w Kioto.

* Showa: „Era Oświeconego Pokoju” - okres w historii Japonii (od 25.12.1926 r. do 7.01.1989 r.) przypadający na panowanie cesarza Hirohito. Showa 18 to w kalendarzu japońskim 1943 r.

Nie mogłem oddychać. Właśnie wtedy zrozumiałem, że to słowa, nie kule czy bomby, zabijają żołnierzy ginących w bitwie. Jedna linijka tekstu była tak potężna, że mogła przewrócić do góry nogami cały świat i zniszczyć życie. Chłopcy stawali się żołnierzami, wywożono ich na front i rzucono do walki. Upuściłem powieść Dickensa nie dlatego, że bałem się śmierci, tylko dlatego, że nagle zacząłem bać się słów. Moja matka, która zszywała właśnie oprawę, wydała niemal niesłyszalny dźwięk - na jej kciuku wezbrały krople krwi. Robiła, co mogła, żeby nie załamać się w obliczu tragedii.

Wiele miesięcy później, rankiem w dniu, w którym miano wcielić mnie do wojska, potarłem świeżo ogoloną głowę i pomyślałem o moim ojcu, który przeszedł tę drogę przede mną. Tak samo jak przed laty, na stacji dyszał parą czarny pociąg, a orkiestra wojskowa grała marsza. Nie bałem się. Nie uważałem też, że to niesprawiedliwe, iż mam zostać żołnierzem. Martwiłem się tylko o matkę, która była za drobna, by co rano otwierać ciężkie wrota strzegące drzwi naszego sklepu.

Po przeszkoleniu skierowano mnie do Fukuoki na stanowisko strażnika. Moją przyszłość uwięziono za wysokimi murami, drutem kolczastym oraz zimnymi kratami, a moją młodość w brązowym

mundurze. Całkowicie odizolowano mnie od książek. Do czytania miałem tylko bezduszne regulaminy, a jedyne słowa, które tam napisałem, znajdowały się w raportach po obchodzie. Wygłodniały, czytałem wszystko, co wpadło mi w ręce. Pożerałem rejestry materiałów przeznaczonych do spalenia, rejestr kar, wytyczne i dokumenty administracyjne, a nawet napisy na tablicach przed wejściem i wyjściem. Jednak były to tylko martwe słowa, które mnie nie poruszały. Moja dusza pozostawała wiecznie niedożywiona. Pragnąłem napotkać chociaż jedną linijkę dźwięcznej, żywej prozy. Ale tego luksusu żołnierz w czynnej służbie nie mógł doświadczyć.

Tak trafiłem na wojnę - jakbym wkroczył do krainy snów. Chciałem powrócić do mojego poprzedniego życia. Rozpaczliwie pragnąłem, żeby wojna się wreszcie skończyła, bym mógł zrzucić wojskowy mundur, włożyć szkolny mundurek i poczytać Stendhala. Ale nie wiedziałem, kiedy to będzie ani czy działania wojenne kiedykolwiek ustaną. Nie wiedziałem również, że kiedy ustaną, zamiast studenckiego uniformu przyjdzie mi nosić więzienny strój.

SPISEK

W warsztacie było wilgotno od potu. Osadzeni cerowali tam i farbowali wojskowe mundury i ubrania. Pracę tę wykonywali tylko wykwalifikowani więźniowie z wysokimi wyrokami. Ci mający mniej szczęścia cierpieli na dworze, na zimnie, zmuszając przemarznięte ciało do formowania cegieł, dźwigania na plecach ciężkich materiałów, pchania taczek i przerzucania szuflami zbrylonej ziemi. Podczas pracy nie wolno było rozmawiać; przyłapanego na rozmowie katoowano prawie na śmierć. Nawet krótka przerwa powodowała opóźnienie i zachęcała strażników do bicia. Osadzeni umierali od tortur, zimna i chorób. Rodzinom dawano dziesięć dni na odbiór zwłok. Jeśli nikt nie przyjeżdżał, ciało przeznaczano na cele badawcze. Takich zmarłych grzebano później na niskim wzgórzu cmentarnym. W miarę jak wojna przybierała na sile i zwiększała się liczba osadzonych, rozrastał się i cmentarz.

Więźniowie mogli posmakować wolności jedynie podczas przerwy od czwartej do piątej po południu, którą spędzali na dworze. Wycieńczeni Koreańczycy gromadzili się pod murem, wypatrując białych promieni słońca. Nieustannie coś do siebie ukradkiem mamrotali i dziedziniec zmieniał się w plac targowy. Ten rozgwar zawsze denerwował strażników i ci na wieży przeładowywali broń. Więźniowie twierdzili oczywiście, że są niewinni i opowiadali sobie, jak tu trafili i za co. Chociaż byli złodziejami, bandziorami, oszustami i szpiegami, instynktownie rozumieli poczucie niesprawiedliwości swoich pobratymców. Wszyscy uważali, że wpadli w zastawione przez przebiegłych Japończyków sidła i zostali niesłusznie oskarżeni. Wszyscy nosili w sobie gniewną rozpacz.

Szedłem wzdłuż muru, obserwując grupę skupioną wokół więźnia 331. Była to banda wicherzycieli; szybkie pięści stanowiły tu źródło władzy. Wiedziałem, że osadzeni często atakują strażników. Kiedy służbę mieli ci nielubiani, więźniowie celowo wszczynali bójkę albo uszkadzali maszyny w warsztacie, chociaż groziło za to bicie i karcer. Ucichli, gdy z ręką na uchwycie pałki podszedłem bliżej.

- Jestem Watanabe Yuichi! Śledczy prowadzący do chodzenie w sprawie morderstwa Sugiyamy. Lepiej ze mną współpracujcie.

Mężczyźni zmierz yli mnie wzrokiem.

- Myślałem, że śledczy specjali ni są ze Specjalnej Wyższej Policji - zakpił więzień 156, łysielec, który był kiedyś dokerem. - Ale taki świeżak? Studencik? Nie, panie śledczy, nie zrobiliśmy nic złego.

Słyszałem o nim. Dziesięć lat temu przyplłynął na gapę do Shimonoseki, by przed trzema laty dostać siedmioletni wyrok za wywołanie buntu dokerów w Tokio. Bunt zorganizowali i wywołali japońscy robotnicy, ale winę zrzucono na niego. Przyjrzałem się uważnie więźniom. Jeden splunął na ziemię, drugi udawał znudzonego, wydłubując brud spod paznokci. Czulem, że coś ukrywają. Zresztą w więzieniu wszyscy coś ukrywali.

- Nie twierdzą, że zrobiliście - warknąłem. - Ale jeszcze możecie zrobić. Bić się, bojkotować, łamać przepisy i siedzieć w karcerze, w tym jesteście dobrzy, prawda?

- Studencik? - rzucił kąśliwie więzień 945. - W takim razie nie masz nawet dwudziestu lat. I taki smarkacz prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa?

Spojrzał na niego osadzony 397.

- Naczelnik wie, że jeśli wiadomość o morderstwie wydostanie się za mury, będzie po nim. Dlatego nie wzywa tajniaków. Próbuje to wyciszyć.

Bawili się ze mną. Palily mnie policzki. Miałem ochotę wyciągnąć pałkę i ich zbić.

- Szkoda, że Sugiyama umarł - łagodził numer 945 - ale nie mamy z tym nic wspólnego. Daj nam spokój.

- Nie zamierzam was dręczyć. Ale dowiem się, kto to zrobił. - Jednemu po drugim, spojrzałem każdemu w oczy, jakbym stawiał na nich stempel.

Osadzony 156 zmarszczył brwi.

- Chcesz nas oskarżyć? Nawet o tym nie myśl. Gdzie są dowody? Nie mam pojęcia, jak ten dupek wykitował, ale wiem jedno: dostał to, na co zasłużył. Dlatego lepiej uważaj, jeśli nie chcesz, żeby to samo przytrafiło się tobie.

Przełknąłem ślinę.

- To groźba?

- Jeśli się wystraszyłeś, to tak.

- Nie odszczekuj. Mogę wysłać cię do karceru.

Moje twarde jak kamień słowa nie poskutkowały.

- Śmiało. Mogę tam przesiedzieć nawet tydzień, nie ma pro-

blemu. Chcesz mnie zbić? Proszę bardzo. Każda rana zagoi się w tydzień. - 156 uderzył się pięścią w pierś i pochylił głowę, prowokując mnie do ciosu.

Łypnąłem na niego spode łba i ręka zadrżała mi na uchwycie pałki. Wiedziałem, że przegram, kiedy tylko jej dobędę. Nie byłem Sugiyamą. A pałka rozwiązaniem.

Więzień 543 zerknął na wieżę.

- Zabić strażnika? - rzucił chytrze. - Czysta głupota. Kto mógł zrobić coś tak durnego?

- Zabicie wrednego strażnika nazywasz głupotą? - warknął niecierpliwie 156, nie bacząc na moją obecność. - Dlaczego? Towarzyszu, dobrze wiesz, że mu się należało!

Spojrzeni na stojącego w oddali więźnia z numerem 331 na szerokiej piersi. Mężczyzna obszedł dziedziniec, jakby ich nie widział. Potem ruszył w naszą stronę.

- Towarzyszu Choi! - zawołał głośno 156. - Ty nam powiedz. Kto twoim zdaniem zabił tego skurwysyna?

- Nieważne - odparł Choi, pocierając czubek zaczerwienionego nosa. - Ważne jest to, kto przeżyje.

Wiedziałem, że mówi do mnie. Spojrzał w niebo, potem na wieżę i strażników, a także na załadowany karabin maszynowy i reflektor o mocy dwóch tysięcy watów, który oświetlał więzienie nocą i automatycznie zataczał szeroki łuk.

Gasnące słońce zbladło jeszcze bardziej. Nie zwracając na mnie uwagi, więźniowie zaczęli się zajadłe klócić. Zabrzmiał długa trąbka na koniec przerwy.

- Rozejść się! - krzyknąłem.

Powłócząc nogami, mężczyźni rozeszli się leniwie. Z dziur w znoszonych butach wystawały im paluchy, mieli popękane, poźółkłe paznokcie i otarte, pokancerowane pięty. Strażnicy szybko ich przeliczyli. Narzekając po koreańsku, więźniowie wrócili do pracy jak stado owiec. Choi i jego kumple szli razem. Zauważyłem, że ich spodnie są wybrzuszone i wytarte na kolanach. Musieli często przed kimś kłękać. Przed kim? Kto ich do tego zmuszał?

W wartowni przejrzałem akta, szukając spisu więźniów skazanych na karcer i tego, jak długo tam siedzieli. Karcer mieścił się w prowizorycznym cementowym budynku wbudowanym w pagórek między gmachem głównym i cmentarzem. Składał się z opatrzonych grubymi

stalowymi drzwiami małych prostokątnych cel o wymiarach dwa metry na metr. Więzień leżący na podłodze obydwojoma ramionami dotykał ścian. Latem było tam gorąco jak w piecu, zimą zimno jak w chłodni. Kara karceru podczas fali upałów czy mrozów równała się praktycznie karze śmierci. Raz dziennie osadzony dostawał pół kulki ryżu i pół miski zupy *miso*. Niezliczonych więźniów wynoszono stamtąd zawiniętych w słomianą matę, a jeśli nawet ktoś wyszedł z karceru o własnych siłach, jego życie często wisiało na włosku.

Maeda zajął mi przez ramię.

- Nazwiska mordercy nie znajdziesz w rejestrze, głupcze! Nieważne, kto to jest. Powieś tych Koreańców do góry nogami, daj im wycisk i zaczną gadać. Mały klaps nigdy nie zaszkodzi. - Oczy zwięzły mu się w uśmiechu.

Czyżby namawiał mnie do wymuszenia fałszywych zeznań? Przecież więzień nie byłby wtedy prawdziwym mordercą, tylko żalonym kłamcą. Przejrzałem spis. Nawet jeśli miałbym kogoś przesłuchać, musiałem być przygotowany.

- Nie ma tu nic użytecznego - dodał Maeda. - Sami Koreańcy. I sami wichrzyciele: 397, 156, 331, 543, 954, 645. - Uśmiechnął się złośliwie. - Znam ich wszystkich i każdego z osobna. Kang Myeong-u, Lee Man-o, Choi Chi-su, Choi Cheol-gu, Kim Gwing-pil, Hiranuma Tochu! Nazwiska tych brudnych świń kalają mi usta.

Nie zwracając na niego uwagi, zacząłem przeglądać listy sprzed pół roku.

Maeda splunął na podłogę.

- Oni uwielbiają karcer. Te głupie małpy nawet tam nie mdleją.

Wskazałem odpowiednią rubrykę.

- Ale w sierpniu przez dwa tygodnie wszystkie cele były puste, jakby to zaplanowali.

- No jasne - mruknął obojętnie Maeda. - Mieliśmy wtedy najgorsze upały.

- Dlaczego tak agresywni więźniowie stają się potulni podczas upału?

- Bo wiedzą, że karcer jest wtedy jak ekspres na cmentarz. Pewnie bardziej uważają.

- Skoro potrafią uważać podczas upału, dlaczego nie uważają cały czas? Czy to nie dziwne?

- Dziwne? Ale co?

- To, że kiedy indziej trafiają tam, jakby tego chcieli.

- Zmieniłbyś zdanie, gdybyś zobaczył te cele. Najsilniejszy człowiek nie wytrzyma tam tygodnia. Karcer jest tuż obok cmentarza.

Nawet strażnicy się boją. Mamy z tym problem. Nie chodzą na obchód i ciągle fałszują raporty. Tak czy inaczej, dlaczego ci durnie mieliby dobrowolnie dać się zamykać? Nie ukryli tam chyba garnka miodu!

- Ale mogli ukryć coś innego. Muszę to sprawdzić.

W zapuszczonym karcerze znajdowało się osiem cel i mała wartownia. Po grzbiecie wzgórza hulał wiatr, a czarne jodły wyły jak stado wilków. Maeda otworzył drzwi do wartowni. Czekaając na koniec zmiany, nad wygasłym piecykiem pochylał się stary strażnik w grubej watowanej kurtce. Twarz zsiniała mu z zimna.

- Kontrola cel! - krzyknął Maeda. - Otwieraj!

Pobrzękując kluczami, strażnik podbiegł do drzwi. Drzwi były stalowe, zabezpieczone grubą metalową sztabą i opatrzone dwoma dużymi zamkami. Niezdarnymi rękami starzec otworzył je i zdjął sztabę. Po jednej i drugiej stronie korytarza znajdowały się cztery cele. Strażnik otworzył pierwszą. Buchnął z niej straszliwy odór.

- Trafiają tu z połamanymi kośćmi i ropiejącymi ranami - wyjaśnił. - Zainfekowane rany cuchną tak bardzo, że latem nie otwieramy drzwi.

Zatkałem nos rękawem i wszedłem do środka. Z zewnątrz cela robiła wrażenie dość przestronnej, ale przekroczywszy próg, zdałem sobie sprawę, że ze względu na wypełnione żwirem i piaskiem grube ściany nośne jest dwa razy węższa, niż myślałem. I tak ciasna, że nie zmieściłby się tu żaden mebel. To nie była więzienna cela, to była pułapka. Poplamionych ścian nawet nie bielono, a czarna podłoga lepiała się od potu, wymiocin i ropy. Wszędzie widniały plamy krwi i wydrapane paznokciami gryzmoły, napisane chińskimi znakami pospolite imiona koreańskich dziewcząt, koreańskie słowa i rzędy zmniejszających się cyfr, liczba dni pozostałych do wyjścia. Na końcu celi dostrzegłem wysokie do pasa drewniane przepierzenie. Zajrzałem za nie, ale musiałem chwycić się za nos i odskoczyć.

Stary strażnik roześmiał się i potrząsnął kluczami.

- To jest sraczyk, przyjacielu. Wszyscy przynoszą tu swoje kubły i wstawiają je za przepierzenie. Zabierają je, wychodząc. Mielibyśmy sprzątać gówno tych brudnych Koreańczyków?

Wstrzymałem oddech i jeszcze raz zajrzałem za przepierzenie. W podłodze dojrzałem drewnianą klapę. Podniosłem ją i zobaczyłem okrągłą dziurę z uchwytem na wierzchu. Jedną ręką zatkałem nos, a drugą pociągnąłem za uchwyt. Sześćdziesiąt centymetrów pod brzegiem dziury była drewniana deska przesiąknięta ekskrementami. Tam więźniowie wstawiali kubły. W ścianie płytkiego szybu umieszczono

małe okno wentylacyjne zabezpieczone grubymi na dwa i pół centymetra kratami.

Stalowymi drzwiami wyszedłem na dwór i natychmiast osłepiło mnie słońce. Więźniów 331, 645 i innych, którzy tu często trafiali, coś łączyło. Byłem tego pewny. Obszedłem karcer i poczułem silny podmuch wiatru. W oczy sieknęły mnie ostre ziarenka piasku.

- Mamy tak przez cały rok - powiedział stary strażnik. - Ten przekłety górski wiatr. Nanosi pod okna pył i piach. Jest tego tyle, że więźniowie co miesiąc ładują wszystko do worków i wynoszą.

Jakaś myśl przemknęła mi przez głowę tak szybko, że omal jej nie zgubiłem. Odwróciłem się na pięcie i krzyknąłem:

- Otwórz celę!

Zdezorientowany strażnik wbiegł do korytarza. Ponownie zaskrzypiały drzwi do karceru. Wpadłem do tej samej celi, z której przed chwilą wyszedłem. Wskoczyłem do dziury za przepierzeniem, z głuchym stukotem wylądowałem na desce i zadrżały mi najpierw czubki palców u nóg, a potem całe ciało. Wyciągnąłem pałkę i poskrobałem nią brzeg deski. Natrafiłem na małe wyżłobienie. Zamknąłem oczy, włożyłem tam czubek palca i pociągnąłem. Uderzyło mnie ciepłe, wilgotne powietrze, zapach ziemi, korzeni drzew i kamieni. Między moimi nogami otworzyła się pusta czarna paszcza.

Zawyła syrena. Maeda wpadł do karceru z policzkami zapadniętymi tak głęboko, że wyglądały jak odkryta przeze mnie dziura. Poświeciłem latarką w głąb cuchnącego odchodami długiego, wąskiego tunelu i wpełzłem do środka. Nie mogłem oddychać. Czołgałem się przez pięć minut. Na końcu tunelu znalazłem starte drewniane łyżki, płaskie kamienie, popękane miski i kawałki fajansu.

- Pieprzone krety! - wysapał gniewnie Maeda, czołgając się za mną.

Wróciliśmy do celi. Gdy wyszliśmy z tunelu, usłyszeliśmy, że naczelnik wzywa nas do raportu. Słońce już zaszło. Światła reflektorów sunęły po murze i dachu głównego skrzydła kompleksu. Zwiększono liczbę strażników na obchodzie.

Weszliśmy do gabinetu i stanąwszy przed Hasegawą, Maeda wytarł rękawem wilgotne czoło.

- Wszystkich policzyliśmy i nikogo nie brakuje - zameldował. - Ten, który wykopał tunel, wciąż tu jest.

Naczelnik przeszył go wzrokiem.

- Nie w tym rzecz, prawda? Rzecz w tym, że w ogóle wykopano tunel! Wiesz, co będzie, jeśli to się wyda?

- Tak jest! - odparł Maeda. - Dowiemy się, kto to zrobił, i natych-

miast wszystko zasypiemy.

- A jak go znajdziecie? - Rozwścieczony Hasegawa chwycił wojskowy miecz.

Maeda posłał mi spanikowane spojrzenie.

- Ten tu jest młody, ale bardzo zdeterminowany. To on odkrył tunel.

Naczelnik łypnął na mnie spođe łba, czekając na wyjaśnienia.

- Podczas śledztwa w sprawie morderstwa zacząłem obserwować więźnia 331, którego pobił Sugiyama. Założyłem, że więzień ten miał wystarczający motyw. Zauważyłem, że spodnie jego kompanów są dziwnie wytarte i wybrzuszone na kolanach. Pomyślałem, że może często przed nim klękają, ale spodnie więźnia 331 też tak wyglądają. Zajrzałem do rejestru skazanych na karcer i stwierdziłem, że często tam trafiają. Praktycznie rzecz biorąc, zgłaszali się na ochotnika. Ponieważ w karcerze jest cicho i spokojnie i nikt im nie przeszkadza, to najlepsze miejsce, żeby coś wyszykować. Poza tym nadzór jest tam słabszy, bo budynek stoi na uboczu i ma grube podwójne ściany.

Hasegawa uniósł brwi.

- Skąd wiedziałeś, że kopią tunel?

- Karcer zbudowano na drodze silnych górskich wiatrów. Od mającego tam służbę strażnika dowiedziałem się, że nanosi pod ściany ziemię i piasek. W każdej celi jest małe zakratowane okno. Ilekroć wiał wiatr, więźniowie wyrzucali przez nie ziemię z tunelu, żeby pozbyć się dowodów. To nie górski wiatr nanosił te zwały piachu. To oni go wykopywali.

- A skąd wiedziałeś, że tunel biegnie pod latryną?

- To jedyne miejsce, którego nie sprawdzamy. Nawet podczas przeszukania nikt tam nie zagląda. Brud to świetne zabezpieczenie przed niepożądanymi oczami.

Maeda zdążył już odzyskać pewność siebie.

- Panie naczelniku, zabójstwo strażnika i próba ucieczki nie są niezależnymi incydentami. Złapiemy tych barbarzyńców i stosownie ich ukarzymy. - Zerknął na mnie, abym przejął pałeczkę.

- Osadzeni żywili głęboką niechęć do Sugiyamy za jego skłonność do nadmiernej przemocy. Sugiyama skupił uwagę na kilku z nich, między innymi na więźniu 331. Odkrył, że planują ucieczkę, więc 331 się go pozbył.

- A więc to 331 go zamordował? - spytał Hasegawa.

- To wciąż tylko hipoteza. Będziemy musieli go przesłuchać i zmusić do przyznania się.

Naczelnik zacisnął palce na rękojeści miecza.

- W takim razie na co czekacie? Do roboty! Niech się przyzna!

REKONSTRUKCJA ŚMIERCI

Podłoga w pokoju przesłuchań była przesiąknięta na wylot. Pod jedną ścianą leżały duże i małe szczypce, pręty, łańcuchy i ostre narzędzia. Pod drugą stała wypełniona wodą wanna, stojak i drewniany taboret. W stęchłym powietrzu unosił się zapach zardzewiałego metalu i krwi. Nagi więzień 331 zwiślał przywiązany za ręce do biegnącej pod sufitem belki. Z jego podpuchniętego oka ściekała krew, miał otarte od kajdan, pokryte strupami kostki. Strażnik w długich do łokcia rękawicach chlustał na niego wodą. Uśmiechał się, ukazując poźółkłe zęby. Ale nie różnił się zbyttnio od więźnia, którego właśnie złamał. On też musiał być ojcem, który obejmował swojego syna po powrocie do domu, łagodnym mężem, który naprawiał półki w kuchni, przyjaznym sąsiadem, który stłukł właśnie na miazgę bezbronnoego człowieka.

- Powodzenia - rzucił, zapinając kurtkę. - Zmiękczyłem go, więc zaraz zacznie śpiewać. - Zniknął na schodach.

Był to powszechnie stosowany chwyt: osadzony, który z ulgą witał odejście okrutnego strażnika, mówił wszystko jego zastępcy. Ja miałem wkroczyć w odpowiednim momencie i napisać raport. Po wyjściu strażnika rozwiązałem sznur na podwieszonym do belki bloku i więzień spadł na podłogę jak wór piachu. Zawlokłem go do krzesła, posadziłem, a on zmrużył zapuchnięte oczy, powoli skupiając na mnie wzrok. Zarzuciłem mu kurtkę na ramiona. Widziałem, że miotają nim sprzeczne uczucia. Otworzyłem teczkę i zaostrzyłem krótki ołówek.

- 331! Od kiedy kopaliście ten tunel?

Wiedziałem, że nie odpowie. Jak dotąd wytrzymał dwadzieścia cztery godziny tortur. Wstałem, włożyłem do piecyka trochę torfu i podpaliłem go. Na zakrwawionej twarzy osadzonego zatańczyło światło słabego ognia.

- To już koniec - wychrypiął. - Czeka mnie tylko śmierć. Pozostało mi chyba jedno: przyznać się do winy. Choćby panu.

- Więc dlaczego nie pisałeś słowa, kiedy cię katowano?

- To pan na to wpadł. To pan zajrzał do spisu i zauważył, że je-

stem w karcerze częstym gościem. Nikomu innemu przez myśl nie przeszło, że coś szykujemy, ale pan się zorientował. Myślę, że przyjmie pan moje warunki.

- Jakie warunki? Jestem tylko zwykłym strażnikiem. Jeśli chcesz negocjować, rozmawiaj z oddziałowym albo naczelnikiem.

- Nie. Oni chcą mnie tylko zabić. A pana... Pana ciekawią opowieści. O mnie. O więzieniu...

- Nie mogę darować ci życia, nie mam takiej władzy.

- Wcale tego nie oczekuję. Niech pan tylko spisz to, co powiem. Ale dokładnie, nie pomijając nawet jednego słowa ani niczego nie dodając. Może mi pan nie wierzyć, myśleć, że kłamię. Ale nie może pan nic zmieniać. Musi pan zapisać wszystko, co powiem, słowo w słowo.

- Niby po co?

- Ktoś musi usłyszeć, co się tutaj dzieje. Żeby po wojnie dowiedzieli się inni.

- Przepisy nakazują zniszczyć dokumenty po wyznaczonym czasie. Żadne nie są wieczne.

Więzień 331 uśmiechnął się ufnie i wskazał moją głowę.

- Jednak to, co jest zapisane tam, nie zniknie. Mury tego straszego miejsca kiedyś runą, dokumenty spłoną, ale wspomnienia przetrwają. Więc niech pan nie umiera przed końcem wojny! - Błysnął oczami.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Nie wiedziałem, co chce przez to zyskać. Wątpiłem, czy powie prawdę. A nawet gdyby powiedział, byłem pewny, że kryłaby się w tym kolejna intryga.

- Siedem lat - zaczął, nie zważając na moje skonsternowanie. - Minęło prawie siedem lat, odkąd trafiłem do tego piekła.

Podniosłem ołówkę. Zrobiony z makulatury papier niecierpliwie czekał.

- Myślałem o ucieczce od pierwszego dnia - ciągnął 331. - Wykopałem tunel, żeby uciec przed śmiercią, ale jak się okazuje, jest to droga prowadząca wprost do niej.

Choi przybył do Fukuoki w lipcu 1938 roku, skazany za próbę zamachu na ważną osobistość i podżeganie do buntu. Pół życia na niego polowano, pół spędził za kratami. Gdy był nastolatkiem, policja ścigała go za podpalenie kilku budynków publicznych. Skończywszy dwadzieścia lat, przekroczył rzekę Tumen. Mandżuria stanowiła

idealny azyl dla Koreańczyków - nie prześladował ich tam ani gubernator generalny, ani Specjalna Wyższa Policja, nie atakowali również japońscy kupcy. Choi osiadł w koreańskiej kolonii w Mukdenie. Często bywał w spelunkach i jaskiniach gry, gdzie krzyczał i przeklinał. Przez cały czas doskonalił umiejętność walki. Wkrótce zarobił krocie na usługach świadczonych właścicielce baru, na której zlecenie odzyskiwał pieniądze za niezapłacone rachunki, na zleceniu od sprzedawcy ryżu, który wysłał go na poszukiwania nieuczciwego pracownika, i dzięki potężnemu kupieckiemu potentatowi, który kazał mu zabić kochanka niewiernej żony.

Pewnego dnia, gdy jak zwykle przebywał w domu gry, podszedł do niego niski mężczyzna o szczurzych oczach. Choi pił z nim przez parę godzin, potem spakował torby i razem opuścili miasto. Szli dwa dni, wreszcie dotarli do jaskini w górach, gdzie ukrywało się dwudziestu odzianych w zwierzęce skóry brodaczy wyczerpanych z niepokoju i głodu. Ludzie ci stracili dosłownie wszystko. Japończycy ich wywłaszczyli, odebrali im poletka ryżowe i domy, skonfiskowali i wywieźli ich żywność, dobytek oraz żony, zrównali z ziemią rodzinne miasta i kazali im wymazać z pamięci ojczysty język. Dlatego teraz byli gotowi zrobić wszystko, byle tylko zabić kilku Japońców. Sęk w tym, że jak dotąd żaden nie zabił ani jednego. Mężczyzna z gęstą brodą przedstawił się jako dowódca samodzielnego oddziału partyzanckiego, chociaż w rzeczywistości stanowili tylko bandę złodziei, którzy pod pretekstem gromadzenia funduszy wojennych napadali na koreańskich kupców. Dowódca, pijak, chętnie przyjął na służbę pięści oraz wielkie idee nowo przybyłego, myśląc, że pomogą mu one stworzyć oddział, którego bano by się w całym Mukdenie, ale już wkrótce musiał wymierzyć sobie kopniaka za swoją głupotę: Choi nie był posłusznym psem, Choi był wilkiem. Został prowodyrem grupy, która zaczęła podkopywać pozycję dowódcy. Ten, gdy zorientował się, że nie potrafi zapanować nad podwładnymi, przesłał fałszywą wiadomość japońskiemu szpicelowi, że niejaki Choi Chi-su zamierza przypuścić atak na kwaterę Armii Kwantuńskiej w Mukdenie.

Wysłano w góry batalion wojska. Japoński dowódca zamiast od razu ruszyć do ataku, czekał, aż partyzanci sami wyjdą im pod lufy. Doszło do długiej wymiany ognia. Skalisty teren sprzyjał rebeliantom. Banda pokonała skalistą grań i uciekła z doliny, zanim żołnierze dotarli do jaskini. Wraz z dwudziestoma kilkoma ludźmi Choi ruszył w kierunku Kraju Primorskiego na Syberii. Żyli jak dzikie stwory nocne, wspinając się po zmroku na góry i śpiąc pod liśćmi za dnia.

Gdy przybyli do celu podróży, było ich już tylko czternastu; zimno, głód i dzikie zwierzęta przerzedziły ich szyki. Plotki o przerażającej bandzie złodziei z Mukdenu dotarły tam przed nimi i w Kraju Primorskim trafili pod rozkazy rosyjskich komunistów. To właśnie tam Choi poznał ideologię marksistowską i rozwinął swój talent do walki, to właśnie tam jeszcze bardziej zapragnął śmierci Japończyków. Jego oddział zaatakował kwatery kwatermistrzostwa japońskiego korpusu, przechwycił pociąg z uzbrojeniem, zabił jego dowódcę, generała Armii Kwantuńskiej, i już wkrótce Kraj Primorski stał się jego królestwem. Ale to mu nie wystarczyło, wiedział, że jego przeznaczeniem jest wielkość. Pragnął stoczyć większe bitwy z liczniejszym wrogiem, więc powędrował do Władywostoku. Tam ukrył się pod pokładem statku w smrodzie gnijącej żywności i ryb i trzy dni później był już w słonecznej Zatoce Tokijskiej.

Organizacje komunistyczne rozrastały się wszędzie jak dziki bluszcz. Ta w Tokio skupiła uwagę na Koreańczykach studiujących za granicą, którzy poznali tę ideologię z książek i nie wiedzieli, jak dać upust wściekłości. Przez całe noce uczyli się na pamięć podręczników walki, lecz nie mieli pojęcia, jak zastosować tę wiedzę przeciwko Japończykom. Zadreczali się swoją sterylną ideologią, po stokroć roztrząsając bezużyteczną teorię. Choi twierdził, że książki opóźniają rewolucję, uważając, że pismo jest narzędziem, dzięki któremu od tysięcy lat silni ciemieją słabych. Bogaci więzili biednych za pomocą ksiąg prawniczych, lichwiarze gnębili ich księgami dłużnymi, a urzędnicy wykorzystywali rozkazy króla, aby do cna oskubać poddanych. Nie mógł się doczekać świata wolnego od książek. Chodził na spotkania koreańskich studentów w Tokio i szdyził:

- Wy, tak zwani intelektualiści, daliście się uwięzić literom. Jesteście słabi. Nie potraficie działać. Tego właśnie chcą Japończycy: stworzyć rój bezwolnych moli książkowych. Chcecie ich obalić, ale tylko wujecie się w błocie.

Zniesmaczony, założył w Tokio własną komórkę komunistyczną. Wkrótce nastąpił gwałtowny wzrost liczby podpaień, ataków na urzędników, bankierów i szefów firm z sektora obronnego. Specjalna Wyższa Policja nie wiedziała, że jest to dzieło zagranicznego komunisty; myślała, że są to pojedyncze przypadki wzrostu przemocy w ogarniętym niepokojami społeczeństwie. Trzy lata po przyjeździe do Japonii Choi uknuł spisek swojego życia, atak, który miał naprawić całą tę wypaczoną sytuację. Dwudziestego dziewiątego kwietnia cesarz obchodził urodziny. Choi zamierzał zdetonować bombę w parku Ueno podczas uroczystości, w której mieli uczestniczyć

najważniejsi generałowie, minister spraw wewnętrznych i inni. Jego pomocnikiem był Koreańczyk nazwiskiem Kim Gwing-pil, który przed powołaniem do wojska studiował chemię na Uniwersytecie Rikkyo. Od tamtej pory ciągle uciekał. Nosił okrągłe okulary i wyglądał jak typowy inteligent. Choi spytał go, czy może skonstruować bombę. Kim zgodził się, poprosił tylko o zapewnienie kryjówki. Ślęczał do rana, studiując książki o prochu i innych materiałach wybuchowych, których dostarczył mu Choi. Za wszelką cenę musiał zbudować bombę do dwudziestego ósmego kwietnia.

Dwa dni przed tym wielkim wydarzeniem przekazał współpracownikowi dwa ładunki, które skonstruował podczas wielu bezsennych nocy. Choi obiecał, że po zamachu da mu pieniądze i przetrzeje go do Mandżurii. Ale bomba, którą Choi cisnął w tłum, nie wybuchła i aresztowano go na miejscu zdarzenia. Agenci Specjalnej Wyższej Policji schwytali też Kima, który włóczył się po Japonii bez środków na ucieczkę. Prokurator zażądał dla Choia kary śmierci, lecz tokijski sąd skazał go na dożywocie. Nikt nie wiedział jednak, jak wytrwale Choi potrafi czekać na okazję. Nie oskarżał Kima. To nie Kim był winny, tylko te przeklęte książki. Niewystarczająca wiedza okazała się szubieniczną pętlą. Błąd Kima polegał jedynie na tym, że żywił zuchwałe przekonanie, że paroma książkami da się zmienić świat.

Spojrzeń Choia bali się nawet strażnicy. Zalaływało od niego dzikością. W każdej chwili mógł się na nich rzucić. Nikt nie wiedział, co zaraz zrobi. Gdy w więzieniu zjawił się przeniesiony z Mandżurii Sugiyama, Choi instynktownie wyczuł w nim taką samą nieposkromioną naturę, a Sugiyama dostrzegł na Koreańczyku ślady mandżurskiego pyłu. Więzienie to mały, zamknięty świat, więc musieli walczyć o ten ograniczony teren. Sugiyama wzywał Choia na przesłuchania co kilka dni. Miał ku temu mnóstwo powodów: osadzony niewyraźnie odpowiadał na pytania, spóźnił się na apel, patrzył strażnikowi prosto w oczy. Pałka Sugiyamy wbijała mu się w powiekę, rozcinała czoło i wybijała zęby. Zapuchnięty tak bardzo, że niemal ślepy, Choi znosił każdy ból. Miał do dyspozycji tylko jedną broń: wytrzymałość.

- Jak chciałbyś umrzeć? - pytał Sugiyama z butem na jego szyi. A Choi uśmiechał się, błyskając połamanymi zębami.
- Nie chcę umierać. Jeśli umrę, przegram.

Po każdym przesłuchaniu czekał go karczer. Było tam ciemno i cicho jak w trumnie. Mijały trzy dni. Rozcięcie nad okiem goiło się, siniaki bladły. Choi stawał przy okienku wentylacyjnym pod latryną, myśląc, że udusi go ten smród. Przez okienko wpadał słaby wiatr,

podmuchy życia i nadziei, zapach nowych delikatnych kielków, bujnej wiosennej trawy i piór górskich piskląt.

Pewnego dnia, gdy wyszedł z karceru na osłepiające słońce, zaświtała mu w głowie pewna myśl. Przeżyć to za mało. Musiał działać. Najpierw wzmocnił osłabione ciało. Zaczął podciągać się na kratkach i ćwiczyć mięśnie, robiąc przysiady i pompki. Podczas przerwy chodził po dziedzińcu, aby pokrzepić skurczone serce. Ale realizował swój nowy cel jedynie dwa tygodnie, tyle wytrwał. Potem uderzył więźnia i rzucił się na strażnika. I znowu trafił do cuchnącego karceru. Tydzień później wyszedł, splunął i wytarł pokryte strupami usta. To właśnie po tej odsiadce postanowił spróbować nowych sposobów ucieczki.

Za pierwszym razem odepchnął pełniącego służbę strażnika i popędził w stronę muru. Gdy się nań wdrapywał, strażnik ściągnął go na ziemię i dał mu łupnia. To było nieudolne, odruchowe. Nieudolne i zbyt idiotyczne, żeby nazwać je próbą ucieczki, ale ukarano go surowo: dziesięćmioma dniami karceru. Za drugim razem zgłosił się na ochotnika do pracy na nocną zmianę i wymknął się z warsztatu. Złapano go, gdy wspinał się na tylny mur. Obudzono i ściągnięto z domu naczelnika, który natychmiast przybył do więzienia. Uznał ten incydent za wyzwanie dla jego władzy i osobiście przesłuchał Choią. Nawet nieudana próba ucieczki zasługiwała na rozstrzygnięcie sprawy w trybie uproszczonym. Jednak Choi nie został stracony - wysłano go do karceru na dwa tygodnie, a potem przedłużono karę o miesiąc. Najciekawsze było to, że podczas gdy większość osadzonych umierała tam już podczas pierwszego pobytu, on za każdym razem wychodził z celi na własnych nogach. Co dziwne, próbował uciec trzeci, czwarty i piąty raz, chociaż nie zdążył jeszcze odzyskać sił. Próby te nieustannie ewoluowały, wyglądały jak starannie wyreżyserowane przedstawienie czy pokaz akrobatyczny. Gdy ukrył się w wojskowej ciężarówce wyładowanej zrobionymi przez więźniów cegłami, wydawało się, że tym razem ucieknie, ale wóz zatrzymano, nim wyjechał za bramę. Próbował również zbiec liczącą trzysta metrów, wąską rurą ściekową i pewnie by mu się udało, gdyby trzydzieści metrów przed jej końcem nie stracił przytomności od trujących gazów. Wkrótce on i strażnicy doszli do cichego porozumienia. Kiedy tylko Choi odsiedział dwa tygodnie w karcerze, strażnicy wkroczyli do akcji jako pierwsi i zanim zdążył poważnie narozrabiać, wysłali go tam z powrotem pod pretekstem naruszenia jakiegoś zupełnie nieistotnego przepisu. Dzięki temu oni mogli nad nim zapanować, a on uniknąć bicia. Odtąd cele w karcerze były częściej zajęte niż wolne. Wszystko działało jak w zegarku, on i jego banda

krażyli między karcerem i oddziałem jak pszczoły między ulem i łąką. Nikogo to nie zastanawiało, chociaż zdarzało się regularnie. I wtedy Sugiyama wyczuł pismo nosem.

Pewnego dnia Choia wezwano do pokoju przesłuchań. Sugiyama poczęstował go papierosem. Koreańczyk zaciągnął się głęboko i zakaszał.

- Widzę, że zapomniałeś, jak się pali. Spokojnie. Jeśli twój plan się powiedzie, będziesz palił, ile tylko ze chcesz. - Sugiyama błysnął zapadniętymi oczami.

Ma węż jak pies - pomyślał Choi. Na jego szyi pulsowała gruba żyła.

- Ale o co chodzi?

- To ja zadaję pytania! - Sugiyama trzasnął pałką w biurko. - Nie spytam, od kiedy to robicie. Nie chcę również wiedzieć, po co kopiecie tunel.

Choi poczuł się tak, jakby zanurzono go w zimnej wodzie, ale przynajmniej miał do czynienia z Sugiyama. Inny strażnik natychmiast nacisnąłby guzik alarmowy, ale ten myślał, że świat kręci się wokół niego. Choi wziął głęboki oddech.

- Nie łatwiej by było, gdyby wszczął pan alarm albo zameldował o tunelu szefowi? Po co to komplikować?

Sugiyama wypuścił długą smużkę dymu.

- Gdybym to zrobił, straciłbym panowanie nad sytuacją. Postawiono by na nogi wszystkich strażników. Karabin maszynowy na wieży wycelowano by w karcer, światło reflektora omiatałoby całe więzienie. Spuszczono by psy. Zagryzłyby cię albo by ciebie postrzelono i zawleczono na egzekucję.

- Daruje mi pan życie?

- Nie - odparł szyderczo Sugiyama. - Nie chcę tylko, żebyś zginął nie z mojej ręki. Jeszcze ze sobą nie skończyliśmy.

Choi stracił ducha, poczuł, jakby na jego oczach ktoś założył ciężką stalową sztabę na drzwi do wolności.

- Myślisz pewnie, że to koniec - mówił niespiesznie Sugiyama - ale bitwa dopiero się zaczęła. Zasypiesz tę szczyrzą norę własnymi rękami. Nie zostawisz ani szparki. Jeśli to dla mnie zrobisz, zabiorę swój sekret do grobu.

- Za późno - powiedział Choi. - Ziemię z tunelu zabrał wiatr i nie ma jej czym zastąpić.

- Na pewno coś wymyślisz. Wszystko mi jedno, czy ją wyrzucasz, czy wykopiesz kolejną dziurę. W przeciwnym razie wyślę na cmentarz i ciebie, i twoich kompanów.

Choi poczuł, że stają mu dęba włosy na przedramionach. Pomyślał o Koreańczykach, którzy szli do karceru, żeby kopać tunel.

- Jeśli nie podobają ci się moje warunki - ciągnął Sugiyama - kop dalej i próbuj uciec. Jeżeli wygrasz, będziesz wolny. Jeśli przegrasz, wrócisz do więzienia. Nie uważasz, że to uczciwa walka? - Spojrzał na niego ciemnymi, zamyślonymi oczami.

Obserwował go trzy miesiące; tunel nie był jeszcze gotowy i Choi nie mógł uciec. Jedynym ratunkiem stało się zabójstwo. Gdyby Sugiyama zniknął, zniknąłby również jedyny strażnik, który wiedział o tunelu. Dla zapędzonej w kąt myszy atak na kota jest zagrywką trudną, lecz nie niemożliwą. Udając, że próbuje pozyskać ziemię do zasypania tunelu, Choi zaczął kopać drugi korytarz, który odbijał od pierwszego, skręcając w kierunku cmentarza. I przez cały czas uważnie śledził poczynania strażnika. W końcu nowy tunel był gotowy. W dniu, w którym Sugiyama miał służbę w nocy, Choi poczołgał się na cmentarz. Wyszedł na powierzchnię, wyciągnął z ziemi palik, którym oznaczono czyjś grób, i zaczął się za rogiem karceru. Trasa obchodu Sugiyamy była zawsze taka sama i gdy strażnik skręcił za róg, Choi wbił mu palik w ramię. Usłyszał trzask pękającej kości. Potem przystawił mu do gardła ostro spiłowaną łyżkę i pchnął go w stronę skrzydła administracyjnego. Noc była zupełnie ciemna, bez jednej smużki księżycowego światła. Sugiyama pomyślał pewnie, że nawet niebo jest po stronie Koreańczyka. Weszli do środka i minęli biuro kontroli. Sugiyama wyjął pęk kluczy, otworzył małe drzwi, a wtedy Choi wepchnął go do korytarza i poszli dalej, w kierunku głębiej usytuowanych pomieszczeń. Wszędzie było pusto i cicho. W gmachu głównym weszli schodami na piętro. Z szyi ofiary spływała gęsta krew.

- Przykro mi - szepnął Choi. - Nie miałem innego wyjścia, prawda?

Sugiyama kiwnął głową. Wiedział, że podczas wojny nie obowiązują żadne zasady oprócz tej, która mówi, że zginiesz, jeśli nie zaatakujesz jako pierwszy. Choi skręcił mu kark. Potem przywiązał go do poręczy sznurem, który zdjął mu z pasa, i przebił mu serce palikiem. Ręce miał zwinne jak rzeźnik sprawiający wołową tuszę. Następnie, unikając niebieskiego reflektora, którego światło w regularnych odstępach czasu przecinało ciemność, wrócił na cmentarz i zniknął w tunelu.

Był wyczerpany. Odłożyłem ołówek i pochuchałem na ręce. Było mi zimno, ale nie dlatego, że w pokoju przesłuchań panowała ujemna temperatura.

- Łatwiej by było zabić go na cmentarzu albo za karcerem. Po co ciągnąłeś go aż do gmachu głównego?

Choi uśmiechnął się zimno kącikiem ust. Mówił powoli, jakby cieszyło go moje przerażenie.

- Nie chciałem go zabić, tylko uciec. Gdybym go zabił w pobliżu cmentarza albo karceru, strażnicy przetrząsnęliby całą okolicę. Miejscem położonym najdalej od tunelu był korytarz między skrzydłem administracyjnym i oddziałami, środek więzienia.

- Jak zdobyłeś igłę i nić chirurgiczną do zaszycia ust?

- Mogę zdobyć wszystko. Mam tu zdolnych ludzi: najrzęczniejszego, najbardziej przebiegłego kieszonkowca i bawidamka, który potrafi uwieść każdą pielęgniarkę, bo żadna mu się nie oprze. Czyż to nie wygodne, że ta luksusowa izba chorych mieści się na terenie więzienia? Ukraść komplet nici? Kaszka z mleczkiem.

- A więc to ty zaszyłeś mu usta?

- Zapomniał pan, że dorastałem na polu bitwy. Musiałem nauczyć się wielu rzeczy. Tylko tak mogłem przetrwać.

Odłożyłem ołówek. To zeznanie mogło zaprowadzić go na szubienicę. Dlaczego mi to mówił? Coś knuł? Streściłem jego słowa w czterostronicowym raporcie. Napisałem w nim wszystko, mimo to nie zawierała całej prawdy. Nawet jeśli byłem dokładny, nie mógł jej zawierać, jeśli czegoś w nim brakowało. Nie wspomniałem o jego uchończym życiu ani o emocjonalnym pojedynku z człowiekiem, którego potem zabił. Nie podałem, kiedy Sugiyama odkrył tunel, nie opisałem walki, jaką o niego stoczyli. Mój raport ograniczał się do przyczyny i skutku: Sugiyama Dozan odkrył tunel i więzień 331 zabił go, żeby nic się nie wydało.

Kiedy złożyłem raport, sprawy potoczyły się szybko. Choi trafił do celi śmierci, a grupie wybranych więźniów kazano zasypać tunel. Mimo to w głowie kłębiło mi się od pytań bez odpowiedzi. Skoro Choi zdawał sobie sprawę, że mu się nie uda, skoro wiedział, co go czeka, dlaczego narażał życie, próbując uciec w najbardziej beznaoczny sposób? I dlaczego naczelnik go oszczędził?

Trzy dni później wezwano mnie do gabinetu naczelnika. Dostałem awans za rolę, jaką odegrałem w odkryciu tunelu i śledztwie w spra-

wie śmierci Sugiyamy. Było obecne całe kierownictwo, łącznie z Maedą, szefem ochrony, głównym śledczym, głównym administratorem i głównym chirurgiem. Naczelnik osobiście przypiął mi gwiazdkę kaprała do czapki. Zamordowano człowieka, innego skazano na śmierć, a mnie nagrodzono awansem. Czuję się zupełnie skołowany.

WROGOWIE FORTEPIANU

Sala widowiskowa skąpana w promieniach zachodzącego słońca wyglądała jak obraz. A Midori jak kapłanka modląca się nad klawiaturą. Fortepian śmiał się i łkał pod dotykiem jej palców. Zdałem sobie sprawę, że słyszałem tę melodię, gdy pierwszy raz wezwano mnie do naczelnika. Midori spojrzała na mnie. Uciekłem wzrokiem w bok i spuściłem głowę. Nieświadomie nuciłem pod nosem.

- *Der Lindenbaum* Schuberta - powiedziała. - Część *Die Winterreise*, pieśń z repertuaru profesora Maruia. - Grała dalej.

Zastanawiałem się, co znaczy ten ponury tytuł, ta subtelna, żalonna aluzja, którą słyszałem w melodii, te twardo brzmiące niemieckie słowa.

- Już ją słyszałem, ale nie rozumiem słów.

- Miłośnicy Schuberta wolą zwykle słuchać ich w oryginale. Język niemiecki jest szorstki i wieloznaczny, więc doskonale pasuje do męskiego głosu i posępnej atmosfery. *Die Winterreise* to cykl pieśni opartych na wierszach niemieckiego poety Wilhelma Mullera. Jeśli wsłuchasz się uważnie w ich brzmienie, na pewno wszystko zrozumiesz.

Zagrała inną melodię, basową i żalonną. Zerknąłem ukradkiem na jej staranny przedziałek. Słońce pieściło poruszające się ramiona kobiety.

- To jest *Gute Nacht* - rzuciła, nie patrząc w moją stronę. - Pierwsza pieśń *Die Winterreise*.

Wtedy mnie olśniło. *Dobrej nocy*. Tajemniczy wiersz, który znalazłem w kieszeni Sugiyamy.

- „Przybyłem jako obcy i obcym też odchodzę... Teraz świat tak ponury, drogi zasypał śnieg...”.

Midori zastygła bez ruchu jak słup soli. W jej oczach zagościł strach. Czego tak się przestraszyła? Musiała coś wiedzieć.

Miałem kamienną twarz.

- Znalazłem ten wiersz w kieszeni zabitego strażnika. Okrutnego strażnika, którego nazywano Aniołem Śmierci.

Białe palce Midori zacisnęły się w pięść.

- Nie mów tak o nim - powiedziała nieufnie, posyłając mi wrogie spojrzenie. - Nic o nim nie wiesz.

Zaschło mi w ustach.

- A ty wiesz? - spytałem i odwróciłem się, żeby ukryć zdenerwowanie.

Wtedy znowu zabrzmiał fortepian, żałośnie i majestatycznie jak walący się wielki dom. Spojrzałem przez ramię. Midori wstała i obiema rękami uderzyła w klawisze. Przez płataninę jej włosów zobaczyłem mokre rzęsy i czubek zaczerwienionego nosa.

- On nie był okrutny!

W mojej głowie wciąż pobrzmiwał ten ciężki, gwałtowny akord. Przypomniła mi się obietnica, którą dałem Choiowi, że napiszę całą prawdę o śmierci Sugiyamy. On do wszystkiego się przyznał, ale czułem, że jej nie znam. Że praktycznie rzecz biorąc, nic nie wiem.

- A jaki? - spytałem, próbując ją uspokoić.

Tak, chciałem poznać jego życie, z ręką na sercu chciałem. Czułem, że ona też nie wie wszystkiego. Mimo to pragnąłem dowiedzieć się czegoś, czego Choi mi nie powiedział. Słońce rozplątało się, ustępując miejsca kruchej ciemności.

Midori spojrzała w okno.

- Sugiyama Dozan był wrażliwym człowiekiem. Znał się na muzyce, lubił poezję i kochał życie.

Łagodnego Sugiyamę zabiły te oszalałe czasy, czasy, które żądały coraz więcej i więcej krwi, nienawiści i śmierci. Uwięziony w mundurze, umarł samotnie w swoim własnym piekle.

Pewnego śnieżnego zimowego poranka przed dwoma laty Midori, pielęgniarka z nowo otwartej izby chorych, podległej wydziałowi medycyny Cesarskiego Uniwersytetu Kiusiu, wkroczyła na teren więzienia w Fukuocce. Pracownicy spędzali całe dnie w laboratorium, studiując angielskie teksty medyczne lub z oczami przyklejonymi do mikroskopu prowadząc ważne badania. Gdyby dzięki swoim wysiłkom mogli przyczynić się do postępu medycyny i wynaleźć nowe, przełomowe lekarstwo, uratowałiby tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy ludzi. W epoce powszechnej rzezi Midori stała się dumną członkinią zespołu odpowiedzialnego za ochronę życia. Opieka nad chorymi była dla niej mitrą, bo codziennie pracowała na dwie zmiany.

Pierwszy raz usłyszała o Sugiyamie dwa tygodnie po przybyciu do

Fukuoki.

- A to sukinsyn! - krzyknął doprowadzony do ostateczności japoński więzień z raną głowy. - Ten Sugiyama to rzeźnik! Wali pałą wszystko, co się rusza. Gdyby nie miał nikogo do bicia, pewnie roztrzaskałaby łeb samemu sobie.

Kilka dni później przyszedł strażnik, trzymając się za spuchnięty palec. Midori założyła łubki i spytała, co się stało. Strażnik spojrział na zabandażowany palec i szybko warknął:

- Koreańczycy wszczęli bójkę. Sugiyama zaczął bić jednego po głowie i nie chciał przestać. Podbiegłem, żeby go odciągnąć, ale był tak wściekły, że przyłożył i mnie. W końcu odszedł, ale gdyby nie ja, ten Koreańczyk już by nie żył.

Znowu Sugiyama. Co się stało z tym, którego pobił jak psa? Trafił do karceru, gdzie wił się z bólu, chroniąc połamane kości? Midori zdała sobie sprawę, że nigdy nie widziała w szpitalu koreańskiego więźnia. Powiedziano jej, że w Fukuocie obowiązuje żelazna zasada zabraniająca udzielania zbędnej pomocy medycznej koreańskim osadzonym. Pominąwszy wyjątkowe przypadki, zamiast do szpitala strażnicy wysyłali ich do karceru.

- Powiniennem mu chyba podziękować - dodał strażnik z przymilnym uśmiechem. - Gdyby nie on, nie poznałbym takiej ślicznotki.

Nazwisko Sugiyamy pojawiało się coraz częściej i częściej. Wspominał o nim z goryczą więzień ze strzaskanym ramieniem i strażnik ze spuchniętą wargą. Zobaczywszy te rany i połamane kości, Midori stworzyła sobie obraz okrutnego, bezlitosnego człowieka, któremu na nikim nie zależało i który wyładowywał swój gniew na otaczającym go świecie. Tak jak wirus wściekłość atakowała serca dobrych ludzi, by w końcu zarazić i ją. Gdy opatrywała ofiary Sugiyamy, czuła do niego coraz większą wrogość. Był złym człowiekiem. Ludzie tacy jak on powinni siedzieć za kratami.

W końcu poznała go osobiście. W każdy poniedziałek rano w sali widowiskowej równymi rzędami staowało do apelu około dwustu strażników oraz sześćdziesięciu kilku lekarzy i pielęgniarek, by jak jeden organizm chwalić imperium i cesarza. Apel zaczynał się od chóralnego odśpiewania *Kimigayo*, hymnu państwowego, a kończył trzema okrzykami „Niech żyje cesarz!”. Midori nie podobały się te wymuszone wyrazy szacunku, mimo to posłusznie śpiewała i krzy-

czła wraz z innymi, żeby być bliżej fortepianu.

Pewnego dnia, już po apelu, podeszła do instrumentu i otworzyła klawę. Czubkiem palca starła kurz z klawiszy, zastanawiając się, czy fortepian wciąż gra. Ostrożnie nacisnęła klawisz. Niskie g chwyciło za kostki tych, którzy odwrócili się, aby wyjść z sali. Nacisnęła inny klawisz i srebrzyste f poklepało ich po ramieniu. Rozległ się szmer głosów - ludzie czekali na kolejny dźwięk. Midori położyła ręce na klawiszach, to pieścąc je, to karcąc. Muzyka popłynęła jak nić z kokonu jedwabnika.

Młoda pielęgniarka zaczęła niepewnie śpiewać.

- Choć wędrować nam przyszło wśród uciech i pałaców...*

* *Mid pleasures and palaces though we may roam... - Home! Sweet Home!*, pieśń z 1823 r., bardzo popularna zarówno wśród unionistów, jak i konfederatów podczas wojny secesyjnej.

Melodia rozlewała się leniwie. Pieśń odzwierciedlała zbiorową tęsknotę wszystkich zgromadzonych w sali. Każdy z nich wspominał rodzinny dom: strażnik, który zostawił żonę na dalekim Hokkaido, powołany do wojska, który pomyślał o starej matce w górskiej Nuga-cie, i tokijski lekarz, któremu brakowało rodzinnych posiłków przy wspólnym stole.

- Domu mój! Domu! Mój słodki, najśladzszy domu! Nie ma to jak w domu!

Pieśń się skończyła, lecz ludzie zwlekali z wyjściem. Dopiero znacznie później strażnicy wrócili na oddział, laboranci do laboratorium, a pielęgniarki do izby chorych.

Do Midori podszedł rozwścieczony Maeda.

- Co ty wyczyniasz? Jak mogłaś zagrać *Home! Sweet Home!*, kiedy mamy śpiewać *Kimigayo* z postanowieniem, że oddamy życie za nasz kraj?

Dopiero wtedy Midori uświadomiła sobie, co zrobiła: personel więzienny zaśpiewał przez nią amerykańską pieśń.

Szybkim, energicznym krokiem podszedł do nich naczelnik Hasegawa.

- Wspaniale! Dobrze, że go nie wyrzuciliśmy. Nie mielibyśmy wtedy przyjemności wysłuchania pani cudownego występu. - Podkreślił wypielęgowanego wąsa i spytał, kim Midori jest.

Starannie zaczesane do tyłu gęste, kręcone włosy, biała kurtka, złocisty krawat - nadszedł dyrektor Morioka.

- To panna Iwanami Midori, nasza pielęgniarka. Zaczęła uczyć się grać, zanim poszła do szkoły elementarnej. Miała wyjątkowy talent muzyczny i zdobyła główną nagrodę na konkursie pianistycz-

nym w Kioto. Gdy jej ojciec, dyrektor w departamencie wojny, zginął podczas wojny chińsko-japońskiej, była zmuszona zrezygnować z dalszej nauki, ale, jak panowie widzą, wciąż jest nad wyraz utalentowana.

Zachwycony Hasegawa wydał cichy okrzyk. W opisie Morioki było wszystko, czego pragnął, choć musiała mu wystarczyć jedynie namiastka: to, że mógł kupować kosztowne instrumenty, wrażliwość na muzykę, wyrobienie i elegancja.

Fortepian trafił do więzienia dziesięć lat wcześniej, przed drugą wojną chińsko-japońską, gdy Fukuoka była spokojnym miastem znanym z tego, że przyjeżdżało tam na wywczaszy wielu zagranicznych biznesmenów. Stevenson, amerykański importer i wielbiciel muzyki, zapragnął, aby zagościła ona i w zwykłym więzieniu. W dniu, kiedy przywieziono fortepian, zorganizował mały koncert amatorskiego chóru pod swoją dyrekcją. Od tamtej pory instrument usychał w kącie ciemnej sali, pokrywając się kurzem. Brak zainteresowania, wilgoć, kurz, owady i myszy - wszystko to atakowało go i niszczyło. Struny straciły brzmienie, rama się wypaczyła. Wielu sugerowało, żeby go wyrzucić albo porąbać i przekazać struny na wysiłek wojenny.

- Koszmarne dźwięk - odezwał się ktoś z tyłu ostrym, chrapliwym głosem.

Rozmawiający odwrócili się. Stał tam strażnik o silnych, szerokich barach, z długą blizną przecinającą policzek. Patrzył z dezaprobatą na klawiaturę.

Midori zamknęła klapę i wstała.

- Przykro mi, że się panu nie podobało.

- Niepotrzebnie. To nie pani granie było koszarne. Nie umiem ani nie chcę tego oceniać.

Niski i krępy Hasegawa zeszywniał.

- Sugiyama! - krzyknął. - Jak możesz tak mówić? Nie znasz się na muzyce!

Midori zadrżała. Stał przed nią ten straszliwy rzeźnik, potwór, który łamał ludziom kości i rozrywał ciało.

- Nie znam się na muzyce, ale znam się na dźwiękach - odparł krótko Sugiyama.

- Co takiego? Jakim cudem?

Zamiast odpowiedzieć, strażnik podszedł do fortepianu i nacisnął klawisz. Hasegawa obserwował go zaskoczony. Sugiyama nacisnęła dwa klawisze jednocześnie. Potem pięć. W sali zabrzmiał ciężki, potężny akord. Strażnik zamknął oczy, oceniając siłę i brzmienie

każdego dźwięku.

- Jest rozstrojony.

Naczelnik gwałtownie uniósł brwi.

- Bzdura! Od dziesięciu lat nikt go nie dotykał!

- Lepiej jest walić w klawisze niż ich nie tykać. Drewno nasiąkło wilgocią i fortepian nie gra długich nut. Sprężyny są wypaczone, nie odbijają i fortepian fałszuje. Instrument, który nie potrafi wydobyć właściwego dźwięku, jest martwy.

Hasegawa uśmiechnął się z wyższością.

- Ani mi się waży pozbywać zupełnie dobrego fortepianu i traktować go jak połamany stół. Stał nieużywany przez dziesięć lat, ale dzisiaj dostał się w końcu w ręce godnej pianistki. - Spojrzał łagodnie na Midori.

Ta nacisnęła jeden klawisz kciukiem, a drugi małym palcem. Rozległy się dwa dźwięki g, niski i wysoki.

- Oto dokładnie jedna oktawa, panie naczelniku. Ale nacisnęłam czarny klawisz. To jest gis, a nie g. G jest pół tonu niżej. I słabo brzmi. Ten instrument fałszuje, a vibrato też jest kiepskie.

Hasegawa spojrział z niezadowoleniem na Sugiyamę.

- Jak poznałeś, że fortepian jest w złym stanie?

- Przed wstąpieniem do wojska pracowałem w zakładzie naprawy fortepianów i nauczyłem się trochę, podglądając stroiciela.

- W takim razie napraw go!

Tego wieczoru Sugiyama usiadł w kucki na podłodze sali widowiskowej i otworzył skórzaną torbę pełną metalowych narzędzi, szcypiec, kluczy francuskich i kawałków skóry. Poglaskał fortepian jak ukochanego psiaka. Otworzył wieko i otoczył go słaby leśny zapach starego drewna. Filc był wystrzępiony.

- G - rzucił oschle.

Midori bez wahania nacisnęła odpowiedni klawisz. Ciszę zburzył najpierw jego głos, potem dźwięk fortepianu. Sugiyama poowijał kołki kawałkami skóry i ponaciągał struny. Midori pomyślała, że strażnik wygląda jak lekarz wsłuchujący się przez stetoskop w rytm serca pacjenta albo jak chirurg, który wyleczył kulawego, przywrócił wzrok ślepcowi i wskrzesił umarłego.

- Teraz brzmi lepiej - powiedziała. - Dźwięk jest czysty, a vibrato bardziej wyraziste.

Jednak to go nie zadowoliło.

- Tylko go podstroilem, ale żeby zrobić wszystko dokładnie, potrzebuję kluczy i odpowiednich materiałów. Młotka, kamertonu, zakrzywionej igły na sprężynie, nowego kompletu stalowych strun, kleju, wosku do polerowania, miękkiej szmatki...

Wyraźnie martwił się, że w czasach powszechnego niedostatku i reglamentacji nie uda mu się znaleźć tego, czego potrzebował. Fortepiany i pianina, kiedyś obiekty zazdrości, stały się przedmiotami, na których teraz wyładowywano gniew. Nikt nie chciał ich kupować, dlatego pochowano je jak niechciane dzieci w pokojach i na strychach, gdzie w zapomnieniu pokrywały się kurzem.

- Spróbuję w tutejszym sklepie. Może mają klucze do strojenia. - Zaczął pakować szczypce, metalowe pręty i skórzane rzemieńce.

Midori rozpoznała te szczypce - pacjenci, którymi się opiekowała, mieli na palcach krwawe sińce od ich stalowych szczęk. Na plecach osadzonych widywała rany od chłosty zadane tymi samymi rzemieńcami. Ten brutalny strażnik katował bezbronnych więźniów, będąc jednocześnie jedynym człowiekiem, który mógł przywrócić fortepianowi brzmienie. Miał dwie osobowości: która z nich była prawdziwa?

- Do czego używa pan tych narzędzi? - spytała ostrożnie.

Żrenice Sugiyamy zamigotały jak płomień świecy na wietrze.

- Dlaczego pani pyta? Każdy robi swoje. Ja biję ludzi, pani ich leczy. Ja stroję fortepian, pani na nim gra.

- Dokładnie czym się pan zajmuje?

- Naprawianiem wypaczonych umysłów tych, którzy myślą, że ratują świat, podczas gdy tak naprawdę brukają społeczeństwo: komunistów, nacjonalistów i anarchistów. Dlatego niech się pani nie miesza. - Posłał jej zimny uśmiech i przy każdym kroku pobrzękując metalowymi narzędziami w torbie, wyszedł z sali.

Midori została sama w gęstym półmroku.

Dwa dni później poszedł do miasta. Sklep muzyczny pozostawał od dawna zamknięty. Sugiyama długo łomotał w drzwi, wreszcie się otworzyły. Właściciel sklepu, łysy wąsacz, był ospały jak zakurzone pianino. Strażnik powiedział, że szuka narzędzi i kluczy do strojenia. Zrezygnowany sklepikarz otworzył magazyn. Użytecznych przyborów znalazło się tam niewiele, mimo to Sugiyama wziął kilka i szarymi ulicami wrócił do więzienia.

Midori czekała na niego w sali widowiskowej. Mężczyzna podniósł bez słowa klapę, odsłaniając setki śrub, tuziny strun i leżącą na

ramie podporę. Dokręcił setki kołków i nakrętek, wyregulował naciąg strun.

- Niech pani naciśnie jakiś klawisz.

Zagrała *Zabierz mnie do mojej starej Wirginii*. Grała wspaniale i stanął mu przed oczami obraz tęczy, lata, deszczu i bursztynu. Zerknął na jej palce, które fruwały po klawiaturze jak motyle, na jej szczupłe kostki nad pedałami. Poczuł nostalgię i złagodniał.

- Strojenia nie da się nauczyć w parę dni - powiedziała nagle. - To oczywiste, że nie przyszło to panu ot tak. Naprawił pan ten fortepian praktycznie bez narzędzi.

Sugiyama drgnął.

Midori widziała, że strażnik wzdraga się przed wspomnieniami.

Utkwił wzrok w zardzewiałych strunach.

- Chciałem tylko znaleźć zajęcie, żeby przeżyć - wy mamrotał. - I w uczciwy sposób oskubać paru bogaczy. Nie śmiałem grać, więc nauczyłem się stroić.

Midori czuła, że to nie wszystko. Jego zboląta twarz nie należała do kogoś, kto próbował zarobić kiedyś kilka jenów. Strojąc fortepian, Sugiyama stawał się artystą poszukującym najczystszej dźwięku.

Pokręciła głową.

- Nie, to widać. Kiedy podaje pan ton, robi pan to delikatnym, niemal czułym głosem. Skupia pan na dźwięku wszystkie zmysły. Czyta pan w sercu pianisty.

Ale stojący przed nią mężczyzna zmienił się już w surowego strażnika. Robił wrażenie zmęczonego, jak wygnaniec ścigany przez złośliwą przeszłość. Zamiast odpowiedzieć, znowu zajął się fortepianem: rozdzielał struny i mechanizmy, ścierał rdzę miękką skórą, ustawiał wzorcowe tony. Naprawił młoteczkę i tłumik. Wyregulował i ujednotocił siłę oporu i zakres pracy klawiszy. Instrument powoli odzyskał dawną elegancję, a wydawane przezeń dźwięki stopniowo nabrały barwy. Głos Sugiyamy też stał się silniejszy.

- G!

*

Kilka tygodni później do sali weszli naczelnik Hasegawa i dyrektor Morioka. Obydwaj rozptyliwali się w uśmiechach, zachwyceni, że fortepian powraca do dawnej świetności. Hasegawa był w ekstazie, bo szacowny luminarz zaszczylił go swoją obecnością. Spojrzał na fortepian z tak wielkim szacunkiem, jakby miał się zaraz przed nim skłonić z wdzięczności, a potem obrzucił podejrzliwym spojrzeniem

Sugiyamę, który wciąż grzebał pod klapą. Nie miał pojęcia, co strażnik robi, ale musiał mu zaufać.

- Dzięki wspaniałej grze panny Iwanami - oznajmił - naszym wszystkim oficjalnym uroczystościom, łącznie z cotygodniowymi apelami oczywiście, będzie towarzyszył fortepian.

Morioka nie odpowiedział od razu. Hasegawa spojrział na niego niecierpliwie.

- Na apele szkoda takiego instrumentu i takiej pianistki - rzekł w końcu dyrektor. - Przydałoby się coś większego. Co by pan powiedział, gdybyśmy zorganizowali tu duży koncert?

Chociaż trochę zaskoczony, Hasegawa ochoczo kiwnął głową.

- Oczywiście, słusznie, jak najbardziej, ale to jest więzienie i nie mamy czasu na próby...

- Węzienie to idealne miejsce - przerwał mu łagodnie Morioka. - A gdybyśmy tak zorganizowali koncert na rzecz pokoju w jaskini przestępców? Posępne więzienie i piękna muzyka. Moglibyśmy zaprosić jakiegoś słynnego śpiewaka z Tokio, a do tego kilku dostojników, japońskich i zagranicznych. Co pan na to?

Na myśl o tak ambitnym projekcie Hasegawie rozbłysły oczy.

- Cóż za niezwykła artystyczna wizja, panie dyrektorze! - krzyknął. - Tylko czy słynny śpiewak by do nas przyjechał?

Morioka podszedł do fortepianu. Zakłopotany naczelnik ruszył za nim.

- Słyszał pan o profesorze Maruim, prawda? Jest mecenasem panny Iwanami i zaproponował jej pomoc w studiach w Tokio. - Spojrział na Midori. - Panno Iwanami! Proszę zapoznać pana naczelnika z planami koncertu na rzecz pokoju w więzieniu w Fukuoce. Wszystko zależy od niego.

Midori wstała.

- Sugiyama-san zrobił, co mógł, ale nie znalazł w mieście wszystkich narzędzi i części. Wtedy pomyślałam o profesorze Maruim, że mógłby nam pomóc. Wiem, że przekroczyłam swoje kompetencje, ale napisałam do niego list z prośbą o narzędzia i nowe części niezbędne do ożywienia tego starego instrumentu...

- No i? - ponaglił ją niecierpliwie Hasegawa. - Co się stało? Czy profesor odpowiedział?

Midori kiwnęła głową.

- Tak. Otrzymaliśmy z Tokio zestaw kluczy, komplet części i nowe struny. Napisałam do profesora, że kiedy nastroimy fortepian, bylibyśmy zaszczytni, gdyby za śpiewał u nas *Die Winterreise* i gdybym mogła mu akompaniować. Uznał, że to wspaniały pomysł.

Naczelnik nie wierzył własnym uszom. W podległym mu więzieniu chciał wystąpić najsłynniejszy śpiewak w Japonii! Na twarzy Hasegawy powoli rozlał się uśmiech. Fukuoka: międzynarodowy koncert na rzecz pokoju - korzyści z dobrej prasy byłyby nie do przecenienia. Muzyka popłynęłaby znowu i dotarła do wszystkich mieszkańców kraju wyczerpanych wojną i trudnościami gospodarczymi. Jako gospodarz tak wielkiego wydarzenia mógłby zaprosić dostojników rządowych, łącznie z dowódcami wojsk lądowych, marynarki wojennej i lotnictwa, oraz członków Komitetu Diety Wojskowej*. Pomogłoby mu to dostać posadę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Podczas wojny rządzili żołnierze, ale potem nadejdzie era biurokratów. Dzięki takiemu koncertowi trafiłby do wąskiej grupy ludzi sprawującej najwyższą władzę. Zdecydowany, zacisnął zęby.

- Musimy natychmiast rozpocząć próby.

* Organizacja rządowa zajmująca się wcielaniem wojskowych standardów żywieniowych w Japonii podczas drugiej wojny światowej.

Midori skończyła opowiadać i zaczęła grać. Tańcząc na klawiaturze, jej palce naciskały klawisze, klawisze poruszały młoteczkami, młoteczki uderzały w struny, a te drżały i wibrowały. Jeden dźwięk łączył się z następnym i wypływał z fortepianu, sycąc ciemne, suche powietrze. Muzyka podniosła mnie na duchu. Czułem, że kielkuje we mnie pragnienie życia, że muszę wziąć kogoś za rękę i się zakochać.

Zacząłem śpiewać:

- Zabierz mnie do mojej starej Wirginii... - Bicie mojego serca było jak zgiełk w ciszy. To wystarczyło, bym nawet w tych niespokojnych czasach obudził w sobie na dzieję.

- Po co Sugiyama nosił przy sobie słowa *Die Winterreise*? - spytałem, gdy skończyła grać. Bałem się usłyszeć odpowiedź, ale musiałem wiedzieć.

Midori odgarnęła kosmyk włosów.

- Zawsze nosił wiersze w kieszeni. Kochał poezję i oddał jej wszystko.

W moim sercu zabrzmiał fałszywy akord. Kochał poezję? On, ten, który tak bezdusznie niszczył książki? Przed oczami stanęła mi twarz młodego poety. Hiranuma. Hiranuma musi coś wiedzieć. Może wie wszystko.

POZWÓL MIPATRZEĆ W NIEBO BEZ CIENIA WSTYDU

Według rejestru dokumenty Hiranumy Tochu zostały spalone drugiego kwietnia 1944 roku, natychmiast po jego przybyciu do Fukuoki. Na liście figurowały napisane po chińsku nazwiska nieznanymi koreańskich autorów: Kim Yeong-nang, Baek Seok, Yi Sang i Jeong Ji-yong. Obok nich widniały tytuły książek, mieszanina chińskich znaków i katakana*. *Wiersze Kima Yeong-nanga, Wiersze Jeonga Ji-yonga...* Były to głównie tomiki poezji, ale znajdowały się tam również egzemplarze koreańskiego czasopisma „Zdania” i książki po angielsku. Drugie palenie materiałów miało miejsce trzeciego kwietnia 1944 roku. Ścisłym pismem Sugiyama zanotował wszystkie tytuły.

* Jeden z dwóch japońskich systemów pisma sylabicznego.

1. *Prolog*
2. *Dopóki nie nadejdzie świt*
3. *Krzyż*
4. *Inny dom*
5. *Noc liczenia gwiazd*

W sumie dziewiętnaście pozycji. W rubryce „Uwagi” napisał: „Dziewiętnaście wierszy z nieopublikowanego tomiku *Niebo, wiatr, gwiazdy i poezja*”. Pod spodem były pozycje od dwudziestej do dwudziestej dziewiątej, a w „Uwagach” słowa: „Według detektywa Korokiego, więzień przetłumaczył wiersze na japoński na posterunku policji w Shimogamo w Kioto”. A więc Hiranuma został aresztowany i przewieziony na posterunek w Shimogamo. Detektywi skonfiskowali przy okazji dziesiątki wywrotowych pozycji, w tym wiersze, które kazali mu przetłumaczyć na japoński. A z pięćdziesięciu kilku wierszy dziewiętnaście miało znaleźć się w nieopublikowanym tomiku. Wyglądało na to, że pozostałe powstały w Tokio i Kioto.

Sugiyama Dozan i Hiranuma Tochu. Cenzor Sugiyama zniszczył Hiranumę poetę i Hiranuma go znienawidził. Różnili się od siebie jak

niebo i ziemia: jeden był cieniem, drugi światłem. Jednak łączyła ich poezja. Więc dlaczego Sugiyama nosił wiersze w kieszeni i trzymał je w szufladzie biurka? Jaką rolę odegrała poezja w ich relacjach? Żeby się tego dowiedzieć, musiałem przesłuchać Hiranumę.

Więzień 645 siedział prosto na starym drewnianym krześle w pokoju przesłuchań. Pokryte plamami wilgoci ściany jeszcze bardziej uwydatniały jego bladą, wymizerowaną twarz. Drobną mężczyzna tonął w za dużym więziennym uniformie. Przeglądałem jego akta z obojętną miną, ale byłem zdenerwowany. Nakazałem sobie spokój. To on powinien się denerwować.

- Złapaliście mordercę?

Tym pytaniem pozbawił mnie tchu. Momentalnie straciłem cały autorytet. Zdjąłem przepoconą czapkę i postanowiłem mu zaufać. Gdybym tego nie zrobił, za nic nie powiedziałby prawdy.

- To osadzony nazwiskiem Choi Chi-su. Zabił strażnika, kiedy ten odkrył, że Choi szykuje się do ucieczki.

Hiranuma skinął głową. Pod nosem i na pokrytych kilkuniedniowym zarostem podbródku miał ciemne sińce. Siniec pod podbitym oknem zaczynał żółknąć.

- A więc macie już mordercę. Czego pan ode mnie chce?

- Znam fakty, ale nie prawdę.

Koreańczyk spojrzał na mnie uważnie.

- Fakty i prawda...

Przypomniały mi się wiersze Rilkego z jego pułła.

- Faktem jest, że Rilke zmarł po zranieniu się kolcem róży, ale to nieprawda. W rezultacie nastąpiło zakażenie krwi, ale nie to było powodem śmierci. Rilke miał białaczkę. Za każdym faktem kryje się inna prawda.

- Tak?

- Tak. Sam napisał swoje epitafium: „Różo, sprzeczności czysta, pragnienie, by stać się snem niczym pod tyłu powiekami”*. Sugeruje to, że pod piękną różą jest ukryte tajemne sedno.

* Przekład Andrzeja Lama.

Hiranuma sondował moją twarz. Swoim argumentem zdradziłem mu, jakim jestem człowiekiem, i chciał mnie rozgryźć.

Spróbowałem odzyskać rzeczowy głos śledczego.

- Dlaczego strażnik Sugiyama Dozan przepisywał twoje wiersze?

Pokręcił głową. Był stanowczy: nie mógł albo nie chciał mi powie-

dzieć. Ujrawszy moją zniechęconą minę, przemówił jak ktoś, kto zdaje sobie sprawę z nieodwracalności faktów, gdy wrzuca garść mokrej ziemi do otwartego grobu.

- Niech pan pogodzi się z ujawnionymi faktami. Prawda wszystkim boli.

Pokręciłem głową tak gwałtownie, jakbym chciał tę ziemię z siebie strząsnąć. Ściana zakołysała się jak cienka, pofałdowana kartka papieru.

- Kłamstwo pozostaje kłamstwem, nawet jeśli przed stawia się je jako prawdę. Niepełna wiedza może być niebezpieczna.

Hiranuma się zawahał.

- Co chce pan wiedzieć o Sugiyamie?

- Chcę wiedzieć, jak żył.

- A nie jak umarł?

- Żeby zrozumieć śmierć, trzeba poznać życie. Dopiero kiedy dowiem się, jak żył, zrozumiem, dlaczego umarł.

- Łatwiej by było spytać o to jego kolegów. Dlaczego wybrał pan akurat mnie? - Widziałem, że Hiranuma chce jak najszybciej wyjść z pokoju.

- Bo jesteś jedyną osobą, która naprawdę go znała.

Zmrużył oczy. I po dłuższej chwili spokojnym głosem powiedział:

- Sugiyama był poetą. Najcudowniejszym poetą, ja kiego znam.

*

Sugiyama Dozan był poetą. Ale nie od razu. Początkowo był zupełnie inny. Gardził literaturą i spoglądał z góry na tych, którzy - tak jak Hiranuma - wierzyli, że słowami można coś zdziałać.

Hiranuma przybył do Fukuoki wiosną 1944 roku. Wraz z czterestoma innymi więźniami wkroczył między mury, które momentalnie go postarzyły. Zmęczenie i strach rozrosły się jak plamy wątrobowe na jego twarzy, zaczęły wystawać mu wszystkie kości, popękały mu nagie pięty i wierzch przemarzniętych dłoni. Zamglonymi oczami patrzył na rzeczywistość - widok przesłaniał mu drut kolczasty, kraty oraz grube stalowe drzwi. Nie wiedział, dlaczego trafił tu przez parę linijek wiersza i kilka dokumentów, koreańskie wiersze, policyjne raporty, prokuratorski akt oskarżenia i wyrok sędziego. W Fukuocie poruszał się powoli, w cieniu wysokiej wieży strażniczej i zimnych murów. Poszedł do sali dezynfekcyjnej, gdzie obsypano go białym proszkiem. Potem dano mu stary więzienny uniform. Zastanawiał się,

czy ktoś, kto go kiedyś nosił, wyszedł stąd żywy. Długim korytarzem ruszył w nieznaną, własnymi nogami deptając świadomość. Oddział Trzeci, cela dwudziesta ósma. Pierwszą noc spędził w kącie jak zmięty kawałek papieru, do cna przesiąknięty rozpaczą.

Grupka koreańskich więźniów grzejących się w plamie słońca pod murem usłyszała czysty, cienki gwizd podobny do gwizdania wiatru. Sugiyama wyjął zza pasa pałkę i rozejrzał się w poszukiwaniu jego źródła. Był nim osadzony 645, który stał u stóp nagiego wzgórza. Strażnik odruchowo przyspieszył kroku, w końcu zaczął biec.

- 645! Co ty tu robisz, w dodatku sam? - W zdyszczanym głosie Sugiyamy pobrzmiwała groźna nuta. Wycelował pałką w jego szyję, gotów roztrzaskać mu bark.

645 przestał gwizdać.

- Czy gwizdanie jest przestępstwem? - spytał ponuro głosem opadającym jak osad.

Reprezentował sobą wszystko to, z czego Sugiyama szydził: był krnąbrnym koreańskim więźniem politycznym, który pogwałcił Akt utrzymania porządku publicznego, w dodatku inteligentem. Wbił mu pod brodę czubek pokrytej zaschniętą krwią pałki.

- Słuchaj uważnie. To jest więzienie w Fukuoce, a ja nazywam się Sugiyama Dozan. Odbywasz karę. Nie wolno ci gwizdać. Tym bardziej pisać.

- A więc co wolno mi robić?

- Łatwiej by było, gdybyś spytał, czego ci nie wolno.

- W takim razie czego mi nie wolno?

- Choćby tego, co właśnie próbujesz zrobić! - Sugiyama zacisnęła zęby. W popielate niebo wzbilo się stado czarnych wron.

- Serca nie da się uwięzić ani pokonać. - Głos więźnia zaszeleścił jak liść na wietrze, matowy, znużony i drżący.

Sugiyama gardził wykształciuchami. Byli arogancy i nie mieli o niczym pojęcia. Żalonymi słowami wysysali z ludzi pot i łzy, mamrocząc nonsensowne wiersze i recytując niezrozumiałe frazy.

- Nie wolno tu kłamać, fantazjować ani się przyzierać. To jest Fukuoka, a ja widzę każdy twój krok.

Sugiyama wziął zamach, pałka wylądowała ciężko na ramieniu osadzonego i młody mężczyzna upadł ze zwicniętą ręką.

Z wykrzywioną bólem twarzą spojrzął na strażnika. Sugiyamę uderzył wyraz oczu więźnia - zamiast urazy, wypełniała je litość.

Wróciwszy do biura, przejrzał rejestr skonfiskowanych materiałów. 645. Hiranuma Tochu. W spisie widniał nieopublikowany wybór wierszy zatytułowany *Niebo, wiatr, gwiazdy i poezja*, trzydzieści wierszy luzem i dwadzieścia osiem książek. Sugiyama poszedł do biblioteki. Pudła stały na półkach. Otworzył to z materiałami odebranymi Hiranumie. Ujrzał wypłowiałe tytuły na wytartych okładkach: Fiodor Dostojewski, André Gide, Francis Jammes, Rainer Maria Rilke i kilku koreańskich pisarzy. Zauważył plik kartek wepchniętych w kąt.

Niebo, wiatr, gwiazdy i poezja.

Ostrożnie, jakby przeszukiwał obóz wroga, odwrócił pierwszą kartkę. Surowymi oczami spojrzął na starannie skreślone słowa:

PROLOG

Niebo, wiatr, gwiazdy i poezja

Pozwól mi patrzeć w niebo

Bez cienia wstydu,

Dopóki nie umrę.

Cierpiałem

Nawet na szumiącym w liściach wietrze,

Ukocham każdą ginącą istotę,

Która śpiewa do gwiazd,

I pójdę

Darowaną mi drogą.

Dziś też gwiazdy ocierają się o wiatr.

Te zwykle, mało konkretne zdania okładały jego skronie jak pięści. Jak to możliwe, że dziesięć linijek wiersza oszołomiło go i pozbawiło tchu? Nie wiedział, że przeczytać jeden to tyle, co poznać świat zamieszkały przez jego autora, wzbogacić się o szósty zmysł. Schował rękopis do pudła. Chciał uciec - od tego człowieka, od jego bazgrołów, od tego wiersza. Mocno wierzył, że pisanie jest trucizną, która niszczy ludzi, maskuje słabość ducha i nieokiełznaną litość, idiotyczny optymizm i głupie marzenia. Oszołomieni przez sprytnie ułożony tekst i zarażeni anarchizmem pisarze prowadzili próżne życie fantastów. Poeci natomiast wierzyli, że potrafią zmienić ludzi i świat. Sugiyama poprawił czapkę. Zniszczy to absurdalne wierszydło, które wyciągało ku niemu rozedrgany jęzor. Wziął kwadratową pieczęć na

długim uchwycie i przystawił na rękopisie stempel:

Do spalenia.

Zanurzył pióro w atramencie i wypełnił rubrykę:

Prolog (*Niebo, wiatr, gwiazdy i poezja*) - Autor: Hiranuma Tochu.

*

Zatrzęsa mu się ręka. W pokoju zrobiło się nagle bardzo zimno. Odłożył pióro i przed oczami stanęła mu blada twarz młodego więźnia. Zawahał się. Nie ma potrzeby palić tego już teraz. Najpierw powinien przesłuchać i ukarać tego, kto napisał tak wywrotowy wiersz.

Wojna trwała i trwała. Więzień 645 leżał zwinięty w kłębek w celi. Jego życie skończyło się w jednej chwili zeszłego lata i koszmary senne cisnęły go na zimną podłogę. Nie był już studentem uniwersytetu, młodzieńcem przejmującym się ciężkimi czasami, który całymi dniami czyta albo spaceruje. Był teraz „członkiem Koreańskiego Ruchu Niepodległościowego” oskarżonym o udział w „incydencie sprowokowanym przez grupę nacjonalistycznych studentów koreańskich”.

Rankiem czternastego lipca 1943 roku do bursy w Takedzie wpadło kilku krzepkich mężczyzn. Byli to tajni agenci Specjalnej Wyższej Policji z posterunku w Shimogamo. Chwycili go za ręce, gdy wychodził, zawieźli na posterunek i wrzucili do celi, ale przez dwa dni nic nie zrobili, jakby bawiło ich oglądanie kogoś, kto odchodzi od zmysłów za kratami. Trzeciego dnia zaprowadzono go do kiskowatego pokoju przesłuchań. Naprzeciwko niego zasiadł detektyw Koroki, który otworzył grubą teczkę z materiałami wywiadowczymi dokumentującymi to, co Hiranuma robił przez ostatnie dwanaście miesięcy. Był tam odnotowany każdy jego krok, to, z iloma osobami wypił ile butelek jakiego wina w jakim barze i którego dnia, o czym z nimi rozmawiał, o której wrócił do domu i zgasił światło.

Koroki poinformował go, że przed czterema dniami aresztowano również jego kuzyna Songa Monggyu oraz innych spiskowców. Songowi zarzucono, że jest przywódcą wywrotowej organizacji i że koreańscy studenci, którzy się nawet nawzajem nie znali, są z nim

powiązani; Song trafił na czarną listę za to, że studiował kiedyś w chińskiej szkole oficerskiej. Dokładny opis przestępstwa, biorący w nim udział współnicy, zarzuty oraz proponowana kara - wszystko to znalazło się w przykładowo sporządzonym akcie oskarżenia. Song i Hiranuma mieli jakoby zorganizować w Kioto studencką bojówkę, której celem była walka o niepodległość Korei oraz wspieranie koreańskiej kultury; i tak doszło do incydentu nazwanego potem „incydentem spowodowanym przez grupę nacjonalistycznych studentów koreańskich”. Policijni detektywi byli po prostu uczuleni na wszystko, co koreańskie, a tak się przypadkiem złożyło, że Hiranuma był Koreańczykiem. Koroki rzucił na biurko plik kartek. Hiranuma rozpoznał bijący z rękopisu zapach - ciepły pokój z *tatami**, niechcący rozlany atrament, marzenia, które prysły jak bańka mydlana - i spojrzał na leżący przed nim papier.

* Tradycyjna japońska mata, którą wykłada się podłogę.

Niebo, wiatr, gwiazdy i poezja.

Przed oczami mignęły mu sceny z poprzedniego życia: błękitne niebo za oknami sali wykładowej, wiatr ocierający się o gałęzie drzew na wzgórzu, wypełniające niebo gwiazdy i wiersze, które czytał, przepisywał i tworzył.

- Ładne życie prowadzisz - warknął Koroki. - Młodzi patrioci giną na polu walki, a ty piszesz wierszyki, jak mała dziewczynka. Przetłumacz je na japoński! Będą dowodem twoich przekonań. Oryginały zostaną zniszczone. - Jego twarz zmarszczyła się w uśmiechu jak twarz Mefistofelesa.

Hiranuma spojrzał na suchą stalówkę, czarny atrament i słowa w ojczystym języku. Kiepskiej jakości papier z przydziału czekał, aż ktoś coś na nim napisze. Ale tłumacząc wiersze na japoński, zdeptałby swoją duszę. Jednocześnie był tak wygłodniały, że pragnął napisać cokolwiek. Tak jak niedożywiony chłopiec chwytą łyżkę, on chwycił pióro i zanurzył stalówkę w kałamarzu.

WIERSZ ŁATWO UŁOŻONY

*Nocny deszcz szepczący za oknem,
Sześć mat w pokoju na obczyźnie.*

*Choć wiem, że poeta podąży za smutnym powołaniem,
Piszę linijkę wiersza,*

Wysiawszy czesne w kopercie Pachnącej miłością i potem.

*Wkładam pod pachę notes
I idę na wykład starego profesora.*

*Myśląc o tym,
Tracę
Jednego, dwóch, wszystkich przyjaciół z dzieciństwa.*

*Czego pragnę?
Samotnie utonąć?
Mówią, że życie jest trudne,
Choć wstyd mi
Że wiersz ten układa się tak łatwo.*

*Sześć lat w pokoju na obczyźnie.
Nocny deszcz szepczący za oknem.*

*Zapalając światło, aby odpędzić skrawek ciemności,
Moje ostatnie „ja” czeka na poranek, nową erę.*

*Podaję sobie drobną rękę,
Pierwszy uścisk lez i ukojenia.*

Po przetłumaczeniu wiersze zostały spalone. Hiranumę przeniesiono do izolatki w prokuraturze. Dwudziestego drugiego lutego 1944 roku prokurator oskarżył go i jego kuzyna o wywołanie incydentu. Proces rozpoczął się trzydziestego pierwszego marca. Przewodniczył mu sędzia Ishii Heiyo z Drugiego Departamentu Kryminalno-Śledczego Sądu Obwodowego w Kioto. Ishii uznał oskarżonych za winnych pogwałcenia klauzuli V Aktu utrzymania porządku publicznego, która głosi: „Ten, kto powołuje do życia organizację celem zmiany ustroju państwa, kto popiera jej działania, doradza jej, propaguje jej cele lub namawia czy podlega do ich realizacji, podlega karze nie mniejszej niż rok, lecz nie większej niż lat dziesięć pozbawienia wolności”. Hiranumę skazano na dwa. Ponieważ przed procesem spędził w areszcie dwieście sześćdziesiąt jeden dni, miał wyjść z więzienia trzydziestego listopada 1945 roku. Stracił wolność, choć nie wiedział nawet, co znaczy być wolnym - żaden Koreańczyk nie był wolnym człowiekiem. Wkroczył do zakładu karnego w Fukuoe, licząc dni, jakie pozostały mu do końca wyroku.

Sugiyama otworzył drzwi do pokoju przesłuchań. Chciał pokazać osadzonemu, że jest twardy jak skała, podszedł więc sztywno do biurka i usiadł naprzeciwko niego. Więzień miał popękane, spierzchnięte usta, jakby najadł się soli. Jego cienki, wygnieciony czerwony uniform z przetartym kołnierzem wyglądał jak brudna szmata ze śmietnika.

- 645! Przywiozłeś to tutaj. - Sugiyama rzucił na biurko książkę w czarnej skórzanej oprawie. Jej tytuł był wytłoczony złotymi literami. *Nowy Testament z psalmami*.

Osadzony chwycił ją trzęsącą się ręką i wciągnął do płuc zapach skóry.

- Pozwolono ci ją zabrać tylko dlatego, że jest po japońsku! - warknął Sugiyama.

645 zaczął przeglądać książkę jak wygłodniałe dziecko. Zatrzepotały cienkie kartki Biblii. Znalazł stronę, której szukał, i gorączkowo przeczytał:

Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest Królestwo Niebios.

Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni.

Błogosławieni cisi, albowiem oni posiadą ziemię.

Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyчени.

Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.

Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą.

Błogosławieni pokój czyniący, albowiem oni synami Bożymi będą nazywani.

Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania z powodu sprawiedliwości, albowiem ich jest Królestwo Niebios*.

* Ewangelia św. Mateusza 5,3-10. Biblia to jest *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu z apokryfami*, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1990.

Podniósł głowę jako inny człowiek. Nie był już zdenerwowany i wymizerowany. Miał spokojne oczy. Kto go pocieszył? Co dało mu spokój?

Sugiyama zdjął rękę z uchwytu pałki za pasem.

- Niewiarygodna głupota. Wierzyć w Boga w takich czasach...

- To lepsze niż nie wierzyć w nic.

Sugiyama pokręcił głową. Uważał, że Bóg jest tylko wymówką. Potężni zabijali i wszczynali wojny w jego imieniu, a słabi przyzymkali

oczy na niesprawiedliwość, wmawiając sobie, że taka jest jego wola.

- Lepiej jest wierzyć w siebie.
- Wierzę w Boga, aby uwierzyć w siebie.
- A więc nie jesteś wywrotowcem. Jesteś głupcem.
- Jeśli wiara w Boga jest głupotą, pan też jest głupcem. Wierzy

pan w niego jak ja.

Sugiyama przestraszył się nagle, że wpadnie w otchłań jego czarnych oczu.

- Nigdy nie wierzyłem w Boga. Ani przez sekundę! - Położył z trzaskiem pałkę na stole i wzburzył tym suche powietrze.

645 drgnął, mimo to parł naprzód.

- Nienawidzi go pan tak bardzo, jak ja go kocham. Może nawet bardziej. Każdy z nas kocha go lub nienawidzi na swój sposób. Gdyby nie istniał, nie miałby pan powodu, żeby go nienawidzić.

Sugiyama nie chciał wdawać się w tę pretensjonalną sofistykę.

- Może i tak. Może Bóg istnieje. Ale nie tutaj. To jest więzienie w Fukuoce. Jeśli Bóg istnieje, to nie jest Bogiem miłującym. Jest zimny i okrutny. Bo pozwolił ci żyć. A tutaj życie jest przekleństwem.

- Nieważne, gdzie się jest, nieważne, z kim się trzyma. Życie to błogosławieństwo.

Sugiyama przeszył go spojrzeniem.

- Nie gadaj mi tu o śmierci. Nawet ja jej nie znam, choć przeszedłem przez życie, obejmując ją ramieniem.

- Nie mówię o śmierci, mówię o życiu.

Sugiyamie zapłonęły oczy. Spotkali się wzrokiem i jego rozgorzałe spojrzenie i spokojne spojrzenie więźnia stoczyły bezgłośny pojedynek.

- Czytałem twój wiersz. Mówiłeś, że wiersze są drogą do zrozumienia prawdy o ich autorze, pomyślałem sobie więc, że tak będzie najszybciej. Ale kłamałeś. W tym wierszu nic nie ma. To zwykły gniot, histeryczny belkot niedojrzałej panienki.

645 zmarszczył brwi.

Sugiyama triumfował, myśląc, że zranił jego dumę. Choć wzruszenie, które ścisnęło mu gardło, kiedy czytał *Prolog*, nie mijało.

- Ale tak - dodał z udawanym spokojem. - Gdy go czytałem, coś przyszło mi do głowy.

Więzień podniósł wzrok.

Sugiyama się zawahał.

- Ty nie musisz wierzyć w Boga.

- Czemu?

Bo on już w tobie jest. Jednak te słowa zachował dla siebie. Nie

chciał, aby 645 odkrył, że wzruszył go głupi wiersz.

W naciągniętej na oczy czapce wszedł między wąskie półki. Ogarnął go mroczny spokój. Usłyszał cichy szept. Przystanął i nadstawił uszu, ale szept ucichł. Czyżby miał urojenia? Starzał się i ciało zaczynało atakować samo siebie. Przygasły mu oczy, uszy słyszały dziwne odgłosy, trzeszczały mu stawy, skóra obwisła, a kości nie mogły utrzymać jego ciężaru. Tak wyglądał ten etap życia. Żył zbyt gwałtownie i jego ciało szybko niszczało.

Ocknął się przed półką z pudłem więźnia 645. Spojrzał w dół i zdumiony stwierdził, że już trzyma je w rękach. Oto, co się dzieje, kiedy człowiekowi przybywa lat - pomyślał. Ciało przestaje cię słuchać. Rękopis wciąż był w pudle. Sugiyama wziął głęboki oddech, obiecując sobie, że bez względu na wszystko nie da się ponieść emocjom. Opadł na krzesło i krótkimi, grubymi palcami przewrócił kartkę.

NOC MOJEGO POWROTU

*Wracam do mojego pokoiku, jakbym wracał ze świata,
i gaszę światło. Zostawianie palącego się światła jest
nużące,
bo przedłuża dzień -*

*Powiniennem teraz otworzyć okno i wywietrzyć, ale
Gdy wyglądam na dwór, widzę, że jest tam równie
ciemno jak tutaj,
Jak na całym świecie i że ścieżka, którą szedłem przez
deszcz,
Wciąż jest mokra.*

*Nie mając czym zmyć napeężniałego gniewu dnia,
cicho zamykam oczy i słyszę, jak przez moje serce
przepływa jakiś dźwięk;
sama z siebie myśl dojrzewa niczym dzikie jabłko.*

Głosem ochryplym od krzyku i przeklinania Sugiyama czytał wiersz nabożnie jak modlitwę. Bał się, że osłabi go piękno słów i bijące z nich ciepłe pocieszenie, mimo to nie mógł oderwać wzroku od kartki. Jego życie było długą, męczącą walką; zasługiwał na odpoczynek, choćby krótki. Niektórzy obnosili się ze swoją przeszło-

ścią jak z medalami na piersi, chwając się liczbą ludzi, których zabili lub ranili w bitwie. Jednak przeszłość nie stanowiła powodu do dumy. Jego życie było porywiste i niebezpieczne jak zimowa rzeka skuta cienkim lodem. Urodził się w smrodzie i pyle. Zaraz potem porzucono go na targu rybnym w nadmorskim Kobe. Zaopiekowało się nim kilku handlarzy. W wieku siedmiu lat sprawiał już ryby, pięć lat później zaczął wypływać w morze. Dzięki ciężkiej pracy dojrzał fizycznie szybciej niż jego rówieśnicy i siła fizyczna stała się wkrótce jego jedynym atutem. Kiedy miał piętnaście lat, miejscowa hołota wszczęła z nim bójkę. Sugiyama porozbijał im nosy, połamał szczęki i ręce. Gdy przyszło do niego kolejnych pięciu bandziorów, odesłał ich do domu z powybijanymi zębami i pogruchotanymi nadgarstkami. Handlarze zaczęli go unikać, a kapitanowie przestali zabierać na pokład łodzi. Gang zaszantażował ich z zemsty i kazał im z nim zerwać. Targ wypłynął Sugiyamę, a on nie miał dokąd pójść. W końcu przystał do grupy tych samych bandziorów, którzy byli przyczyną jego kłopotów. Okazało się, że życie w mrocznych zaułkach miasta nie jest takie złe. Rządzące tam zasady miały sens. Jeśli nie jadałeś, ktoś zjadał ciebie; jeśli nie kradłeś, ktoś kradł za ciebie, i przegrywałeś. Miał precyzyjne i wydajne pięści. Wkrótce jego imieniu zaczął towarzyszyć przydomek: Sugiyama Pies, Sugiyama Rzeźnik.

Pewnego dnia krążył po ogrodzie ważnego dygnitarza, którego miał strzec. I coś usłyszał: dźwięki fortepianu. Gdy szukał ich źródła, spojrzął w okno na piętrze domu i ujrzał krągłe ramiona młodej kobiety. Ta krótka chwila odmieniła go na zawsze. Miał dwadzieścia lat. Niesione delikatnym wiatrem nuty poruszyły serce, które nigdy nie zaznało muzyki. Wiedział, że będzie wielbił je do końca życia. Coś zaczęło w nim kiełkować, uczucia, które obumarły w latach, gdy rządziły pięści. Nie domyślał się, że ma wrodzone poczucie piękna. Dźwięki fortepianu tworzyły sieć, wisiały w powietrzu. Ogarnął go spokój. Muzyka płynęła w jego żyłach i wstrząsała martwym sercem.

Kilka dni później postanowił zostać stroicielem i jako chłopiec na posyłki zatrudnił się w zakładzie strojenia i naprawy fortepianów w Kobe. Obdarzony wrodzonym talentem, w jednej chwili potrafił nauczyć się tego, co innym zabierało trzy lata. Nie wiedział, czy dlatego, że ma zmysł artystyczny i znakomity słuch, czy dlatego, że zobaczył wtedy tę młodą kobietę. Po roku został stroicielem i tymi samymi rękami, którymi kiedyś bił ludzi, napinał teraz delikatne struny. Pieścił fortepian, wyobrażając sobie, że dotyka jej, a ona dla niego gra. Ale szczęście jest tak ulotne jak kropla wody na szkle. Gdy skończył dwadzieścia cztery lata, oberwał w twarz czerwonym bile-

tem: powołano go do wojska. Jako żołnierz widział śnieżyce, burze piaskowe, błoto, kurz, zmęczenie i śmierć. Jakimś cudem przeżył. Myślał o tej kobiecie przez cały ten czas. Przeżycie było jedynym sposobem ocalenia dźwięków jej fortepianu, jego jedynym błogosławieństwem.

A może przekleństwem.

JAK ZDANIA RATUJĄ DUSZĘ?

Ciepły kwietniowy wiatr przemykał nad wysokimi murami, roznosząc subtelny zapach po ponurym więzieniu. Kwiaty otwierały się i rozsiewały pyłek, który wabił pszczoły. W twarzach osadzonych zaczynała krążyć krew, goiły się ropiejące palce u nóg, spękane ręce porastała nowa skóra. Hiranuma pragnął tylko jednego: przetrwać. Gdyby udało mu się przeżyć, mógłby znowu pisać wiersze. Codziennie rano, przed pobudką, ścierał liczby, które wydrapał na ścianie obok głowy, gdy z gorzkim uporem liczył dni do trzydziestego listopada 1945 roku.

Więzienie było tygłem kondycji ludzkiej. Przebywali tu więźniowie polityczni i zamachowcy, oszuści i uciekinierzy. Łączyło ich tylko jedno: wszyscy twierdzili, że są niewinni. Kłamali. Ich występki nie były poważne, czasem nawet nie były przestępstwami, i ludzie ci nie zasługiwali na to, by trafić za kratki. Pewien doker uganiał się za kobietą, którą kochał, i oskarżono go o gwałt. Strażnik pilnujący grupy poborowych skazanych na roboty przymusowe wtrącił jednego z nich do więzienia z nienawiści. Pewien mężczyzna zapukał do drzwi swojego pracodawcy, aby poprosić go o zaległą zapłatę, a oskarżono go o usiłowanie zabójstwa. Wszyscy opowiadali o swoich heroicznym wyczynach i za każdym razem ktoś rzucał obojętnie:

- Cholera, nie ma tu nikogo, kto nie byłby niesłusznie oskarżony!

Między osadzonymi dochodziło do gwałtownych bójek. Hiranuma odczuwał jedynie litość. Uważał, że tylko dzięki przemocy więźniowie mogą stawić czoło losowi.

Pewnego dnia, podczas popołudniowej przerwy, podszedł do niego starzec o krótkich siwiejących włosach i chytrej twarzy.

- Jesteś taki łagodny - powiedział i powietrze zaświstało w szparach między jego zębami. - Nie pasujesz tu. Jakie przestępstwo cię tu sprowadza?

- Pogwałcenie Aktu utrzymania porządku publicznego - odparł szorstko Hiranuma, grzebiąc nogą w martwej trawie. Widział zielone pędy pod uschniętymi korzeniami.

- Utrzymanie porządku publicznego, akurat - burknął starzec. - Pozbywają się Koreańczyków, i tyle. Wzięłem pożyczkę na wysoki procent i japoński bankier oskarżył mnie o to, że nie spłacam odsetek. Siedzę tu od dwóch lat. Ciebie też skazali za pożyczkę?

- Nie. Napisałem kilka wierszy po koreańsku.

Starzec zacmokał. Nie, ten chłopak nie był naiwny, był głupi. W ich świecie japońskiego nauczano już w szkole elementarnej i nikt nie miał prawa powiedzieć po koreańsku nawet jednego słowa. Przyjrzał się mu zmrużonymi oczami. Uważał, że to wykształciuchy takie jak jego rozmówca, ludzie, którzy robili bezsensowne rzeczy, przyczynili się do upadku Korei.

Podszedł do nich niski człowieczek o paciorkowatych oczach. Potarł ręką ogoloną głowę i zamrugał, rozglądając się wokół.

- Zwariowałeś, starcze? Co ty tu robisz? Choi cię zobaczy!

Wszyscy wiedzieli, że Choi bacznie obserwuje więźniów, żeby wybrać tych, których chce mieć w swojej bandzie. Od pierwszego dnia uważnie obserwował i młodego studenta Hiranumę.

Starzec się uśmiechnął.

- Nie podniecaj się tak, Man-gyo! Wiesz chociaż, dlaczego Choi chce wciągnąć go do swojej bandy?

- Nie - warknął niecierpliwie Man-gyo. - A ty wiesz? Jest ze złota czy co?

Starzec spowaźniał.

- Nie wiem, czy ze złota, czy gówna. Ale skoro Choi się nim interesuje, nie może być nikim. Jeśli zwerbujemy go pierwsi, będzie mógł nam naskoczyć. - Suchą ręką pogłaskał brodę, mówiąc o Hiranumie, jakby w ogóle go tam nie było.

- Cholera! A jeśli nie jest tego warty?

- Nie znasz się na handlu, co? - odparł lekceważąco starzec. - Trzeba mieć dobre oko, żeby dostrzec coś zyskownego. Dobre oko i łeb na karku. Im wyższa stawka, tym większe ryzyko. Ale co ty o tym wiesz. Umiesz tylko sprzedawać papierosy i suchary i włączyć w tyłek strażnikom, taki twój los.

Man-gyo uspokoił się, a gdy starzec posłał mu znaczące spojrzenie, ze szwu w uniformie wyjął papierosa i podał go Hiranumie, który gestem odmówił tego luksusu.

Man-gyo schował papierosa.

- Chcę zainwestować, więc jeśli to dobry interes, musisz się ze mną podzielić! - I odszedł, rozglądając się płochliwie.

Starzec pogłaskał wystrzępioną brodę.

- Zastanawiasz się pewnie, skąd tu papierosy. Widzisz, tam,

gdzie są ludzie, jest i handel. Dobry handlarz kupi i sprzeda nawet śmierć. Man-gyo nigdy nie będzie grubą rybą, ale ma wrodzony talent. Wsadzili go tu i już pół roku później zaczął ściągać towar zza murów. Strażnicy też są głodni. Wystarczy łapówka i patrzą w drugą stronę.

Hiranuma nie wiedział, czy cieszyć się, że jego towarzysz ma tak silną wolę przeżycia, czy smucić, że ludzka zachłanność jest nie do pokonania.

Starzec wyczuł jego wahanie.

- Jeśli masz na coś stawiać, proponuję, żebyś postawił na nadzieję. Jeśli postawisz na rozpacz, zostanie ci tylko jeszcze większe cierpienie. Wiem z doświadczenia, że wiara w sukces bardziej się opłaca. - Zamrugał zapyziały mi oczami i spytał: - Co masz do sprzedania?

Hiranuma pokręcił głową. Nie miał nic. Gdyby miał książki, mógłby sprzedać kilka w antykwariacie, ale tu były bezużyteczne. *Zdania, Krytyka nauk wyzwolonych, Poezja i opinia* - wszystkie skonfiskowano i albo gnily teraz u cenzora, albo je spalono.

- Każdy coś ma. Jeśli nie masz nic, możesz sprzedać swoje ciało. Jeśli ciało jest okaleczone, możesz sprzedać życie. Synu, przecież studiowałeś na uniwersytecie! Jeśli umiesz czytać i pisać po japońsku, musisz mieć coś do sprzedania.

- Czytanie i pisanie da się sprzedać?

- Raz w miesiącu wolno nam wysłać odkrytkę po japońsku. Ale większość więźniów to analfabeci. Nie wspominając już o Japońcach, bo oni nawet koreańskiego nie nauczyli się poprawnie. Mógłbyś pisać za nich. I ponieważ koreański jest zakazany, tłumaczyć na japoński to, co ci powiedzą.

- Przecież muszą tu być Koreańczycy, którzy znają japoński.

- Cenzor jest bardzo surowy. Jeśli znajdzie chociaż jedno podejrzane zdanie, zniszczy list. I porachuje kości temu, kto go napisał. Paru więźniów oddało przysługę kolegom, ale omal nie umarli od bicia, i teraz nikt nie chce tego robić. A napisać do bliskich chce bardzo wielu. Widzisz tę kupę pieniędzy?

- Przecież mówiłeś, że można umrzeć za jedno nieodpowiednie słowo.

- Właśnie dlatego powinieneś spróbować. Jesteś odczytany, umiesz pisać, więc bez trudu unikniesz wyrażenia, które cenzor chciałby wyciąć. No i zarobisz.

Hiranuma zmarszczył brwi.

- Jak? Oni nie mają grosza przy duszy.

- Japońce z Jedyunki i Czwórki ciągle szukają ludzi, którzy pracowaliby za nich za kasę. No i Koreańczycy pracują. Za napisanie odkrytki po japońsku popracują dla Japońców jeden dzień, a ty zgar-niesz ich dołę. I wszyscy wyjdą na swoje.

- Mam sprzedawać Japończykom pracę koreańskich więźniów?

- Otóż to. Jeśli przekupiony strażnik wyśle kóregoś do izby chorych, gość unika roboty na Trójce i może zastąpić Japońca.

Hiranuma był zniesmaczony.

- Nie chcę zmuszać do cierpienia moich rodaków.

Starzec pokręcił głową.

- A ja myślałem, że jesteś bystry. Dzięki twoim talentom niepi-smienni mogliby wysłać wiadomość do domu. Ale ty odmawiasz. Jesteś głupi? Czy okrutny? Większość z nich nie może napisać do rodziny ani jednego słowa. Jeśli nie chcesz im pomóc, po co się kształciłeś?

Hiranuma długo się zastanawiał.

- Ile bierzesz od Japończyków za dzień pracy?

- Cztery seny. To oficjalna cena.

- A ile bym z tego miał?

Starcowi rozbłysły oczy.

- Podzielimy się po połowie. Dwa seny na łebka. Zważywszy jednak, że muszę odpalić coś Man-gyowi i przekupić strażnika, wyjdiesz na tym lepiej ode mnie. Więc jak? Wchodzisz w to czy nie? - Starzec spojrział na niego z niecierpliwym wyczekiwaniem.

Hiranuma krótko skinął głową. Starzec uśmiechnął się i pobiegł rozreklamować nową usługę. Wiadomość o koreańskim „pisarczyku” rozeszła się po celach szybko i po cichu. Mimo to do stojącego pod murem Hiranumy nikt nie podchodził. Wszyscy wiedzieli, że każda próba przechytrzenia cenzury jest niebezpieczna jak chodzenie nad przepaścią. Wyrażenia niosące emocje, opisy więziennego życia i pytania o wojnę natychmiast zaczerniano, a nadawcę problematycznej odkrytki oraz tego, kto ją napisał, wzywano do pokoju przesłuchań na bicie. Starzec uznał, że musi być pierwszy, bo inaczej nie namówi bojaźliwych kolegów. Stał przed Hiranuma i podyktował list tak głośno, że słyszeli go wszyscy Koreańczycy.

- Kochana Suno, wiosna wciąż nie przychodzi do więzienia, z którego tak bardzo chcę wyjść. Mówią, że już przyszła, ale cholera jasna, podłoga w celi jest zimna jak lód, a klawisze szaleją! Ciągle ktoś umiera, choć ja mam to gdzieś. - List zawierał mnóstwo zakaza-nych wyrażań, a on wykrzyczał je, jakby chciał, żeby go przyłapano.

Ołówek Hiranumy śmigał po papierze, rejestrując jego cyniczne

słowa. Osadzeni zgromadzili się wokół niego ciekawi, jak ten błąd pisarczyk zamaskuje te wszystkie skargi i narzekania. Skończywszy, Hiranuma odczytał po koreańsku to, co napisał. Zamysł i uczucia autora zostały zachowane, lecz jawnie prowokacyjny ton wypowiedzi złagodniał. Kurier zabrał pocztówkę. Spięci więźniowie czekali. W każdej celi szeptano i zakładano się o los odkrytki. Dwa dni później została wysłana, ale starca nie wezwano na przesłuchanie. W celach po cichu wiwatowano. Osadzeni w końcu zrozumieli, kim jest więzień 645: był kimś, dzięki komu mogli podzielić się swoją duszą ze światem zewnętrznym.

Jeden po drugim zaczęli go szukać. Przed rozpoczęciem pisania Hiranuma wypytywał ich, kto jest adresatem, jakie stosunki ich łączą i jakie wspomnienia. Uważnie słuchał, jak mówią i jakich lubią używać słów. Nie pisał pod dyktando. Tworzył nową oprawę, która maskowała prawdziwe znaczenie tego, co chcieli przekazać. Kiedy odczytywał na głos swoją wersję, więźniowie płakali, słysząc, jak ujął w słowa ich prawdziwe uczucia. Formułował ich rozpacz tak, żeby uniknęła ostrza cenzury, co było jak stąpanie po ostrzu miecza. Dwa tygodnie później zaczęły przychodzić odpowiedzi, tak zaczerwioną atramentem, że widać było jedynie ślady słów, które Sugiyama uznał za niepożądane. Listy skrzyły się nadzieją i miłością. Hiranuma odczytywał je na głos. Nawet jeśli Sugiyama zaczerpnął wszystko, on potrafił wskrziesić słowa i rozszyfrować to, co zostało ukryte i nie mogło być powiedziane, ukazując adresatom niewypłakane łzy i niewyśnione marzenia. Hiranuma odżył. Coraz więcej osadzonych korzystało z jego usług; starzec założył nawet księgę rachunkową z kawałków drewna i węglem zapisywał w niej nazwiska dłużników. Hiranuma był coraz bardziej zajęty, księga pęczniała, a Man-gyo coraz częściej biegał do Japończyków, zaopatrując ich w koreańską siłę roboczą.

- Trafiliśmy w dziesiątkę, Dong-ju - mówił starzec z uśmiechem.
- Ludzie ustawiają się w kolejce. Przyjdą raz, przyjdą i drugi. Gdybyś krócej z nimi gadał, biedacy nie musieliby tak długo czekać.

Hiranuma pracował właśnie nad kolejnym listem.

- Jeśli wpadniemy, będzie po nas - wymamrotał. - Chcesz stracić taki interes?

- Masz rację! Rób dalej swoje. Dobrze nam idzie. - Starzec pokręcił głową i zajął do księgi. - Czterdziestu pięciu klientów w dwa tygodnie. To sto osiemdziesiąt senów, z czego ty zarobiłeś dziewięćdziesiąt.

Podszedł do nich Man-gyo.

- Potrzebujesz czegoś? Papierosów? Ryżu? Kostek cukru albo galaretki? Mogę zdobyć wszystko.
- Przydałoby mi się trochę pracy. Ile bierzesz za dzień?
- Od Japońców cztery seny, ale współnikowi dam zniżkę. Co powiesz na połowę? Dwa seny za dzień!
- Dobrze - odparł Hiranuma. - Wezmę tych, dla których piszę listy.

Starzec rozdziawił usta.

- No proszę! Prawdziwy wilk! Przez ciebie nie będziemy mieli co jeść.

Skonsternowany Man-gyo patrzył to na jednego, to drugiego.

Starzec ulitował się nad nim i wyjaśnił:

- Za jedną napisaną przez Dong-ju odkrytkę dostajemy cztery seny. To koszt pracy jej nadawcy. Wysyłamy nadawcę do Japońców i bierzemy od nich cztery seny. Połowa jest nasza, połowa Dong-ju. Ale on chce teraz wykupić pracę tych, którzy prosili o napisanie listu. I to za dwa seny dziennie!

Man-gyo wyraźnie się zaniepokoił.

- W takim razie nie będziemy mogli wysłać nikogo do Japończyków i nasz interes...

- Diabli wezmą.

Man-gyo wpadł w przerażenie. Ale Hiranuma szybko go uspokoił.

- Nie martw się. Wyślę ich do Japończyków, a wy dacie im moje dwa seny. Wszyscy wyjdą na swoje. Wy będziecie pobierali swoją dolę, Koreańczycy także dostaną pieniądze za pracę, a Japończycy będą mieli kim się wysługiwać. Wystarczy i na sutą łapówkę dla strażników.

- W końcu ty nic nie będziesz z tego miał - zauważył Man-gyo. - A powinieneś. Ostatecznie to ty piszesz listy.

- Będę, będę.
- Ale co?
- Codziennie mam dostęp do ołówka i papieru. Dopóki mogę pisać, reszta się nie liczy.

Układ był doskonały, choć Man-gyo nie wiedział, że aż tak.

Po popołudniowym obchodzie Sugiyama otworzył pudełko z korespondencją wychodzącą i znalazł w nim cztery odkrytki. Usiadł wygodnie na krześle. Pierwsza była od koreańskiego więźnia, który pisał do żony. Staranne litery, wiadomość zwięzła i konkretna - osa-

dzony opowiadał o więzieniu, lecz nie narzekał, i chociaż pisał o cierpieniu, zdawało się, że robi to z ulgą. Sugiyama był trochę podejrzliwy, ale nie mógł znaleźć w liście niczego zakazanego. Adresatką drugiej odkrytki była czyjaś matka. Wiadomość napisano tą samą ręką, jednak innym stylem i z wykorzystaniem innych wyrażań, jakby jej autorem była zupełnie inna osoba. W tej też nie doszukiwał się niczego problematycznego. To samo powtórzyło się w liście trzecim i czwartym. Ich autorzy doskonale wiedzieli, jakich słów unikać. Wciąż sceptyczny Sugiyama ostemplował je niebieską pieczęcią z napisem „Ocenzurowano”. Odchylił się do tyłu i przetarł suche oczy. Nagle usiadł i wziął z biurka ostatnią odkrytkę.

Ale przede wszystkim powinienem wspomnieć o naszym wspaniałomyślnym cenzorze. Gdybym wiedział, że jest tak nam przychylny, napisałbym do Ciebie wcześniej. Nie pisałem, ponieważ bałem się, że list zostanie ocenzurowany. Jednak dzięki jego wielkoduszności mogę czytać Twoje listy bez jednego wykreślonego słowa.

W głowie zaświtała mu pewna myśl: autor tych listów pisał je pod niego. Sugiyama czuł, że coś tu cuchnie. Pokaże temu bezczelnemu więźniowi, co się dzieje z dowcipnisiem, którzy z niego żartują.

Więzień 645 siedział na twardym krześle prosto jak jego litery na papierze. Sugiyama zniżył głos.

- Te listy pisałeś do mnie. Wiedziałeś przecież, że je przeczytam.

Hiranuma gorączkowo myślał. Jeden nieostrożny krok mógł zrobić kalekę z niego i Koreańczyków, którzy prosili go o pomoc.

- Wiem, że jesteś przebiegły. Nie ze mną takie numery. Wiem, że to ty za tym stoisz! - krzyknął Sugiyama. Unikał wzroku więźnia, bojąc się, że ten się rozmyśli.

- Tak, przyłapał mnie pan. Ale warto było. Dużo się o panu dowiedziałem.

Sugiyama zdrętwiał - czyżby 645 interesował się potajemnie jego życiem? Domyślał się, jak do tego doszło: pierwszy list 645 napisał bardzo uważnie, tłumiąc wszystkie emocje i unikając wyrażań, które mogłyby stanowić problem. Gdy ten pierwszy przeszedł przez cenzorskie sito, 645 stawał się coraz odważniejszy. Pewnego dnia przemycił do treści listu podejrzane słowo, a do kolejnego całe wyrażenie o podwójnym znaczeniu. Na podstawie częściowo zaczerpniętych odkrytek, które dostawali więźniowie, wydedukował, jak Sugiyama

odbiera znaczenie słów i jakich nie lubi. Oszukał go, przekonał, że on, strażnik, całkowicie panuje nad sytuacją. Sugiyama obserwował Hiranumę, ale tak naprawdę to Hiranuma zaglądał mu prosto w serce.

Na jego szyi pulsowały grube żyły.

- Posunąłeś się za daleko. Nie jestem pisarzem, ale nie jestem też aż takim durniem, żeby nie zrozumieć, co jest grane. - Rozsierdzony, zacisnął zęby i przesunął ręką po krótkich, sztywnych włosach na głowie. - Wiedziałeś, że możesz zginąć, mimo to próbowałeś ze mną walczyć!

- Nie może pan mnie zabić.

- Doskonale wiedziałeś, że oberwiesz, jeśli to się wydał

Do Sugiyamy dotarło, że 645 ma rację. Gdyby był cenzorem, który zabija za pisanie listów, cenzurowałby je surowiej. Hiranuma musiał wyczuć, że Sugiyama nie rozumiał ich wywrotowego znaczenia albo odwrócił wzrok. Ten spokojny przepływ odkrytek powiedział mu, że strażnik ten, nieważne, jak bardzo brutalny, nie będzie w stanie go skatować, nie wspominając już o zabiciu.

Sugiyama pokręcił głową.

- Wiesz, że nazywają mnie Rzeźnikiem?

- Wiem o panu znacznie więcej.

- Czyżby? Niby co takiego?

- Choćby to, że rozumie pan i lubi tajemnicę słów.

Sugiyama uśmiechnął się kpiąco. Rzeczywiście, przejrzał na oczy - korzenie zdań tworzyły gigantyczny las znaczeń. Stwardniał mu głos.

- Co to za głupoty?

- Znam pana, tego prawdziwego. Tymczasem pan nie wie nawet, kim pan jest.

Sugiyama rozumiał, że 645 z niego drwi. Musiał się bronić. Walczyć ze słownictwem ostrzejszym niż nóż, ze zdaniami bardziej zabójczymi niż ostrze włóczni. Miał małe szanse: Hiranuma był inteligentem, podczas gdy on dopiero co porzucił analfabetyzm. Czuł się tak, jakby wciągało go czarne bezdenne bagno. Ale nic nie mógł na to poradzić. Bitwa już się zaczęła i mógł jedynie walczyć.

W cieniu pod murem Hiranuma wciąż wysłuchiwał więźniów, którzy szlochali przed nim, krzyczeli i wygrażali pięściami. Wkrótce poznał ich historie i wiedział już, jakie mieli dzieciństwo, jakie popełnili przestępstwo i jak bardzo czuli się oszukani. Pisał list za

listem, odtwarzając ich głos, wyraz twarzy i intonację. Musiał dokładnie przekazać to, co chcieli powiedzieć, jednocześnie w bardzo subtelny sposób nadać temu czy innemu wyrażeniu podwójne albo nawet potrójne znaczenie, żeby uniknąć cenzury. Złany czarnym jak tusz potem, co rano budził się z tego samego snu: na jego czole widniała czerwona pieczęć Sugiyamy. Nie wiedział, kiedy strażnika zmęczy ta gra. Z drugiej strony, ponieważ Sugiyama cenzor był zasadniczy, reguły, których Hiranuma musiał przestrzegać, z biegiem czasu stawały się prostsze. List za listem Hiranuma zmiękczał go i uwodził, powoli i uporczywie.

Sugiyama czuł, że się zmienia. Listy Hiranumy wciągnęły go tak bardzo, że zaczął podświadomie ich wyglądać. Z niewyraźnych liter na brązowym papierze biła tęsknota i nadzieja, w każdej linijce widział łzy i słyszał westchnienia. W czasie lektury odprężał się jak w ciepłej kąpieli. Czuł się pokonany. Ciągnęło go do nich, jednocześnie pragnął od nich uciec. Za to traktował więźniów z jeszcze większym okrucieństwem.

Hiranuma obserwował go z daleka. Strażnik stawał się coraz bardziej agresywny. Wymachiwał pałką, przeklinał i wrzeszczał. Hiranuma uśmiechnął się do siebie. Taktyka skutkowałą. Przemoc to ostatnia linia obrony. Czuł, że Sugiyama się waha. Przed kilkoma dniami przyszedł list od żony jednego z więźniów. Sugiyama ocenzurował go, pokreślił na czerwono, mimo to słowa były widoczne. Przedtem sięgnąłby po czarny tusz, całkowicie zamazując zdania. Hiranuma uznał, że może zacząć używać wyrażenń odważniejszych i bardziej oczywistych.

O SMUTKU, MILSZY MIJESTEŚ NIŻ MOJA UKOCHANA

Sugiyama zerknął na list więźnia do jego trzynastoletniego syna.

Zaczynał się od pochwał na cześć wiosny i jej piękna, a potem opisywał brzemiona wojny. Więzienie, nędza, śmierć... Odważne słowa, pierwszy tak jawny opis wojny. Sugiyama potarł pieczęć o poduszkę z czerwonym tuszem.

Nie rozpaczaj, że nie ma przy Tobie ojca. Nieważne, jak bardzo się smucisz, nieważne, jak Ci ciężko, cierpienie zawsze Cię czegoś nauczy. Ból może nas zniszczyć, ale może też pomóc nam dorosnąć. Francis Jammes, wspaniały francuski poeta, napisał wiersz pod tytułem *Modlitwa do umiłowanego smutku*. „O smutku, miłszy mi jesteś niż moja ukochana”. W innym z kolei pisał: „Oto nasze najzacniejsze znoje”. Przy okazji przeczytaj zbiorek jego wierszy, a dowiesz się, jak nie stracić nadziei i zyskać odwagę do walki z trudami życia.

List był bardzo śmiały, jednak Sugiyama nie dopatrywał się żadnego powodu, aby go ocenzurować. Ostatecznie więzień zachęcał tylko syna do tego, by nauczył się godzić z cierpieniem. Sugiyama myślał przez chwilę. Czy autor krytykuje i szydzi z wyzwiań naszych czasów? Czy tylko wskazuje synowi źródło nadziei, aby przywykł do smutku? Sugiyama zdał sobie sprawę, że aby to ustalić, będzie musiał przeczytać wspomniane w liście wiersze. Niecierpliwie nogi zawiodły go do biblioteki, magazynu skonfiskowanych materiałów. Przejrzał zawartość pudła więźnia 645 i znalazł starą pożółkłą książkę, *Wiersze Francisca Jammes'a*. Otworzył ją i zerknął na spis treści: *Modlitwa o to, by pójść do nieba wraz z osłami, Modlitwa o prostą żonę, Dom byłby wtedy pełen róż, Sad ze słonecznymi malinami, Oto nasze najzacniejsze znoje*. Wziął głęboki oddech i zaczął czytać *Modlitwę do umiłowanego smutku*.

*Nie mam nic oprócz smutku i niczego więcej nie pragnę.
Smutek był i wciąż jest mi wierny.
Dlaczego miałbym go odpychać, skoro
trwał przy mnie,
kiedy moja dusza runęła w głębiny serca?
O smutku, widzisz, skończyło się na tym, że zacząłem cię
szanować,
ponieważ teraz mam już pewność, że nigdy mnie nie
opuścisz.
Ach! Już wiem: twe piękno tkwi w sile istnienia.
Jesteś jak ci, którzy nigdy nie porzucili
obolalego miejsca przy kominku mego biednego czarnego*

serca.

*O smutku, miłszy mi jesteś niż moja ukochana,
gdyż wiem, że w dniu mego ostatecznego rozstania
będziesz leżał u mego boku, o smutku,
aby raz jeszcze zagościć w moim sercu.*

Smutek jest lepszy niż ukochana - Sugiyama instynktownie to rozumiał. Wolę życia można złamać, mimo to znowu stanjemy na nogi; nasze pragnienia można ugasić, lecz znowu zapłoną. A pogodziwszy się z szarą rzeczywistością, stanemy się jeszcze silniejsi. Sugiyama odchylił się mocno na oparcie krzesła.

Jego uwagę przykuła kolejna strona. *Oto nasze najzacniejsze znoje*. Spojrzał na odkrytkę, którą właśnie ocenzuował. Nareszcie! *Oto nasze najzacniejsze znoje*. Sugiyama triumfował. Przyłapał Hiranumę na gorącym uczynku: ten głupiec ukrył w tym tajną wiadomość, najpewniej wywrotową. Dziecko przeczyta wiersze Jammes'a i pozna jej prawdziwe znaczenie. Czy to możliwe, żeby list nie był przeznaczony dla syna, tylko dla jakichś antypaństwowych wichrzycieli? Sugiyama spodziewał się zawartych w wierszu buntowniczych podtekstów: zginąć za wyzwolenie kraju, namówić innych, żeby porzucili wygodne życie i stawili opór Japonii, czegoś w tym duchu.

OTO NASZE NAJZACNIEJSZE ZNOJE

*Oto nasze najzacniejsze znoje:
ten, kto wlewa mleko do drewnianych konwi,
ten, kto zbiera ostre, proste kłosa pszenicy,
ten, kto pędzi bydło w kępę młodych olch,
ten, kto zbiera w lesie brzoźowy sok,
ten, kto splata pęki łoziny nad szumiącym potokiem,
ten, kto naprawia stare buty
przy czarnym palenisku, u boku parchatego kota,
śpiącego kosa i szczęśliwych dzieci;
ten, którego wrzecziono furkocze
w głośnym graniu świerszczy o północy,
ten, kto piecze chleb, kto robi wino,
ten, kto sadii czosnek i kapustę w ogrodzie
i ten, kto zbiera ciepłe jaja.*

Sugiyama był zdumiony. Mimo że uważnie czytał, nie mógł doszukać się w tym utworze niczego wywrotowego. Nie znalazł tu ani

ukrytych szyfrów, ani zakamufLOWANYCH treści. Wiersz wychwalał po prostu spokojne życie w zgodzie z naturą, pokorne życie na wsi. Wysławiał to, że ludzie budzą się rano z pianiem koguta i ciężko pracują, by wieczorem usnąć przy muzyce świerszczy. Oczy zasłyły mu mgłą. Nie wierzył w szczęście - szczęście istniało tylko w gadaninie słabych duchem romantyków. Ciężko pracował, żeby wymazać z codziennego życia krótkie chwile ukojenia, ponieważ nigdy nie był szczęśliwy. Czy to możliwe, że uciekał od zadowolenia, uważając je za sen desperata?

Po długim namyśle z głośnym trzaskiem ostemplował list niebieską pieczęcią „Ocenzurowano”. Przegrał, nie znalazł żadnego zakazanego przekazu. Odkrytka pofrunie do młodego chłopaka czekającego na ojca w rozlatującej się chatce w zaułkach portowego Kobe. I chłopak przeczyta wiersze Francisa Jammes'a. List doda mu sił do walki z cierpieniem i trudami życia podczas wojny.

Potem w korespondencji wychodzącej zaczęły pojawiać się nieznane nazwiska i wyrażenia, łącznie z całym strofami dobranymi stosownie do wieku i położenia tego czy innego więźnia. Zdawało się, że Hiranuma ma w głowie olbrzymi zbiór poezji na każdą okazję. Jeden z osadzonych wysłał do żony wiersz *Modlitwa do mojej prostej żony*. Więzień piszący do swojej dziewczyny przekazał jej wiersz miłosny Goethego. Sugiyama przeczesał bibliotekę w poszukiwaniu cytowanych na odkrytkach dzieł i pisarzy. Nie przepuścił ani jednego nazwiska czy tytułu. Zauważywszy nazwisko Tolstoja, przeczytał wszystkie jego książki. Noc w noc wędrował pośród podejrzanych wyrażen. Nie znajdował nic do ocenzurowania, lecz nie tracił czujności.

Osadzeni też się zmienili. Uśmiechali się, zamiast przeklinać. Pojedyncza fraza potrafiła sprawić, że ci, którzy do tej pory sięgali myślą najwyżej do wieczora, zaczęli odliczać dni do wyjścia na wolność. Tych, którzy dotychczas ciągle się bili, ogarniał spokój i codziennych awantur było teraz mniej. Sugiyama widział, jak z listem od rodziny w ręku osadzeni wycierają rękawem łzy. Wydawało się, że powodem tych wszystkich zmian są właśnie listy. To go zastanowiło: człowieka mogło odmienić jedno zdanie, a wraz z człowiekiem zmieniał się świat. Z każdym odmienionym.

Pewnego razu, już w pełni lata, Sugiyama przesiedział całą noc nad listem więźnia do syna. Osadzony odpowiadał synowi na skargi,

że ludzie wyśmiewają jego przybrane nazwisko. Mimo zmiany „Kaneyama” pozostało boleśnie i wyraźnie koreańskie - tak wymawiało się po japońsku „Kim” z sufiksem „yama”. Więzień pocieszał go, pisząc, że jeśli syn poradzi sobie z wyzwiskami, ułatwi mu to drogę do dumnego życia.

Niech nazwisko Cię nie smuci. W *Romeo i Julii* Shakespeare napisał: „Czemże jest nazwa? To, co zowiem różą, pod inną nazwą równieby pachniało”*. Nazwisko jest nieważne. Ważne jest to, żebyś miał własny zapach.

* Przekład Józefa Paszkowskiego.

Sugiyama odszukał tę sztukę w rejestrze skonfiskowanych materiałów i popędził do biblioteki. Znalazł ją w pudle 486. Odkrywszy, że Shakespeare był Anglikiem, krzyknął z radości. Łatwo będzie dowieść, że to niepożądane, ostatecznie pochodził z wrogiego kraju. Ostrożnie otworzył tę niebezpieczną książkę. Okazało się, że miał przed sobą opowieść o miłości. Romeo jest synem Montekich, Julia córką Kapuletów. Bal i romans, którego nie skonsumowano ze względu na rodowe waśnie. Sugiyama szybko przerzucał kartki. Pojedynek Merkucja z Tybaltem, śmierć, wygnanie, Julia zasypia po wypiciu mikstury od ojca Laurentego. Romeo wypija truciznę. Julia wbija sobie sztylet w serce.

Sugiyama usiadł - nie dawały mu spokoju te piękne sceny, rozmowy głównych bohaterów, uczucie ciepła wywołane wspomnieniem nieszczęśliwej miłości. Potrząsnął głową, żeby odzyskać trzeźwość umysłu. Tak, *Romeo i Julia* jest sztuką bez wątplenia problematyczną. Nie dość, że napisał ją dramaturg z wrogiego kraju, to jeszcze mówiła o dekadentckiej miłości, a przesycone śmiercią zakończenie cuchnęło pesymizmem. Mimo to nie potrafił sięgnąć po czerwoną pieczęć. Czyżby w jego cenzorskie kryteria wkradło się za dużo współczucia? Nie chciał działać pochopnie i niszczyć odkrytki. Bo kto pocieszyłby to dziecko? W końcu wymyślił kompromis. Gdyby przesłuchał Hiranumę, mógłby uzyskać dokładniejszą interpretację tego utworu.

Więzienny dziedziniec paliło słońce. Z grubych ceglanych ścian biło gorąco i osadzeni gotowali się w warsztacie jak w garnku. Podczas przerwy czym prędzej biegli do cienia pod murami, jakby uciekali z piekła. Siadali grupkami i zaczęli rozmawiać, niecierpliwie,

łapczywie. Jeden perorował przez chwilę z pasją, a gdy kończył, zaczynał mówić następny. Zmieniali się jak aktorzy na scenie.

Sugiyama pokręcił głową. Szedł przez dziedziniec, a gorące powietrze wdzierało się pod owijacze na łydkach. Szedł tak jak zwykle, kołyszając się na szeroko rozstawionych nogach i robiąc duże kroki. Ten arogancki wojskowy chód wzbudzał w więźniach lęk. Nie wiedzieli, że tak Sugiyama radzi sobie z bólem starej rany postrzałowej na udzie. Kierował się na wzgórze, gdzie był cmentarz i gdzie wieszano więźniów. Rosły tam obok siebie trzy wysokie topole, lecz ich rzadkie gałęzie nie dawały cienia. Osadzeni szeptali między sobą o nawiedzających wzgórze duchach, które snują się z pętlą na szyi. A i strażnicy nie lubili zaglądać w tę okolicę nocą.

Pod jedną z topól siedział Hiranuma. Siedział i sobie gwizdał.

- 645! Gwiżdżemy, co? Jesteśmy w dobrym humorze?

Koreańczyk nie odpowiedział na zaczepkę. Miał puste, chłodne oczy.

- Hiranumo Tochu! - krzyknął Sugiyama. - Odpowiadaj! Będziesz czekał dopiero wtedy, kiedy zbiję cię jak psa? - Czubkiem pałki zadarł mu głowę.

Koreańczyk spuścił wzrok.

- Nie nazywam się ani 645, ani Hiranuma Tochu. Mam na imię Dong-ju. A na nazwisko: Yun.

Sugiyama zeszywniał. Czy to jakaś pułapka? Czy Hiranuma wykorzystał tę wstawkę o Shakespearze, nazwiskach i istnieniu, żeby wciągnąć go w toczącą się od lat dyskusję o kontrowersyjnym problemie Koreańczyków zmuszanych do przyjmowania japońskich nazwisk? Skoro tak, tym lepiej. Nie będą musieli krążyć wokół tematu.

Sugiyama uśmiechnął się, zerwał źdźbło trawy i zaczął je żuć. Usta wypełniła mu gorycz.

- Yun Dong-ju czy Hiranuma, kogo to obchodzi? Jesteś, kim jesteś, bez względu na to, jak cię zwą. - Przypomniały mu się słowa Julii ze sztuki, którą czytał w nocy:

*Romeo! Czemuż ty jesteś Romeo!
Wyrzecz się swego rodu, rzuć tę nazwę!
Lub, jeśli tego nie możesz uczynić,
To przysiąż wiernym być mojej miłości
A ja przestanę być z krwi Kapuletów.
Nazwa twoja tylko jest mi nieprzyjazną,
Boś ty w istocie nie Montekim dla mnie.*

*Ramieniem, twarzą zgoła jakąkolwiek
Częścią człowieka? O! weź inną nazwę!
Czemże jest nazwa? To, co zowiem różą,
Pod inną nazwą równieby pachniało;
Tak i Romeo, bez nazwy Romea
Przecieżby całą swą wartość zatrzymał.
Romeo! Porzuć tę nazwę, a w zamian
Za to, co nawet cząstką ciebie nie jest,
Weź mnie, ach, całą!**

* Przekład Józefa Paszkowskiego.

- Róża nazwana inaczej wciąż pachnie jak róża - ciągnął sztywno. - Nazwa nic nie znaczy. Ważna jest sama istota. Czy nazywają cię Yunem Dong-ju, czy Hiranumą, wciąż jesteś bezczelnym, upartym Koreańczykiem.

- Imię jest symbolem duszy - zaprotestował cicho Hiranuma. - Uosabia nie tylko czyjąś twarz i ciało, lecz także jego wspomnienia, marzenia, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Tak jak pojedyncze słowo może zawierać różne uczucia, w jednym zdaniu może tkwić wiele różnych znaczeń.

W jednym zdaniu może tkwić wiele różnych znaczeń? A więc ten dupek wykorzystał słowa Shakespeare'a do przekazania wielu myśli! Nazwana inaczej róża wciąż pachniała, ale jeśli nie nazywano jej różą, przestawała nią być. Nawet ta najwonnejsza straci z czasem zapach i zwiędnie, jednak jej imię będzie żyło i wypowiedziane przywoła dawne piękno i zapach. Róża zniknie, lecz jej nazwa przetrwa.

- Monolog Julii - ciągnął Koreańczyk, nie zważając na jego konfuzję - jest paradoksalnym wyrazem tego, że imię definiuje naszą obecność.

- Paradoksalnym?

Hiranuma wyjaśnił, że podkreśla się w ten sposób to, iż można powiedzieć coś, mówiąc coś innego, i utrzymywać, że to prawda, choć się wie, iż jest to fałsz. Sugiyamie zaświtało coś w głowie. A więc zdanie można interpretować odwrotnie, zależnie od tego, kto je czyta? W takim razie czy skierowana do Romea prośba Julii o pozbycie się imienia naprawdę potwierdza, że nazwisko wszystko określa? Romeo i Julia rozpaczali z powodu swoich rodów, tego, kim byli. Ich miłość doprowadziła do tragedii. Gdyby odrzucili swoje nazwiska, pewnie by tę miłość skonsumowali, nic by ich nie powstrzymało. Ale nie mogli tego zrobić - nazwiska definiowały ich istnienie, przez co ich miłość była jeszcze bardziej tragiczna.

- Nazywam się Yun Dong-ju - powtórzył Hiranuma głosem twardym i pełnym godności.

Sugiyama przeszył go spojrzeniem.

- Nie. Nie wiesz, że używanie koreańskich nazwisk jest zabronione?

- Bez tego nazwiska jestem niczym. „Hiranuma” to maska, którą każą mi nosić Japończycy.

Jego słowa były nadmiernie zasadnicze i absurdalne. Ale może jednak nie? Siedząc w celi, ten degenerat przemyślał książki do listów, żeby sprowadzić go na manowce i wyprać mu mózg.

Sugiyama trzasnął w udo przepoconą czapką.

- Milcz! Nic się nie zmieniło!

- Nieprawda. Pan się zmienił.

Koreańczyk miał rację. Gdyby Sugiyama nie przeczytał *Romea i Julii*, nie wdałby się w tę głupią dyskusję o różach i nazwach. Musiał się pilnować. Zaciśnął pięści, lecz te zadrżały, gdy uświadomił sobie, że nie może już wrócić do dawnego siebie. Bał się tego, kim się stał, człowiekiem, którego może zmienić byle książka.

Lato mijało, a on noc w noc wędrował labiryntem półek pełnych starannie poukładanych książek. Obowiązków cenzorskich miał teraz bez liku, ale nie protestował i z utęsknieniem wyglądał kolejnych listów. Aż pewnego dnia na dobre odłożył czerwone pióro. Już nie czytał listów, żeby je cenzurować. Pokrzepiał go schludny charakter pisma, ciepłe wykrzykniki, delikatne przymiotniki i znajome rzeczowniki. Szedł według ukrytych w pocztówkach wskazówek. Dzięki temu poznał Dostojewskiego, Valéry'ego, Baudelaire'a, Gide'a, Homera, Dantego, Shakespeare'a i Cervantesa. Zmieniał się, dobrowolnie. Stał się niewolnikiem drukowanego słowa. Robił się niespokojny, jeśli czegoś nie przeczytał - czegokolwiek. Czy wyprano mu mózg? Nawet jeśli tak, nic nie mógł na to poradzić.

Nadeszła pora deszczowa i spadająca z nieba woda falowała jak rozwieszona na dworze prześcieradło: wszystko, co za nim, było zamglone, rozmazane i gotowe wyrwać się gdzieś w dal. Kiedy deszcze ustaną, minie jedna pora roku i zacznie się następna - Sugiyama wiedział, że sierpniowe słońce wkrótce ostygnie i zacznie wiać wrześniowy wiatr. Pewnej nocy siedział do późna, patrząc na długi cień wieży strażniczej na dziedzińcu. Noc wcześniej przeczytał odkrytkę z wierszem - *Dniem jesiennym* Rainera Marii Rilkego - i nie mógł przestać o nim myśleć.

*Panie: już czas. Tak długo lato trwało.
Rzuć na zegary słoneczne twój cień
I rozpuść wiatry na niwę dojrzałą.
Kaź się napełnić ostatnim owocom;
Niech je dwa jeszcze ciepłe dni opłyną,
znaglaj je do spełnienia i wypędź z mocą
ostatnią słodycz w ciężkie wino.*

*Kto teraz nie ma domu, nigdy mieć nie będzie.
Kto teraz sam jest, długo pozostanie sam
i będzie czuwał, czytał, długie listy będzie
pisał i niespokojnie tu i tam
błądził w alejach, gdy wiatr liście pędzi**

Dong-ju przysłał mu jesienne pozdrowienia w romantycznej, introspekcyjnej modlitwie.

* Przekład Mieczysława Jastruna.

SKĄD PRZYCHODZI I DOKĄD ODCHODZI WIATR

Sugiyama wkroczył w nową porę roku ze zmrużonymi oczami. Jesień pachniała słońcem i ostrą wonią opadłych liści. Małe kwadratowe niebo nad więzieniem wyglądało jak spłachetek niebieskiego materiału otoczonego grubymi murami, na których jeżyły się kolce. Schwytane w nie promienie popołudniowego słońca błyszcząły jak łuski ryby w sieci. Więźniów przybywało; wielu odeszło, jedni powłócząc nogami, inni pod słomianą matą. Oczy ocalałych zrobiły się chłodne, jak to na jesieni.

Sugiyama podszedł do Hiranumy, który opierał się o pień topoli.

- Co w tych wierszach jest, że wpakowały do więzienia takiego intelektualistę jak ty?

Hiranuma bez słowa spojrzał w niebo. Po długiej chwili odparł:

- Poezja jest świątynią słów.

Świątynią? Bez sensu. Świątynia to miejsce dla czystych świętych dusz, gdzie grzesznicy proszą o przebaczenie, uciśnieni szukają pocieszenia i gdzie ludzie modlą się o życie wieczne. A więc poezja pociesza duszę i pozwala marzyć o wieczności? Bardzo to romantyczne. Komu potrzebna dziś romantyczność? Sugiyama odcharknęła i splunęła z pogardą.

- Poezja jest zwierciadłem duszy - ciągnął cicho Koreańczyk. - Jest jak spuszczenie wiadra do studni i wyciąganie prawdy. Krzepi nas. Uczy i w końcu zbawia.

- Świątynia jest po to, żeby pomagać ludziom pokiereszowanym przez los. Jak może im pomóc głupi wiersz? - Sugiyama podniósł głos. - Tylko my sami możemy sobie pomóc. Wierszydło, które pod płaszczykiem pięknych słów ukrywa prawdę, tego za nas nie zrobi. Dopiero co nauczyłem się czytać i pisać, ale nie dam się nabrać na obłąkane gadki takich jak ty.

- Być może niedawno przestał pan być analfabetą, ale jest już pan wytrawnym twórcą. Rozumie pan metaforę i symbolikę. Docenia pan znaczenie języka. Nawet pańskie przekleństwa są poetyckie. Nawet kiedy pan kogoś obraża, posługuje się pan swobodnie symboliką i

metaforą.

- Symboliką i metaforą? Pogięło cię jak żelazo w hucie! Kłamstwo jest kłamstwem nawet w sprytniej grze słów. To taka sama bzdura jak wojna o pokój czy kochankowie, którzy muszą się rozstać, bo się kochają. - Sugiyama sapnął jak rozwścieczony byk.

Hiranuma uśmiechnął się lekko i ze znużeniem.

- Widzi pan? Właśnie o tym mówię. „Pogięło cię jak żelazo w hucie!” Użył pan porównania. Tchnął pan życie w to zdanie. Właśnie pomógł mi pan zrozumieć je zupełnie inaczej.

- Absurd. Nie można przeklinać poetycko!

- Można. Pana przekleństwa są oparte na prawdzie. Nielogiczne kłamstwo staje się czasem prawdą. A wtedy „piękna wojna” czy „słodkie rozstanie” będzie miało sens.

- Piękna wojna? Ktoś taki jak ty nic nie wie o wojnie! Nie potrafisz nawet sobie wyobrazić, jak człowiek niszczy na polu walki, jak umiera. Spałeś kiedyś w kałuży krwi pokryty muchami? Wpadłeś w ręce wroga i nie wiedząc, czy to jawa, czy sen, zdradziłeś mu, gdzie ukrywają się twoi towarzysze? Taka jest wojna. Wojna jest brudna. - Sugiyamie załamał się głos. Strażnik zawsze wiedział, że jest okaleczony. Ale może to się zmieni? Może jednak wciąż miał w sobie duszę, choć malutką i wyjałowioną?

Hiranuma posłał mu współczujące spojrzenie.

- Ma pan rację. Niewiele wiem o wojnie. Ale jestem taki sam jak pan. Bo jej nienawidzę.

Sugiyama pogardliwie wykrzywił usta.

- A więc jeśli przekleństwa analfabety mogą być poezją, wszystko, co napiszę, będzie wierszem.

Koreańczyk spojrział na białe chmury kłębiące się nad topolami.

- Oczywiście. Już pan kilka napisał.

- Nie jestem poetą.

- Poeta nie pisze wierszy. To wiersze piszą jego.

Z topoli sfrunęły ptaki. Sugiyama spojrział na swoje znoszone buty. Stały po zalanych krwią polach bitewnych i zakurzonym więziennym dziedzińcu, kopały i tratowały ludzi. Były stare i podrapane jak jego życie.

- Nie jestem człowiekiem czystego serca jak ty - wymamrotał ze skrucą i znieruchomiał. Zamknięte w trzewiach słowa szarpały mu twarz. Nie, nie miał czystego serca, nie był nawet człowiekiem. Był potworem, który zabijał niewinnych.

- Życie jest poezją - powiedział Hiranuma. - Wiersze pisze się tak, jak się żyje.

Sugiyama chciałby, żeby to była prawda. Jeśli mówienie prawdy polegało na tym, że rzeczy piękne nazywa się pięknymi, a brudne przeklina, mógłby już być poetą. Przynajmniej przekleństwa uczciwie oddawały jego wściekłość. Nagle pożałował, że nauczył się czytać i pisać, bo jako analfabeta nie poznałby poezji Hiranumy. Czuł, że jego dawne „ja” schodzi z niego jak stara skóra, że nie jest już zimnym strażnikiem ani surowym cenzorem. Był teraz pobudliwym chłopcem, który nie może się doczekać, aż zostanie poetą.

Kilka tygodni później Hiranuma stał, opierając się o pień topoli, i gwizdał jakąś melodię.

- Yun Dong-ju!

Gdy te trzy dźwięczne sylaby - nazwisko, które odebrano mu, zniszczono i zakopano w pyłe i które już nie istniało - dotarły do jego uszu, przestał gwizdać. Słowo „tak” utknęło mu w przełyku jak rybia ość, rozboleło go gardło.

- Tak! - wykrztusił po długiej chwili głosem, który nie należał już do Hiranumy Tochu. Był to głos Yuna Dong-ju.

- Nie znasz innych piosenek? - spytał Sugiyama.

Dong-ju patrzył na niego bez słowa.

- Tę znam już nawet ja, bo cały czas ją gwizdziesz. Nie wiem tylko, co to jest.

- *Zabierz mnie do mojej starej Wirginii* - odparł w końcu Dong-ju. - Stara pieśń amerykańskich Murzynów, niewolników tęskniących za domem. - Uśmiechnął się gorzko. Świat był wrogi, a czasy okrutne; jedno i drugie zdradzało nadzieję i przekreślało marzenia.

Sugiyama spojrzał na mamroczących między sobą więźniów i zmienił temat.

- Dlaczego Koreańczycy są tacy gadatliwi? Ciągle siedzą i mielią jęzorem.

- Każdy ma coś do powiedzenia - odparł cicho Dong-ju. - Skąd przychodzi i dokąd odchodzi wiatr...

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Sugiyama dokończył jego wiersz:

- „Wieje / a ja cierpię bez powodu. / Dlaczego bez powodu? / Nigdy nie kochałem kobiety. / Nigdy nie smuciły mnie złe czasy. / Wiatr wciąż wieje / a ja stoję twardo na płaskiej skale. / Rzeka wciąż płynie / a moje stopy wrosły we wzgórze”. - I skonsternowany, że to

wyrecytował, burknął: - Tylko naukowcy wiedzą, skąd przychodzi i dokąd odchodzi wiatr. Skąd mógłby to wiedzieć głupi poeta, ktoś taki jak ty?

Usłyszawszy tę niepodważalną prawdę, Dong-ju pochylił głowę. Poezja nie potrafiła rzucić światła na pochodzenie wszechświata, życia czy śmierci. Wiersz skrupowany logiką był bezsensowny.

- Może i tego nie wiemy - odparł oschle - ale możemy go poczuć. To, jak łaskocze skórę, drobniutkie ziarenka piasku, które unosi, i zapach pór roku.

- Po co mamy cokolwiek czuć? - spytał Sugiyama, nie kończąc zdania: skoro świat trawia płomień, a młodzi mężczyźni giną jak mrówki.

Dong-ju nie był tego pewny. Coś mówiło mu, że język jest jedynym narzędziem, które może opisać okrucieństwo wojny. Bo tylko najczystszy język mógłby dać świadectwo prawdzie najstraszniejszych czasów. Spojrzał za mur. Nad odległym portem latały kolorowe latawce. Błyszczały jak ławica szarych ryb płynących pod prąd. W tej samej chwili zza muru wystrzelił w niebo niebieski, odważnie podskakując w powietrzu i jak rekin ścigając pozostałe. Dong-ju przesłonił ręką oczy.

- Na to tak patrzysz? - wysapał Sugiyama. - To tylko bawiące się dzieci.

- Z każdego szczegółu można coś wywnioskować. Choćby to, kto je puszcza. Jego główne cechy, wiek. - Wyciągnął rękę. - Ten należy do trzynasto-, czternastoletniej dziewczynki. Po szybkości, z jaką biegnie, żeby go wypuścić, można poznać, że nie jest osobą dorosłą. Ale i nie małym dzieckiem. A skomplikowane ruchy latawca dowodzą, że nie jest to również chłopak. Ta dziewczynka wydaje się odważna, ciekawa i ambitna. A także samotna.

- Skąd wiesz?

- Inne latawce latają nad morzem tak daleko, że prawie ich nie widać. Wszyscy tam chodzą, bo nadmorski wiatr unosi je wyżej. A ten niebieski latał tu już tydzień temu, z każdym dniem coraz bliżej. Skoro już ustaliliśmy, że dziewczynka puszcza go w miejscu odległym od tego, gdzie bawią się inne dzieci, jest oczywiste, że nie ma z nimi wspólnego języka. Za to w puszczeniu latawców jest prawdziwą mistrzynią.

- Nieźle - rzucił kpiąco Sugiyama. - I wszystko to na podstawie ruchów i pozycji latawca, he?

- Jest tyle rzeczy, które możemy zrozumieć, nawet ich nie widząc - odparł Dong-ju z roziskrzonymi oczami. - Można zobaczyć choćby

wiatr, wystarczy chcieć.

- Bzdura! Uwierzyłbym ci, gdybyś powiedział, że możesz pokazać mi ducha. Kilku strażników widziało martwych więźniów chodzących po tym wzgórzu. Ale wiatr?

Dong-ju tylko się uśmiechnął.

Nazajutrz w więzieniu zawyła syrena. Sugiyama przystanął na środku dziedzińca; zauważył, że wszyscy znieruchomieli. Nikt nie przeklinał ani się nie bił, osadzeni byli spokojni. Obserwowali małą kropkę na niebie, drgającą w promieniach popołudniowego słońca. Czerwony latawiec w kształcie rombu pomachał długim ogonem. Więźniowie krzyknęli. Sugiyamie zmroziło to krew w żyłach. Odruchowo spojrzął w stronę wzgórza z topolami: stał tam Dong-ju ze szpulką w rękach. Strażnik odwrócił się na pięcie i spojrzął na wieżę. Lufa karabinu maszynowego, która powinna celować wzdłuż muru, była teraz skierowana na wzgórze. Ciężko dysząc, Sugiyama puścił się pędem przez dziedziniec. Krew, chwilę przedtem zimna jak lód, teraz się w nim gotowała. Wiatr smagał wierzchołek wzgórza. Dong-ju nie odrywał oczu od latawca, ostrożnie operując sznurkiem. Miał spokojną twarz. Pałka Sugiyamy uderzyła go w ramię. Ciało Koreańczyka zawibrowało od wstrząsu i zgięło się jak źle wbity gwóźdź. Trzasnęła kość.

- Chcesz zginąć?! - krzyknął Sugiyama. - Chcesz, żeby cię zastrzelili?

Wiatr szarpnął latawcem, szpulka wypadła Dong-ju z rąk i potoczyła się po nagiej ziemi. Zniechęcony latawiec machnął ogonem i spadł.

- Widział pan wiatr? - spytał z jękiem Dong-ju. - Widział pan, jak niósł latawiec? - Uśmiechnął się, błyskając zębami, śnieżnobiałymi na tle spływającej z czoła krwi.

Sugiyama upuścił pałkę. Tak, widział wiatr. Ciężki od zapachu lasu, upiornej cmentarnej ciszy i ruchu gałęzi drzew, wiał z doliny, wysoko unosząc latawiec. Sugiyama ukląkł i zerknął na wieżę: zobaczywszy, że więzień jest obezwładniony, celowniczy karabinu maszynowego skierował lufę z powrotem na mur. Sugiyama ciężko westchnął i położył się na ziemi. Latawiec, który jeszcze przed chwilą szybował w powietrzu, zniknął. Zrobiony z białej tkaniny, zamiast papieru, leżał teraz na piasku. Ogon był z pozszywanych kawałków materiału, szkielet z gałązek topoli, zamiast bambusa, a sznurek skręcony z nici

wyprutych ze szwów więziennego uniformu. Sugiyama zerknął na Dong-ju, odchylił mu spodnie i zobaczył, że Koreańczyk jest pod spodem nagi. Rękawy bluzy i spodnie też miał krótsze niż przedtem. Do strażnika dotarło, że do sklejenia latawca więzień musiał użyć kleju zrobionego z przydziałowej porcji ryżu.

- Przez ten przeklęty wiatr omal cię nie zabili!
- Dzięki, że uratował mi pan życie.
- Bez przesady. Obezwładniłem krnąbrnego więźnia, zrobiłem po prostu swoje.

Dong-ju spuścił wzrok. Gdyby było inaczej, Sugiyama nie wbiegłby na wzgórze, nie pchnął go za drzewo i nie zbił brutalnie pałką, zmuszając go do zwinienia się w kłębek. Nie stanąłby nad nim i nie zasłonił go szerokimi plecami przed lufą karabinu.

W biurze Sugiyama wypisał więźniowi 645 skierowanie do izby chorych. Zrobił to pierwszy raz w życiu.

*

Wezwano go do gabinetu naczelnika. Hasegawa patrzył w okno spod okrągłych okularów, które przesunął na czoło. Maeda zerwał się z krzesła, nie czekając, aż Sugiyama zaszalutuje.

- Co ty, do diabła, robisz? Gdzie byłeś, kiedy ten więzień podburzał innych?

Zamiast odpowiedzieć, Sugiyama spojrzął na swoje buty. Przed oczami mignęła mu seria obrazów: patrzący w błękitne niebo więźniowie, tańczący na wietrze czerwony latawiec, młody Koreańczyk ze sznurkiem na wzgórzu, podniesiona lufa karabinu maszynowego, rozbryzgi krwi, pokój przesłuchań, gdzie zawlókł poetę. Wszystko wydawało się teraz zupełnie nierzeczywiste.

- Dzisiaj o czwartej po południu - zameldował - więzień 645 naruszył przepisy. Przez dziesięć minut puszczał latawiec na dziedzińcu. Na szczęście więźniowie zachowali spokój i moja interwencja zakończyła incydent.

Maeda łypnął na niego spode łba.

- Na szczęście? On zlekceważył przepisy na oczach wszystkich Koreańczyków!

- To prawda, ale za moją uprzednią zgodą. Więzień 645 chciał puścić własnoręcznie zrobiony latawiec i dałem mu pozwolenie.

- Co ty sobie myślałeś?! - krzyknął Maeda. - Jak mogłeś? Czyś ty zwiariował?

Sugiyama z trudem przełknął ślinę.

- Miło się to oglądało - wtrącił Hasegawa.

Maeda wytarł czoło. Łagodna reakcja naczelnika trochę go uspokoiła.

Sugiyama wykorzystał to i powiedział:

- Uznałem, że będzie to dobry sposób na zapanowanie nad osadzonymi. Kiedy przebywają na dziedzińcu, są rozproszeni i skorzy do bójki. Pomyślałem, że jeśli zgromadzą się w jednym miejscu, łatwiej ich będzie obserwować i interweniować. Kiedy latawiec był w powietrzu, nikt się nie bił. Wszyscy patrzyli w niebo.

Hasegawa wiedział, że głód, lęk i ekstremalna pogoda wprawia osadzonych w zdenerwowanie, że wystarczy najmniejsza obelga, często nawet urojona, i wszczynają bójkę. Nie powstrzymywały ich ani tortury, ani karcer. Tymczasem taktyka z latawcem zmusiła ich do uległości. Naczelnik uśmiechnął się z aprobatą.

- A więc jeśli pozwolimy im puszczać latawce, będziemy mogli skuteczniej ich kontrolować.

Maeda nie robił wrażenia przekonanego.

- Ale wystarczy odwrócić wzrok i te bestie rzucają się sobie do gardła. Latawiec wylądjuje za murem i wpadną w szal.

- Nie, wszystko będzie dobrze. - Hasegawa pokręcił głową. - Bez względu na to, co stanie się z latawcem, osadzeni wciąż będą tutaj, w więzieniu. A jeśli zacznie się coś dziać, wystarczy przeciąć sznurek.

- Tak jest - zgodził się szybko Maeda. - W takim razie będą puszczać latawce w każdy wtorek po południu.

- Można by im zaproponować, żeby urządzili napowietrzny pojedynek. Ludzie zawsze ze sobą walczą, wszystko jedno gdzie są. Jeśli dzięki temu uda nam się opanować ich agresję, spadnie liczba incydentów. Oczywiście trzeba ich bacznie obserwować. - Naczelnik z zadowoleniem oblizał usta.

Sugiyama po cichu wypuścił powietrze. Nie wiedział, że przez cały czas wstrzymywał oddech.

Jesień potężniała. Zimno wciskało się pod uniformy. Szeleściły tarzające się po ziemi liście, ocierały się o siebie nagie gałęzie drzew. Z szarego dziedzińca były obłoczki pyłu. Sugiyama miał ostatnio więcej pracy, ponieważ robił duży, mocny latawiec, który powinien wzbić się wysoko w niebo. Budował go z małych kawałków papieru posklejanych klejem z rozgotowanego ryżu, bambusowych patyków i bawełnianej nici. Gdy latawiec był już gotowy, przechował go w

biurze i we wtorek po południu dał Hiranumie. Więźniowie zebrali się na dziedzińcu. Zamigotał rozwijający się sznurek. Latawiec zatrzepotał nad murami jak biała flaga. Osadzeni patrzyli w górę, wspominając czasy, gdy wysokie mury i drut kolczasty nie zasłaniały im widoku. Wspominali łąki i poletka ryżowe, po których biegali swobodnie, czując wiatr na twarzy. Latawiec wystrzelił w niebo, zachwiał się, opadł i zawirował jak pijany. Ich życzenia wystrzeliły w niebo wraz z nim, ich marzenia pokonały mur. Krzyczeli i śmiali się, zamiast latawca widząc siebie. Na wolności.

Czubkami palców Dong-ju wyczuwał kapryśny wiatr, który co chwilę zmieniał kierunek i prędkość, śledził wzrokiem jego ruchy. W pewnej chwili silny podmuch porwał latawiec i przechylił tak gwałtownie, że z ust więźniów wyrwał się głośny jęk. Ale Dong-ju zręcznymi rękami popuścił linkę, znowu ją wybrał i latawiec odzyskał równowagę. Wyglądało to tak, jakby pod jego wprawnym dotykiem specjalnie zatoczył w powietrzu dwa kręgi. W końcu Koreańczyk rozluźnił zaciśnięte palce i szpulka zawirowała jak bąk, rozwijając sznurek. Latawiec opadał, leniwie machając ogonem. Osadzeni znowu jęknęli.

Sugiyama chwycił sznurek i nawinał go na rękę.

- Co ty, do diabła, robisz? - Sznurek werznął mu się w dłoń do krwi.

- Trzeba popuścić, wtedy polecą wyżej. Złapie wiatr i się wzbije. I rzeczywiście: latawiec wystrzelił w niebo.

Osadzeni krzyknęli, wskazując rękami w drugą stronę. Zza murów wyfrunął duży niebieski latawiec z błękitnym ogonem i jak rekin polujący na małą rybę zaatakował latawiec Koreańczyka.

- Pojedynek - mruknął Sugiyama. - Więźniowie są za bardzo podekscytowani.

Zamiast odpowiedzieć Dong-ju szybko ominął niebieskiego przeciwnika. Ten znowu go zaatakował i latawiec Koreańczyka zatoczył się, tracąc równowagę. Niebieski napastnik ciągle zmieniał wysokość i kierunek lotu, uparcie próbując splątać swój sznurek ze sznurkiem Dong-ju. Więźniowie ze wstrzymanym oddechem patrzyli, jak ich smutny latawiec unika zaczepki. W końcu udało mu się wyjść z pojedynku cało i osadzeni wesoło zakrzyknęli. Dong-ju szybko zwinął sznurek, latawiec opadł i wylądował na dziedzińcu. Osadzeni wydali głośne, bolesne westchnienie.

Zawyla syrena na koniec przerwy. Jeden po drugim Koreańczycy zniknęli w warsztacie i celach. Na dziedzińcu powróciła cisza.

- Dlaczego unikałeś starcia? - spytał Sugiyama.

Dong-ju bez, słowa skończył nawijać sznurek.

Strażnik zastanawiał się, czy Koreańczyk uznał, że lepiej będzie uciec z pola walki niż przegrać i zawieść kolegów. Może chciał w ten sposób ochronić ich nadzieje i marzenia, zamiast ryzykować, że zburzy je agresywny przeciwnik. To było chyba lepsze niż utrata nadziei.

BIEGNIJ, BIEGNIJ, PĘDŹ NICZYM ZBIEG

Maeda zmiął kartkę i rzucił ją na podłogę.

- Co ty tu robiłeś jako cenzor? Wyjaśnij, jak ten wywrotowy tekst trafił do więźniów!

Sugiyama podniósł kartkę.

- Tak, tak, popatrz sobie, poczytaj!

Sugiyama rozwinął papier. I wytrzeszczył oczy. Kartka była pokryta malutkimi koreańskimi literami. Twarz stężała mu tak bardzo, jakby miała pęknąć od najdelikatniejszego stuknięcia.

- Nie potrafię tego odczytać, ale...

- To jest po koreańsku, więc na pewno ma wywrotowy charakter!

W piecyku głośno strzeliły węgle.

- Widziałem, jak ta kartka krąży wśród osadzonych - warknął Maeda. - Wiesz, kto to napisał?

Sugiyama poczuł, że po plecach spływa mu pot. Tylko jedną osobą miała tak wprawna ręka. Ugryzł się w język i odparł:

- Natychmiast to sprawdzę!

- Nie musisz. - Maeda otworzył rejestr skonfiskowanych materiałów i podszedł bliżej. - Ja już wiem. - Zniżył głos. - Któż inny mógłby to napisać? To Hiranuma Tochu. Dlaczego nie spaliłeś jego książek?

- Nie zdążyłem, miałem dużo pracy.

Maeda przeszył go wzrokiem.

- To znaczy, że się leniłeś. Natychmiast przynieś mi wszystkie jego papiery! Sam się tym zajmę. A ty daj mu porządny wycisk.

Pałka spadła na nagi tors więźnia przywiązanego do krzesła. Odgłos, który temu towarzyszył, zabrzmiał tak, jakby coś w nim pękło. Miał chude, nagie ramiona i spuchnięte stawy. W świetle żarówki jego skóra wydawała się niemal zupełnie przezroczysta. Sugiyama zachowywał się jak głupiec i leń. Wiedział, do czego to w końcu doprowadzi, ale dał się omamić dźwięcznym słowom tego dupka. Nie

poradził sobie z czyhającym w nich niebezpieczeństwem. Praktycznie rzecz biorąc, był przestępcą. Powinien od razu spalić wszystkie skonfiskowane materiały. I zrobić z Dong-ju kalekę.

- Oszukałeś mnie - wysapał chrapliwie. - Gadaj! Co to za wiersz?
- Rzucił na biurko pióro i papier. - Przetłumacz go na japoński!

Dong-ju podniósł pióro spuchniętymi palcami. Zadrzało, sunąc po zmiętej kartce. Słowa popłynęły jak rzeka, pełne niewinnych wyznań, czystego gniewu i przepojonych wstydem wyrzutów sumienia. W końcu pióro upadło na papier, ciężkie jak kamień. Czytając wiersz, Sugiyama odmłodził, jakby znowu stał się chłopcem.

Zerknął na czekających w pobliżu strażników. Wtopili się w mrok, wiedząc z doświadczenia, że zaraz zacznie się najbardziej brutalna faza przesłuchania.

Sugiyama wziął ze stołu kartkę z koreańską wersją wiersza. Kartkę zrobiono z kilku innych, pociętych na długie paski i nierówno sklejonnych.

- Skąd wzięłeś papier?

Dong-ju z trudem poruszył zakrwawionymi ustami.

- Odcinałem małe skrawki z odkrytek i sklejałem je ryżem.

- Ryż jest do jedzenia, kretynie, a nie do robienia papieru!

Dong-ju posłał mu słaby uśmiech. Pałka zadrzała w powietrzu.

- Co zamierzałeś zrobić z tym niebezpiecznym wierszem?

- To nie jest niebezpieczny wiersz.

- Nie? Każdy Koreańczyk, który go przeczyta, pomyśli o domu i będzie rozdrażniony. Chciałeś wzniecić bunt?

- Nie ma dowodu, że ten wiersz wywoła w kimś takie odczucia.

- Nie ma? To oczywiste, że wszystkim puściłyby nerwy! - Sugiyama zawahał się. Nie mógł mu zdradzić, że wiersz skruszył nawet jego serce, zimne i brutalne. Rzucił pałkę i zniżył głos. - Kiedy przeczytałem ten głupi wiersz, zakręciło mi się we łbie. - Zrobił przerwę na oddech. - To twój koniec. Nie zabiję cię. Ale dobiorę się do twojej głowy. Pójdiesz do karceru. I to na piętnaście dni!

*

Dwa dni później Maeda kazał Sugiyamie przyjść do spalarni. Był trochę mniej spięty.

- Szybko go dopadliśmy, więc nie zdążył puścić tego w obieg. Podjąłeś słuszną decyzję. Dwa tygodnie karceru albo go zabiją, albo wyczyszczą mu umysł.

Sugiyama stanął na baczność.

- On jest poetą. Jego umysł jest napiętnowany słowami. Wytrzyma w karcerze tylko po to, żeby znowu pisać.

- Wszystko jedno. - Maeda uśmiechnął się i błysnął złotym zębem. - Zagrożenie w porę wykryte przestaje być zagrożeniem.

Rzucił Sugiyamie plik papierów z czerwoną pieczęcią „Do spalania”. Sugiyama przejrzał je. *Chłopiec, Śnieżna mapa, Noc stąd widziana, Świt początku, Inny dom, Noc liczenia gwiazd*. Słowa drżały.

- W sumie to nie twoja wina - pocieszył go Maeda. - Winny jest on. I został słusznie ukarany. Ty musisz tylko posprzątać. Dalej, spal to.

Sugiyamie zamarło serce.

- Natychmiast je przejrzę, posegreguję i spalę.

- Nie, zrób to teraz! - warknął Maeda. - Wrzuć do ognia cały plik. On naruszył Akt utrzymania porządku publicznego, ma opór we krwi. Spójrz tylko na ten wiersz! - Wyrwał mu z rąk rękopis, przerzucił kilka kartek, wreszcie znalazł to, czego szukał. Podsunął mu kartkę pod nos.

INNY DOM

*Gdy wracam nocą do domu,
Mój szkielet podąża za mną i kładzie się obok mnie.
Mój ciemny pokój to wrota wszechświata
I owiewa mnie wiejący skądś wiatr; wieje chyba z nieba.
Patrzę na szkielet, który powoli usycha w ciemności:
Czy to ja płaczę?*

*A może on?
Albo piękna dusza?*

*Dostojny pies
Szczeka w ciemności całą noc*

*Szczeka na mrok,
Pewnie mnie goni.*

*Biegnij, biegnij,
Pędź niczym zbieg.
Do innego pięknego domu
Za plecami szkieletu.*

- Widzisz? - rzucił triumfalnie Maeda. - Same wywrotowe treści, od pierwszej linijki do ostatniej. Ten wiersz zawiera jawnie antyjapońskie wątki. Bo co innego może znaczyć dostojny pies szczekający w ciemności? To uparty koreański więzień, ciemność to okupacja, a inny dom to wyzwolona Korea. Ten wiersz podżega ich do walki o wolność Korei!

Sugiyama spojrzął na kartkę.

- Jest pan zbyt wspaniałomyślny. Hiranuma napisał go we wrześniu czterdziestego pierwszego. Studiował wtedy w Seulu i pojechał odwiedzić rodzinę w Mandżurii. Po prostu martwił się o przyszłość. To są tylko młodzieńcze niepokoje. A obrazami szkieletu i pięknej duszy w wymyślny sposób przestrzega sam siebie. Wiersz jest zbyt płytki, żeby wychwalać nacjonalizm. To tylko emocjonalny bełkot.

Zadrżało mu serce. Młody chłopak z biednej japońskiej kolonii rozpaczliwie tęsknił za domem, lecz nie mógł ukryć się nawet tam. Opisywał czasy, gdy nie miał dokąd pójść, gdy tęsknota była zakazana.

Maeda przewrócił kartki.

- Ale ten jest wyraźnie antyjapoński!

SMUTNE PLEMIE

*Biały ręcznik na czarnych włosach,
Białe gumowe buty na szorstkich nogach.*

*Biała bluzka i spódnica tarczą smutnego ciała,
Biały pasek oplata wątlą talię.*

- Biały ręcznik, białe buty, białe wszystko! - grzmiał Maeda. - Dobrze wiesz, że Koreańczycy uwielbiają biały kolor! Czarne włosy, szorstkie nogi, smutne ciało, wątła talia: same skargi! Biały strój to zakamuflowana zachęta do walki z Japończykami.

Sugiyama przelknął ślinę.

- Słusznie, wyraźnie widać tu nacjonalistyczną symbolikę. Ale nie wszystkie wiersze są takie. - Szybko prze rzucił kilka kartek i przeczytał inny:

CHŁOPIEC

Smutna jesień opada jak liście. Z każdego opuszczonego przez nie miejsca emanuje wiosna, a nad gałęziami rozpościera się niebo.

Chłopiec patrzy w nie i niebo maluje na niebiesko jego czoło. Chłopiec przesuwa dłońmi po policzkach i jego ręce stają się niebieskie. Przygląda im się. Wzdłuż linii płynie czysta rzeka, czysta rzeka; widać w niej twarz, smutną jak miłość - to twarz pięknej Suni. Uszczęśliwiony chłopiec zamyka oczy. Mimo to rzeka wciąż płynie, a smutna jak miłość twarz wciąż jest twarzą pięknej Suni.

W uszach pobrzmiwał mu jego własny głos. Spojrzał na swoje dłonie, zimne jak rzeka. Tymi rękami bił ludzi, wszystkich, jak popadło. Nagle ogarnął go wstyd.

- Nie ma tu ani nacjonalizmu, ani zachęty do buntu. Jest tylko czyste serce chłopca przeżywającego pierwszą miłość.

Maeda spojrział na niego nieufnie.

- Hiranuma jest ostrożny. Pewnie dołączył ten wiersz, żeby zmylić cenzora. Musiał wiedzieć, że zostanie aresztowany.

- Nieprawda. Ten wiersz odzwierciedla jego prawdziwe uczucia.

- Nie, on się tylko tak kamufluje. Ta Suni pewnie nawet nie istnieje!

- Nie, to nie jest zmyślona postać! - Sugiyama nieświadomie podniósł głos.

Maeda łypnął na niego spođe łba.

Sugiyama znowu rzucił się na rękopis. Przekartkował go i znalazł *Śnieżną mapę*.

ŚNIEŻNA MAPA

Rankiem w dniu wyjazdu Suni duże płatki śniegu spadły z niewymownym uczuciem na mapę rozpościerającą się smutno za oknami.

Rozglądam się po pokoju, lecz nikogo tu nie ma. Sufit i ściany są białe. Czyżby śnieg padał nawet tutaj? Naprawdę odchodzisz niczym stracona historia? Chociaż piszę w liście to, co chciałem napisać, nie wiem, gdzie idziesz, na jaką ulicę, do jakiej wioski, pod czyj dach; czy ostałaś się jedynie w moim sercu? Śnieg porywa ślady twoich drobnych stóp, więc nie mogę za tobą podążyć. Kiedy stopnieje, na śladach tych wyrosną kwiaty. Poszukam ich wśród kwiecica, a śnieg będzie padał w moim sercu przez dwanaście miesięcy w roku.

- *Chłopiec* i *Śnieżna mapa* powstały w odstępie dwóch lat - tłumaczył Sugiyama, wskazując daty. - *Chłopiec* opisuje uczucia zakochanego chłopca, a *Śnieżna mapa* mówi o tęsknocie za straconą miłością. Gdyby ten pierwszy wiersz miał tylko nas zmylić, Hiranuma nie tęskniłby tak rozpaczliwie za tą samą postacią dwa lata później.

Nie potrafiłby tego oddać.

Maeda nie robił wrażenia przekonanego.

- Widzę, że umiesz rozszyfrowywać wiersze.

- Wystarczy mi jeden dzień. Wybiorę te do spalenia i napiszę raport.

Maeda zamachał rękami.

- Nie, nie ma sensu. Po prostu spal wszystkie od razu, i to teraz!

- Ale nie zgodzi się pan ze mną, że te dwa to zwykła liryka?

- Właśnie, w tym problem. Do niczego nie podzęgają, dlatego są jeszcze bardziej niebezpieczne. Rozdzierać szaty z miłości, podczas gdy cały naród zaciska pasa i walczy z amerykańskim i brytyjskim agresorem? Taka pisanina to przecież czysty dekadentyzm, osłabia siłę przysięgi „zginie albo zwyciężymy”.

- Ale po wojnie te wiersze ukoją ludzkie serca - zaprotestował Sugiyama, nieświadomy, że znowu podnosi głos.

- Nie musisz się tym martwić - warknął Maeda. - Zwyciężymy na pewno. Wielka Cesarska Armia Japońska doścignie agresorów choćby na końcu świata i wszystkich ich zabije.

- Po wojnie Japończycy mogą potrzebować tych wierszy. Pałac je, nie pomożemy Imperium.

- Tak, widzę, że nie są to zwykłe wiersze, bo wytrąciły z równowagi nawet ciebie. Dlatego trzeba się ich pozbyć. Są niebezpieczne.

W głowie Sugiyamy pobrzmiwały myśli, których nie mógł wypowiedzieć. Powoli otworzył zardzewiałe stalowe drzwiczki. Drzwiczki zapiszczały. Ze spalarni buchnął obłok pyłu i popiołu, w powietrzu zawisł dławiący zapach dymu. Maeda niecierpliwie skinął głową. Rękopis zadygotał przed obliczem czyhających nań płomieni - były w nim stracone marzenia i bolesna skrucha młodego człowieka. Sugiyamie drżały ręce.

- Na co czekasz? - ponaglił go Maeda. - Przez tego dupka straciłeś czujność. A on przez cały czas pisał zakazane wiersze. Oszukał cię. Ale nie będę cię oceniał. Wiem, że te typy zawsze polują na dobrych strażników, takich jak ty.

Sugiyama wyrwał pierwszą kartkę. Płomień zapalniczki liznął brzeg zmiętego papieru, po czym pochłaniał staranne litery i połykał zakazane zdania. Słowo po słowie, linijkę po linijce, kartkę po kartce, Sugiyama porwał rękopis i wrzucił go do spalarni.

Autoportret, Noc wspomnień, Drogie wspomnienie.

Spojrzał na kartkę, którą trzymał w ręku. Tańczył na niej cień ognia.

DROGIE WSPOMNIENIE

*O wiosennym poranku na małej stacji w Seulu
Czekam na pociąg, tak jak czekałbym na miłość
i nadzieję.*

*Rzucam na peron cień zmęczenia
I palę papierosa.*

*Cień wypuszcza cień dymu,
A w powietrzu wzbija się bezwstydnie stado gołębi
Ze słońcem na skrzydłach.*

*Pociąg zawiózł mnie daleko
Bez żadnych wieści.*

*Gdy wiosna odeszła, w cichym pokoju w bursie
Na przedmieściach Tokio*

*Tęsknię za sobą na tych starych ulicach, jakbym tęsknił
Za nadzieją i miłością.*

Dzisiaj też pociąg przejeżdża kilka razy,

*Dzisiaj też będę na kogoś czekał,
Krążąc po przydworcowym wzgórzu.*

- Ach, młodości! Zostań jeszcze na chwilę.

Dong-ju napisał ten wiersz przed rokiem, jako samotny student w Tokio. Świat był wtedy zimny i szary, przesycony zapachem prochu. Sugiyama wrzucił papier do ognia. To, czego młody poeta szukał na stacji w Seulu, zginęło w płomieniach. Nikt się nigdy nie dowie, że wiersz ten w ogóle istniał. Sugiyama zacisnął powieki. Mordował czyjąś duszę i nie chciał tego widzieć. Nagle zapragnął, żeby czas płynął szybciej, żeby wszystkie kartki zniknęły bez śladu. Chciał wymieść popiół, zagrzebać go w ziemi i szorować ręce dopóty, dopóki nie zetrze z nich ostatnich drobin pyłu, zapachu ognia, który wnikał w ubranie, i wspomnień o martwych wierszach. Wiedział jednak, że nie zetrze wyrzutów sumienia, że pozostaną jak zapieczona sadza. Otworzył oczy i zająrzył do spalarni. To twoja wina, Dong-ju. Zrobiłeś

coś, czego nie powinienes był robić. Nie wybaczę ci, że przez ciebie musiałem popełnić tak straszliwy czyn.

- Świetnie! Sprawa załatwiona. - Na twarzy Maedy tańczyły płomienie. - Po dwóch tygodniach karceru temu durniowi odechce się pisania.

- Tak jest. - Sugiyama miał ściśnięte gardło i łzy w oczach.

*

Dwa tygodnie później poeta wykuśtykał z karceru. Sugiyamie ulżyło, że wyszedł o własnych siłach, choć na niepewnych nogach. Jednak nieodwracalnie zmieniono mu duszę. Dong-ju, choć osłabiony, stał się agresywny i snuł się ponuro po dziedzińcu. Z każdym wdawał się w bójkę, zadając niezdarne ciosy, które nikogo nie mogły powalić. Zakrwawiony, znowu powędrował do karceru.

Po tygodniu wyczołgał się stamtąd jak duch. Pusty wzrok miał utkwiony w horyzont, jak ktoś zagubiony w czasie. Niebieski latawiec, który codziennie unosił się z nadzieją nad murami, zniknął. Depresja poety wpędziła wszystkich w głębokie przygnębienie. Sugiyamie też brakowało tego dawnego młodzieńca o twarzy zawsze skorej do uśmiechu. Przypomniął mu się wiersz Dong-ju, który przeczytał, zanim papier zmienił się w smużkę dymu szybującą w niebo.

DROGA

*Zgubiłem to.
Nie wiedząc co i gdzie,
wychodzę na drogę
i macam się po kieszeniach.*

*Droga wije się wzdłuż kamiennego muru,
Bez końca spajając kamień z kamieniem i z kamieniem
kamień.*

*Stalowe wrota w murze są mocno zamknięte
I rzucają długi cień.*

*A droga wiedzie od poranka do wieczora
I od wieczora do poranka.*

Gdy uroniwszy łzę, patrzę na mur,

Widzę zawstydzająco błękitne niebo.

*Idę tą nagą drogą
Bo jestem po drugiej stronie muru,*

*Żyję
Tylko dlatego, że szukam tego, co zgubiłem.*

Było to rozpaczliwe wyznanie. Co takiego zgubił? Sugiyama zdawał sobie sprawę, że Dong-ju stracił wszystko, swój kraj, język i nazwisko. Czyżby od dawna wiedział, że trafi do więzienia i utknie za murem?

Noc w noc Sugiyama siedział za biurkiem, nie mógł spać. Chciał, żeby ten słabowity więzień znowu zaczął pisać. Chciał, by jego wiersze przetrwały te straszne czasy. Nawet gdyby tylko jeden człowiek miał przeżyć tę wojnę, pragnął, aby wiersze te przyniosły mu ulgę. Nie mógł myśleć o niczym innym. Spojrzał na biurko, na szorstki papier w rękach, zrogowaciałe dłonie, krzywe palce, połamane paznokcie. Na stare pióro. I nagle zapragnął sam coś napisać. Nie chciał być poetą, chciał tylko pisać. Przełać na papier to, co się w nim kłębiło. Dotąd rozumiał świat, patrząc nań, słysząc, dotykając, smakując i wachając. Widział zakrwawione ciała, słyszał ogłuszające eksplozje i przeraźliwe krzyki, dotykał przekopanej ziemi i pyłu, wachał proch i smakował krwi. I naraz jego oczy przestały widzieć, a uszy słyszeć. Zaczął rozszyfrowywać otaczający go świat, dostrzegając ludzi w więźniach dzięki odkrytkom, które cenzurował, i czytając wiadomości z frontu w codziennej gazecie. Patrzył nań przez filtr z listów. Odkrył w sobie szósty zmysł.

Przypomniały mu się słowa Dong-ju: „Najważniejsze jest pierwsze zdanie. Jeśli będzie dobre, możesz pisać do samego końca”. Podniósł pióro tak ostrożnie, jakby trzymał w ręku morskie stworzenie z niebezpiecznymi mackami. Zanurzył stalówkę w czarnym atramencie, ale nie mógł zacząć. Nie mógł nawet dotknąć stalówką papieru. Czysta kartka wydawała się ponura jak więzienny dziedziniec. Co on robił? Przecież nie umiał pisać. Był katem, który znał się tylko na torturowaniu ludzi. Cenzorem półanalfabetą, który palił dzieła innych. Pokręcił głową, lecz nie mógł odłożyć pióra.

Wiatr zagrzecgotał cienkim blaszanym dachem. Słowa w głowie Sugiyamy błyszczały jak kawałki rozbitej porcelany w ciemności.

Sięgnął po słownik i przemknął przez las nieznanymi rzeczownikami, przymiotnikami i czasownikami. Zebrał błyszczące słowa, starannie je połączył i sprawdził. Nie miał pojęcia, dokąd go to zaprowadzi.

Minęło dziesięć dni. A może piętnaście? Noc w noc patrzył w ciemność. Słyszał szum fal, niespokojne morze przewracające się z boku na bok. Nie mógł zasnąć. Zbliżał się świt. Na okręcie wojennym w odległej zatoce Hakata jęknęła posępnie syrena mgłowa. Sugiyama powoli złożył kartkę i schował ją do kieszeni na piersi.

Dong-ju siedział z ponurą miną na szczycie wzgórza, obejmując się ramionami za kolana. Jego dusza zaszyła się głęboko w skorupie ciała, z ciemnych oczu biła rozpacz i żal.

Sugiyama podszedł do niego z własnoręcznie zrobionym latawcem i szpulką.

- Yun Dong-ju! - zawołał. - Długo zamierzasz tak siedzieć? Dość tego! Wstawaj! Czy ci przyłożyć?

Wiedział, że to przez niego młody poeta jest w takim stanie, i próbował zdusić w sobie poczucie winy. Trącił go pałką, żeby sprawdzić, czy nic mu nie jest. Dong-ju miał poranione czoło, podpuchnięte oczy i paskudnie rozcięte usta.

Sugiyama spuścił wzrok. Zabrakło mu tchu. Zadrżały mu palce. Milczenie było najszczerzą rozmową, jaką mógł mu zaproponować, szczerzą nawet niż kwieciste przeprosiny.

- Wiedziałem, że wyjdiesz z karceru żywy - powiedział błagalnie. - Wyszedłeś i musisz znowu pisać. - Pragnął czytać jego słowa. Nie tylko on, wszyscy więźniowie, a nawet strażnicy, chcieli znowu usłyszeć, jak Dong-ju gwizdże, zobaczyć, jak puszcza latawiec i pisze listy.

- To okrutne - odparł w końcu Dong-ju głosem tak zimnym, jakby złożono go żywcem do grobu. - Jakim prawem pan tego żąda? Mam ryzykować życie?

- To prawda, nie mogę tego żądać. Możesz powiedzieć, że nie mam wstydu. To też prawda. Ale nie przestawaj pisać. Nie chcę, żebyś zniszczył sobie życie. - Sugiyama był zaskoczony rozpaczliwym brzmieniem swojego głosu.

- Dlaczego? - spytał szorstko Dong-ju. - Dlaczego nie miałbym zniszczyć sobie życia, skoro świat oszalał?

Sugiyama nie wiedział, co ma odpowiedzieć. I nagle wpadł w złość. Nie mógł zmusić go do pisania pałką, przymus w ogóle nie

wchodził w grę.

- Niech to szlag trafi! - zaklął. - Rób, co chcesz! - Wściekał się w duchu na okrutnego Boga, który dał Koreańczykowi talent do wytwornego języka, odbierając mu jednocześnie język ojczysty. Dar ten nie był błogosławieństwem, był przekleństwem.

Wiedział, że zamiast się rzucać, powinien coś z tym zrobić. Że musi uleczyć tę bezbronną duszę, którą doprowadził do zguby. Poszperał w kieszeni i wyjął zmiętą kartkę.

- Spójrz! Popatrz! To wiersz.

Słowa przyciągnęły wzrok Koreańczyka jak przynęta. Sugiyama nie był pewien, czy rzeczywiście napisał wiersz. Ale jeśli Dong-ju miał rację, jeśli prawda mogła być poezją, to może i napisał. Spłodził tylko kilka mało efektownych linijek, lecz każda była prawdziwa. Pisząc je, nie był strażnikiem ani cenzorem, tylko sobą.

- Sam w to nie wierzę - dodał niecierpliwie - ale wzięłem pióro i zacząłem pisać. Wiesz dlaczego? Bo chciałem pokazać, że ktoś taki jak ja potrafi być poetą. Więc jaką masz wymówkę?

Dong-ju uśmiechnął się zmęczony, jakby właśnie wrócił z dalekiej podróży. Pokręcił głową z żalem wypalonego poety, cierpieniem śpiewaka, który nie może już śpiewać.

Sugiyama zdał sobie sprawę, że ma nierówny oddech, i spróbował się uspokoić.

- Dlaczego nie chcesz pisać?

- Bo Koreańczykom wolno jest pisać tylko po japońsku - odparł ze znużeniem Dong-ju.

Sugiyama poczuł się tak, jakby rozplątano mu głowę. A więc język nie był tylko narzędziem do przekazywania znaczeń. Był mapą człowieka, na którą naniesiono historię narodu. Mapę Dong-ju ciśnięto właśnie na zakrwawioną podłogę pokoju przesłuchań. I to on, Sugiyama, ją tam cisnął.

- Nieważne, czy będziesz pisał po koreańsku, czy japońsku - przekonywał. - Bo to i tak będą twoje wiersze.

- Dlaczego miałbym zwracać sobie głowę pisaniem czegoś, czego nikt nie przeczyta?

Sugiyamie niedostrzegalnie drgnęły oczy.

- Ja je będę czytał. Więc pisz! - Chwycił Koreańczyka za kołnierz. - Jesteś poetą. Musisz pisać. Poezja jest jedynym dowodem tego, że żyjesz. Jeśli ona umrze, umrzesz i ty.

Dong-ju zacisnął zęby.

- Ja nie umrę. Wyjdę stąd trzydziestego listopada, na własnych nogach.

- Jeśli będziesz miał szczęście, może i przeżyjesz, ale nie licz na to - nie ustępował Sugiyama. - Więźniowie ciągle umierają. Jeżeli stąd nie wyjdiesz, wiersze na zawsze pozostaną zamknięte w twojej głowie.

Dong-ju beznamiętnie spojrział w górę. Wydawało się, że Sugiyama przestał go interesować. W jego oczach odbijał się błękit nieba.

Sugiyama podał mu latawiec i szpulkę.

- Dobrze. Jeśli nie chcesz pisać, puść przynajmniej latawiec. Lubieś to.

Oczy Koreańczyka zaskrzyły się radośnie, lecz po chwili znowu zagościło w nich zrezygnowanie.

- Wszyscy czekali, aż wyjdiesz z karceru i puścisz latawiec. - Sugiyama ruchem głowy wskazał dziedziniec, gdzie stali podekscytowani więźniowie.

Wcisnął mu do ręki szpulkę. Osadzeni patrzyli na niego wyczekująco. Dong-ju zamknął oczy, zmierzył siłę i kierunek wiatru. Sugiyama odszedł kilka kroków dalej. Wiatr wzmógł się i Koreańczyk ruszył biegiem przed siebie. Sugiyama ostrożnie wypuścił latawiec. Szpulka zawirowała, jakby tylko czekała na okazję. Latawiec wzbił się w niebo.

Tydzień później, na oczach wstrzymujących oddech więźniów, nad murami pojawił się znajomy niebieski latawiec. Zaczął krążyć, rwąc się do walki. Dong-ju szybko zwinął sznurek.

- Dlaczego go unikasz? - Sugiyama przeszył wzrokiem delikatnego Koreańczyka, który przypominał lata wiec zrobiony z cienkiego papieru i bambusa. - Walcz do końca!

Dong-ju myślał przez chwilę, w końcu popuścił sznurek. Latawiec poszybował w górę. Niebieski przeciwnik ruszył za nim, machając ogonem. Koreańczyk zacisnął palce na szpulce. Cienki sznurek wbił mu się w dłonie. Niebieski latawiec przechwycił wiatr, podleciał bliżej i latawiec Koreańczyka zatoczył się jak pijany. Widzowie jęknęli. Wiatr znowu się wzmógł. Latawiec Dong-ju zanurkował i kilka razy okrążył niebieskiego napastnika. Teraz, ze splątanymi sznurkami, obydwaj latawce powinny runąć na ziemię. Wtem napięty sznurek Koreańczyka zwiotczał - przeciął go sznurek niebieskiego. Latawiec Dong-ju szybował jeszcze przez chwilę, a potem zaczął powoli spadać ścigany przez podążającego za nim towarzysza.

Dong-ju bez słowa zwinął sznurek. Przez dziedziniec przetoczył się szmer głosów. Tu i ówdzie rozległy się oklaski i okrzyki.

- Im nigdy nie zależało na zwycięstwie. - Sugiyama uśmiechnął się lekko, ruchem głowy wskazując więźniów. - Chcieli tylko, żeby twój wylądował za murem. - Wciąż śledził wzrokiem spadające w oddali latawce.

Dong-ju wyobraził sobie, że patrzy z góry na ziemię, na bezkresny ocean, niekończącą się wstęgę morskiej piany omywającej brzeg z każdym uderzeniem fali, na skrzący się w słońcu port i dokerów, na puszczające latawce dzieci, drewnianą budkę strażnika przed wielką kopułą głównego oddziału, błyszczącą brązowawo w zachodzącym słońcu. Może teraz będzie mógł pisać.

Puszczal latawiec w każdy wtorek. Manipulując cienkim sznurkiem, wyobrażał sobie dziewczynkę po drugiej stronie muru, widział jej zaróżowione policzki, mocno zaciśnięte usta. Nie chciał z nią wygrać, chciał jedynie sprawdzić, jak długo wytrzyma. Wydawało się, że linka niebieskiego latawca splata się z jego sznurkiem nie po to, aby walczyć, lecz żeby wszcząć rozmowę. Gdy Dong-ju rozwijał sznurek, dziewczynka rozwijała swój, a gdy go zwiniał, ona szła w jego ślady. Kiedy jego latawiec się zataczał, niebieski ściągał go w dół, żeby dać mu więcej wiatru. Linki splatały się ze sobą i rozplatały, latawce pikowały, droczyły się i znowu wystrzeliwały w niebo. Zbliżały się do siebie i cofały, splątywały się i spadały. Jeśli spadał latawiec Dong-ju, latawiec dziewczynki śmigał w górę, w przeciwnym kierunku. Jeśli latawiec Koreańczyka robił się leniwy, rozleniwił się i ten drugi. Ich piękny taniec wyglądał jak wyszywanka na błękitnym niebie. Gdy poryw wiatru unosił latawiec Dong-ju hen, daleko, więźniowie czuli się lepiej, wyobrażając sobie, że wraz z nim lecą też ich marzenia. Ten dostojny walc latawców był jedyną malowniczą sceną w Fukuoce.

NOC LICZENIA GWIAZD

Sugiyama oparł się o zimny ceglany mur. Z wewnętrznej kieszeni wyjął kartkę i rozłożył ją. Promienie zimowego słońca padły na niezdarne pismo.

*W brązowym lustrze splamionym błękitną rdzą
Widzę swoją zhańbioną twarz
Relikt której dynastii?*

Każde słowo wryło mu się w serce. Słońce przesłonił chudy jak szkielet Dong-ju. Strażnik podniósł wzrok, starannie złożył kartkę i schował ją do kieszeni.

- Dlaczego tonosisz? - spytał Koreańczyk.

Sugiyama nie wiedział, co odpowiedzieć. Chociaż to on spalił wiersze, nie mógł zdradzić, że ten uleczył jego pokiereszowane serce. Ani wyznać, że czytając go, czuł się tak, jakby znalazł coś, czego rozpaczliwie szukał. Uważał, że jest jedyną osobą, która może uratować te wiersze. Łapczywie uczył się ich na pamięć, czytał je jak modlitwę, nabożnie recytował na głos, dotykając palcami kartek głęboko ukrytych w kieszeni.

- Ponieważ te wiersze pomogły mi, mogą pomóc wielu innym. Wiem, że dzięki nim wszyscy poczują się lepiej. - Nie zdołał powiedzieć nic więcej.

Dong-ju zamknął oczy. Słyszał wrony trzepoczące skrzydłami na wierzchołkach topól. Jego twarz była jak z cienkiego lodu, który ma zaraz pęknąć.

- Możliwe, że ten tomik gdzieś jeszcze jest.

Sugiyamie rozbłysły oczy. Jeśli zachowała się kopia rękopisu, zachowały się i wiersze. Chwyił Koreańczyka za ramiona i potrząsnął nim.

- Gdzie?

Dong-ju spojrział w puste niebo.

- Nie wiem. Oddałem go dawno temu.

Studiując w college'u Yonhi, Dong-ju namiętnie pisał wiersze, czytał książki i słuchał muzyki. Popołudniami pielgrzymował do antykwariatów i kawiarni muzycznych, a wróciwszy do akademika, przez całą noc czytał. Jego sfatygowana półka była szczelnie zastawiona książkami i czasopismami literackimi. Między ich kartkami suszył idealnie ukształtowane liście, które zbierał podczas spacerów, a potem zapisywał, gdzie je znalazł i kiedy. W tamtych czasach wszystko promieniowało nowymi możliwościami.

Jednak okrutne szpony wojny dopadły i jego. Cztery spędzone w Seulu lata były surowe i bezwzględne: młodych mężczyzn wysyłano na front, a rekwizycja dóbr na cele wojenne wpędzała ludzi w ubóstwo. Dong-ju musiał wyprowadzić się z akademika i zamieszkać w bursie prowadzonej przez pisarza Kima Songa, którego nazwisko figurowało na czarnej liście Specjalnej Wyższej Policji. Bursy Kima były celem kontroli i tajniacy przez całą dobę śledzili każdy ruch studentów. Jak w zegarku, wpadali tam co wieczór, żeby spisywać tytuły książek i konfiskować listy z szuflad. Dong-ju znowu spakował swoje rzeczy, ale nie miał dokąd pójść. Dokądkolwiek się udał, wszędzie dotykały go brutalne restrykcje, wszędzie obserwowały go czujne oczy. Kilku jego przyjaciół otrzymało powołanie do wojska i ich wygolone na mnicha głowy owinięto czerwonymi szarfami. Innych wleczono na posterunek, bito prawie na śmierć i wsadzano do więzienia. Koreańczycy nie mieli żadnej przyszłości. Noc w noc Dong-ju zasiadał przy malutkim biurku i rzucał się w mrok. Niedokończone wiersze piętrzyły się obok porzuconych zmiętych kartek, zapisanych urywkami słów i pomazanych gumką.

Tuż przed ukończeniem studiów sporządził trzy kopie rękopisu zawierającego dziewiętnaście wierszy. O przechowanie jednej poprosił swojego przyjaciela Jeonga Byeong-uka, drugą zatrzymał dla siebie, a trzecią zaniósł profesorowi Lee Yang-ha. Powiedział, że zamierza wydać tomik w kilkudziesięciu egzemplarzach i poprosił go o napisanie wstępu. Profesor pokręcił głową; wiedział, że opublikowanie tomiku wierszy zostanie uznane za działalność wywrotową, że na widok tytułów takich jak *Krzyż*, *Smutny chłopiec* czy *Inny dom* detektywi ze Specjalnej Wyższej Policji pokażą zęby. Dlatego zaproponował, aby poczekać do lepszych czasów.

- Ale kiedy to będzie? - spytał Dong-ju.

Profesor nie umiał na to odpowiedzieć.

Dong-ju zastanawiał się, czy takie dni w ogóle nadejdą i czy dziewiętnaście wierszy doczeka chwili, gdy zmieni się świat.

*

- Więc mówisz, że w Korei są jeszcze dwie kopie rękopisu? - spytał Sugiyama.

- Minęły trzy lata. Nie wiem, czy komuś udało się ocalić wiersze, których sam nie zdołałem uratować. - Bardziej niż o ich los Dong-ju bał się o Jeonga Byeong-uka, którego też powołano do wojska. Nie chciał również narażać na niebezpieczeństwo swojego profesora, który przechowywał tę wywrotową literaturę.

Mimo to pragnął wierzyć, że udało im się ustrzec wiersze przed zawięciem.

Zmienił temat.

- Dziś w nocy będą gwiazdy, prawda? - powiedział to tak, jakby zaschło mu w gardle.

Sugiyama kiwnął głową. Co noc na wschodniej części nieba ukazywała się Wenus, a Wielki Wóz okrążał Gwiazdę Polarną niczym olbrzymie koło wodne. Droga Mleczna i mrugające gwiazdy śmiały się, szeptały i biły się ze sobą jak dzieci. Na niebie Koreańczyka ich nie było. Noc w noc Dong-ju leżał w celi, rysując na suficie wyimaginowane konstelacje i zastanawiając się, czy światło zniknęło ze świata i czy gwiazdy nie migoczą już na niebie. Sugiyama mu współczuł.

Tego dnia o dziesiątej wieczorem stanął przed wejściem do Oddziału Trzeciego. Zaskrzypiały stalowe drzwi. Sugiyama ruszył przed siebie i zatrzymał się dopiero przed drzwiami celi 28 na końcu korytarza.

- 645! Na przesłuchanie w sprawie antypaństwowej literatury!

Osadzeni przewrócili się na pryzkach z boku na bok i ponownie zasnęli. Ci, których wywoływano w środku nocy, rzadko kiedy wracali cało. Pełniący służbę strażnik trzasnął zasuwą, otworzył drzwi i skrzypotał Koreańczykowi ramiona. Sugiyama wpisał się do rejestru i pchnął więźnia pałką, która ześlizgnęła się po jego wystających żebrach. Długi, kręty korytarz tonął w ciemności. Minęli pokój przesłuchań i poszli dalej. Kajdany brzęczały i krzyczały. Dong-ju ogarnął strach. Dokąd go prowadzono?

Przystanął na jaskrawo oświetlonym dziedzińcu, który wyglądał tak, jakby posypano go solą. Dobiegł ich szcęk przeładowywanego karabinu maszynowego. Wypatrzył ich zimny reflektor.

- Strażnik Sugiyama Dozan i więzień 645! - krzyknął Sugiyama.
- Przesłuchanie na miejscu zdarzenia.

Strażnik sprawdził rejestr i znalazł podpisane przez Maedę zezwolenie. Światło reflektora znowu zaczęło krążyć po dziedzińcu i lizać mury. Doszedł ich szum wiatru w gałęziach topól, które rosły na wzgórzu, miękki niczym zaczyn chlebowy. Usiedli obok siebie, opierając się o pień. Zimny wiatr omył blade policzki i skronie Dong-ju. Sugiyama poluźnił więzy i zdjął mu kajdanki. Nocne powietrze miało słodki zapach. Dong-ju wciągnął je głęboko i zaczął mruzczyć słowa, których strażnik nie rozumiał: recytował wiersz w swoim ojczystym języku, tym, w którym krzyczał wesoło, bawiąc się w górach i na łąkach w rodzinnych stronach. Z jego ust popłynęła lawina przez lata tłumionych dźwięków.

Spadła gwiazda. Dong-ju miał zbyt wiele życzeń, aby wybrać tylko jedno. Ale nie Sugiyama. On poprosił, żeby poeta bezpiecznie przetrwał te okrutne czasy. Patrzył na krążące po koncentrycznych orbitach gwiazdy, zastanawiając się, czy wytwarzają przy tym hałas, czy też może tylko cicho szeleszczą. Chciałby je usłyszeć. Powiał wiatr. Policzek Sugiyamy był zimny i mokry.

Wróciwszy do pokoju przesłuchań, rozłożył formularz raportu. Dong-ju zaczął mówić, tłumacząc na japoński *Noc liczenia gwiazd*. Powstawał wiersz delikatny jak płomień świecy na wietrze. Sugiyama pomyślał: jak mógłbym nie mieć wyrzutów sumienia, gdybym nie przechował do końca wojny wierszy takich jak ten? Tylko on mógł ustrzec spuściznę młodego poety, nie było nikogo innego. Zanurzył pióro w atramencie i zaczął zapisywać słowa, które spływały na ciemny papier jak gwiazdy.

NOC LICZENIA GWIAZD

*Niebo mijającej pory roku
Wypełnia jesień.*

*Niczym się nie trapiąc,
Myślę, że mógłbym policzyć wszystkie jesienne gwiazdy.*

*Tych, które jedna po drugiej wryły mi się w serce,
nie zliczę,
ponieważ nadchodzi poranek,
ponieważ jutro znów zapadnie noc,
ponieważ wciąż jestem młody.*

Jedna to wspomnienia;

*Jedna to miłość;
Jedna to samotność;
Jedna to tęsknota;
Jedna to poezja;
Jedna to moja matka, matka.*

Matko, każdej nadaję piękne imię. Imiona dzieci, z którymi siedziałem w ławce w szkole elementarnej, obco brzmiące imiona dziewcząt, Pei, Jing, Yu, imiona innych, które są już matkami, nazwiska zubożałych sąsiadów, imię gołębia, szczeniaczka, królika, osiołka, jelonka, nazwiska poetów takich jak Francis Jammes i Rainer Maria Rilke.

*Są tak daleko.
Jak gwiazdy za dalą,*

*A ty, Matko -
Ty jesteś w dalekiej Mandżurii.*

*Tęskniąc za czymś
Na szczycie wzgórza pod spadającym światłem gwiazd,
Ryję moje imię
I zasypuję je ziemią.*

*Owad, który przez całą noc krzyczy,
Robi to, ponieważ smuci go wstydlive imię.*

*Lecz gdy minie zima i wiosna wzejdzie nad moją gwiazdą,
Na wzgórzu, gdzie pogrzebałem imię,
Wyrośnie trawa gęsta i dumna
Zielona trawa, soczysta jak na grobie.*

Sugiyama starannie złożył formularz i schował go do wewnętrznej kieszeni kurtki.

CZĘŚĆ DRUGA

JAK ROZPACZ STAJE SIĘ PIEŚNIĄ

Naczelnik Hasegawa i dyrektor Morioka z zamkniętymi oczami delektowali się muzyką. Gdy Midori skończyła grać, Hasegawa zaklaśkał w dłonie.

- Cudowne wykonanie, panno Midori! Z góry dziękuję za wysiłek związany z przygotowaniem koncertu. Czeka nań niecierpliwie całe miasto. - Roześmiał się głośno, demonstrując srebrne siekacze.

Dzięki temu wartemu reklamy koncertowi - pomyślał - minister spraw wewnętrznych i wysocy urzędnicy państwowi będą mi przychylni. Zbiegną się reporterzy z najważniejszych gazet, kto wie, może zostanę osobistością znaną w całym kraju. Zamierzał zaprosić również ambasadorów krajów sprzymierzonych, Niemiec i Włoch, oraz zagranicznych dziennikarzy - jego nazwisko stanie się znane poza granicami Japonii. Nie mógł odpędzić tych słodkich myśli ani zgasić radosnego uśmiechu.

- Mam prośbę - odezwała się Midori, wykorzystując moment.

Hasegawa ochoczo kiwnął głową.

- Chciałabym, żeby na zakończenie koncertu wystąpił chór.

Rozbawiony naczelnik podkręcił wąsa.

- Chór? A kto będzie w nim śpiewał? I kto poprowadzi próby?

- W więzieniu jest wielu ludzi umiejących śpiewać.

- Mówi pani o osadzonych? - Hasegawa aż się skrzywił.

- Właśnie dlatego koncert będzie jeszcze bardziej godny uwagi.

Swoją piękną pieśnią więźniowie udowodnią, że cesarski system penitencjarny skutecznie ich zresocjalizował.

- Ale to ma być recital powszechnie szanowanego profesora Maruia Yasujiry. Zepsuje pani występ najlepszego śpiewaka w Japonii!

Midori zawahała się, wyjęła z kieszeni nieskazitelnie czystą kopertę i podała ją sceptycznie nastawionemu naczelnikowi.

- To list od niego. Przyszedł wczoraj. Profesor już się zgodził.

Hasegawa zmarszczył czoło. Cóż, chór więźniów nie mógł chyba

zaszkodzić, prawda? Spojrzał chłodno na pielęgniarkę.

- Ale który z nich zechce śpiewać? Zresztą nawet gdyby znaleźli się ochotnicy, nie wiadomo, co mogliby zrobić, gdybyśmy spuścili ich z oka.

- Ja się tym zajmę, panie naczelniku - wtrącił szybko Sugiyama. - Będę przyprowadzał ich na próby i pilnował. - Zrobiłby wszystko, żeby bez względu na ukryte intencje innych zapewnić publiczność fortepianowi, który własnoręcznie nastroił.

- W repertuarze znajdzie się *Va, pensiero* z drugiej sceny trzeciego aktu *Nabucca* Verdiego.

- Verdi... Verdi? - Hasegawa nie wiedział chyba, kto to jest.

- Dla naszych sprzymierzeńców z Włoch Verdi jest tym, kim Wagner dla Niemiec - wyjaśniła Midori. - Opera *Nabucco* odniosła olbrzymi sukces w La Scali. Stanowi symbol nadziei Włochów cierpiących z powodu podziałów i wojny. Przypomina im o miłości do ojczyzny. Dlatego *Va, pensiero* to jakby ich drugi hymn narodowy: śpiewano ją na pogrzebie Verdiego. Majestatyczna i potężna, dobrze posłuży naszym celom, nawet jeśli w chórze wystąpią sami mężczyźni.

To Hasegawę zadowoliło. Aby zachęcić osadzonych, postanowił zwolnić ochotników z pracy i przyznać im dodatkowy posiłek. Morioka natomiast zwolnił Midori z popołudniowych zajęć, żeby mogła ich przesłuchać i poprowadzić próby.

Przesłuchania trwały tydzień. Każdego więźnia doprowadzano do sali, gdzie Midori kazała mu wokalizować. Starannie zapisywała wszystkie uwagi na temat tonu i siły jego głosu oraz ewentualnego przydziału do tego czy innego rejestru. W końcu wybrała siedemdziesięciu kilku osadzonych. Potem przeprowadziła drugie przesłuchanie, jeszcze dokładniejsze i bardziej złożone, żeby sprawdzić, czy więźniowie potrafią czysto zaśpiewać konkretne nuty. Na wyższych wielu łamał się głos, inni w ogóle nie mieli poczucia rytmu. Trzy dni później zostało ich trzydziestu i każdą dziesiątkę przydzieliła do barytonów, basów lub tenorów. Śpiewakami wiodącymi mieli być ci z najlepszą emisją i tonem głosu. Koreańczyk, który przed skazaniem za przekonania uczęszczał do szkoły muzycznej w Ueno, został koncertmistrzem. Hasegawa pozwolił im zmienić cele, tak aby znaleźli się w tej samej grupie wokalnej. W poniedziałki Sugiyama zakładał im kajdanki na ręce i nogi, prowadził do sali i zostawał na próbie, żeby mieć ich na oku. Przy okazji uważnie słuchał fortepianu na wypadek, gdyby trzeba go było podstroić.

Podczas pierwszej próby w sali panował chaos: więźniowie nie

umieli czytać nut, nie znali ani jednej gamy. Opera Verdiego nie nadawała się dla ludzi, którzy nie wiedzieli nawet, co to są nuty. Przychodzili tam tylko dla dodatkowych korzyści. Midori poprosiła naczelnika, żeby zdjęto im kajdany. Ze skrępowanymi rękami, twierdziła, muszą się pochylać, a to ściska płuca, przez co utrudnia oddech i śpiewanie.

- A co pani zrobi, jeśli wybuchnie bunt? - spytał drwiąco Hasegawa.

Midori uderzyła w klawiaturę obiema rękami. Majestatyczny ryk fortepianu natychmiast uciszył rozmawiających półgłosem więźniów.

- Dobrze! - zdecydował naczelnik. - Ale te na nogach zostaną.

Gdy zdjęto im kajdanki, zagubieni, długo stali, rozglądając się wokół. Midori rozdała nuty głosom wiodącym. Potem zagrała *Va, pensiero*, zapoznając ich z każdą częścią pieśni, i ćwiczyła ją w nieskończoność.

Przez wiele tygodni sala była kakofonicznym tygłem. Głosy ła- mały się, plątały i rwały. Emisja była straszna. Więźniowie nie potrafili zaśpiewać najprostszej rymowanki, nie wspominając już o wspaniałej operze Verdiego. Midori niezmordowanie grała, poprawiając ich i ucząc głębokiego oddychania. Nawalnica bezładnego hałasu powoli zmieniała się w dźwięki, a dźwięki w muzykę. Oskarżeni usłyszeli wreszcie swój własny, dawno stracony głos. Przestali śpiewać tylko po to, żeby lepiej ich traktowano; teraz zaczęli odzyskiwać samych siebie. Ich głos przypomniiał im, kim są. Po próbie ustawiali się rzędem, wciąż podzieleni na tenory, barytony i basy. Sugiyama liczył ich, skuwał i krzyczał:

- Do cel naprzód marsz!

Wijącą się korytarzem kolumną osadzeni wracali na oddział i tam śpiewali już z własnej woli. Ćwiczyli, zgrywając się z tymi z sąsiednich cel. Nie rozdzielały ich nawet grube ściany. Każda partia głosowa nabierała połysku.

Na próbach Midori starannie regulowała ciemność i jasność, siłę i delikatność, zimno i ciepło. Więźniowie śpiewali smutniej niż zachmurzone niebo, czystiej niż wiatr i jaśniej niż gwiazdy. Niczym pogrążeni w medytacji mnisi skupiali się na wydobywaniu najczystszych dźwięków. Sugiyama patrzył na nich i robiło mu się cieplej na sercu. Wzruszony pięknem, uświadomił sobie, że wciąż jest człowiekiem.

INSPEKCJA SANITARNA

Każda pora roku przynosiła głębokie rozczarowanie: rozwijające się wiosną liście wpędzały więźniów w depresję, letnia wilgoć oraz zabójcza temperatura zsyłały na nich chmary komarów i zalewały ich potem, opadające jesienne liście i zimny wiatr przypominały im o nadchodzących mrozach, a zima pokazywała co chwilę gotowe do ataku ostre kły.

Pewnego dnia pod koniec lata 1944 roku Hasegawa i Maeda zaprowadzili na Oddział Trzeci dyrektora Moriokę i zespół jego lekarzy. Korytarzami przeszła defilada białych kitli; nigdy dotąd nie widziano tam tylu medyków.

- Otworzyć drzwi! - krzyknął naczelnik.

Strażnicy rozbiegli się, dudniąc buciorami. Zabrzęczały klucze, trzasnęły zamki. Drzwi się otworzyły i buchnął zza nich kwaśny odór potu. Strażnicy ustawili się w równych odstępach po obu stronach korytarza. Morioka dał znak i lekarze, wszyscy w maskach i rękawiczkach, weszli do cel. Za nimi podążyli strażnicy.

- Specjalna inspekcja sanitarna! - krzyczeli. - Rozbierać się!

Osadzeni popatrzyli po sobie nieufnie i zaczęli się rozbierać. Ociągających się ponagliano pałkami. Gdy więźniowie ustawili się pod ścianami naprzeciwko siebie, lekarze zmierzli ich i zważyli, po czym zajrzeli im do oczu i ust. Potem zebrali się na korytarzu i przekazali protokoły inspekcyjne Moriocie, który wyszedł, pozostawiając za sobą ostry antyseptyczny zapach.

Podkręcając wąsa, Hasegawa patrzył, jak lekarze znikają w głębi korytarza.

- Koniec inspekcji! Zamknąć drzwi!

Sugiyama był zdenerwowany. Wiedział, że jest to tylko wstęp do czegoś innego, bo każde wydarzenie pociągało za sobą następne. Nie potrafił jednak przewidzieć, jakie pociągnięcie tym razem, czy będzie to niewiarygodny łut szczęścia, czy straszliwa katastrofa.

Nazajutrz na rozkaz Hasegawy wszyscy więźniowie z Oddziału Trzeciego ustawili się na wojskowym placu ćwiczeń. Zwarty szyk

ograniczał swobodę ruchów, nikt nie mógł ani wyjść przed szereg, ani się cofnąć. Wykonując rozkazy, osadzeni zmuszali innych do pójścia w ich ślady. Naczelnik patrzył na nich bez słowa z podestu i wydawało się, że cieszy go ich narastający niepokój. Czas był po stronie silnych: im większe opóźnienie, tym słabsi bardziej się denerwowali. Osadzeni obserwowali jego usta. Minęło dużo czasu, zanim Hasegawa przemówił do mikrofonu.

- Powiniście być wdzięczni lekarzom z wydziału medycyny Cesarskiego Uniwersytetu Kiusiu!

Przez plac przetoczył się szmer głosów. Naczelnik odczekał chwilę, podsycając ich ciekawość.

- Dzięki wspaniałomyślności Wielkiego Cesarza Japonii zbadali was najlepsi specjaliści w kraju. Okazuje się, że duża liczba osadzonych jest wątłego zdrowia. Zostaną oni objęci darmową opieką medyczną. - Hasegawa od siedł od trzeszczącego mikrofonu.

Obok podestu była tablica informacyjna i jeden ze strażników przypiął do niej kartkę z numerami. Więźniowie stłoczyli się wokół niej, ci niepiśmienni z wyraźnym niepokojem. Gdy Maeda otworzył spis i zaczął wyczytywać numery, na placu rozległy się radosne okrzyki.

Otoczyło go kilkunastu mężczyzn, których nie wybrano.

Podszedł do nich blade więźni. Po zażółconych białkach oczu widać było, że choruje na żółtaczkę.

- Od długiego czasu mam anemię - wymamrotał ponuro. - Dlaczego pomagacie zdrowym, zamiast mnie?

- Nie zakwalifikowano cię, bo masz ranę na czole - odparł Maeda. - Ale może wybierzemy cię następnym razem. Inspekcje będą regularne. - To powiedziawszy, roześmiał się arogancko.

Więźniowie śmiali się i wiwatowali. Smutni byli jedynie ci, których nie wybrano - oni i stojący w rogu strażnik, który nerwowo ich obserwował.

BYĆ ALBO NIE BYĆ

Gdy wchodziłem do cenzorni, zawsze wypatrywałem śladów życia Sugiyamy. Biurko, półki, książki i pudła z dokumentami nie rzucały na jego losy zbyt dużo światła, a nie licząc regałów, jedynym meblem w pokoju była wciśnięta w wąską przestrzeń między półkami i ścianą stara drewniana szafa z zepsutym zamkiem, w której strażnik przechowywał ubranie i rzeczy osobiste. Otworzyłem ją. W środku wisiały starannie wyprasowane mundury, brązowy mundur zimowy i dwa szare, letnie. W szufladzie na dole leżała używana bielizna, skarpety, owijacze i pedantycznie złożone chustki do nosa. Na dnie stała duża skrzynka, pewnie z ubraniami do prania. Zaraz po zabójstwie, robiąc spis rzeczy Sugiyamy, zauważyłem, że wszystkie są ułożone w idealnym porządku, co dowodziło jego obsesyjnej osobowości. Zamknąłem szafę. Ale coś kazało mi znowu ją otworzyć. Podniosłem wieko skrzynki i poczułem kwaśny zapach potu i pleśni. Pranie, tak jak myślałem. Mój wzrok padł na spodnie od zimowego munduru z zabrudzonymi ziemią, wypchanymi kolanami. To mnie zastanowiło. Przecież suchy kurz z więziennego dziedzińca łatwo było strzepnąć. Obejrzałem wiszące w szafce spodnie i w połowie nogawek dostrzegłem słabo widoczne ślady ciągnięcia po mokrej ziemi. Wtedy przypomniały mi się zadrapania na kolanach Sugiyamy. O co tu mogło chodzić?

Otworzyły się ciężkie drzwi i do pokoju przeszuchań wszedł Choi. Błyszczącymi zapadniętymi oczami zerknął na moje ramiona, na nowiutkie sztywne naszywki.

- Winszuję. Widzę, że dostaliśmy awans.

Ogarnął mnie wstyd. Awansowałem na kaprala, robiąc z niego mordercę.

- Cóż - dodał, widząc, że czuję się nieswojo - ludzie, którzy mają umrzeć, powinni umrzeć, a ci, którzy mają przeżyć, powinni żyć dobrze. Dostać awans, wyjechać na urlop. - Zmęczony i niespokojny

usiadł na krześle.

Zrobiło mi się ciepło. Rozpiąłem guzik kurtki.

- Mam jeszcze kilka pytań o Hiranumę Tochu.

- Znowu o niego? - warknął. - On jest inny, to indywidualista.

Nie chcę mieć z nim nic wspólnego. - Szybko zamrugał.

- Masz rację. Hiranuma bardzo się od ciebie różni. Wiem, dlaczego ty i twoi kumple daliście się zamykać w karcerze. Ale dlaczego on?

Choi potarł brodę.

- Skąd mam wiedzieć? Dlaczego nie spyta pan jego?

Musiałem podstawić mu nogę.

- Kłamiesz. Albo nie mówisz całej prawdy. Twoi kumple zbili go, kiedy wyszedł z karceru.

- Skąd pan wie?

- Sugiyama odnotował to w księdze raportów codziennych.

Uważnie go obserwował. Dlatego lepiej nie kłam.

- Nie uważa pan, że ludzie kłamią, bo się czegoś boją albo nie chcą stracić nadziei? Ale ponieważ mnie to nie dotyczy, mogę panu powiedzieć. - Choi wziął głęboki oddech. - Próbowaliśmy wciągnąć Hiranumę do naszego spisku. Tak, nie lubiliśmy go, ale inni Koreańscy go podziwiali.

Dong-ju był łagodny, emanował bezbronnością i Choi miał na niego oko od samego początku. Mierziło go, że ten chłystek zmienił nazwisko, ponieważ Choi uważał, że jest to równoznaczne z wyparciem się ojczyzny. Jego ludzie zbierali informacje o Dong-ju. Man-gyo wyciągnął od strażników kilka faktów z jego przeszłości: Mandżuria, student prestiżowego college'u Yonhi w Seulu, potem Japonia. Intelktualista, jeden z tych, którymi Choi pogardzał.

Gdy Dong-ju przybył do więzienia, coś się zmieniło. Koreańscy więźniowie zaczęli się do niego garnąć. Choi tego nie rozumiał. Przecież Yun nie miał ani głowy do interesów, czym mógłby przekonać ich do siebie, ani krzepy, żeby dać im w kość. Mimo to przyciągał ludzi z urzekającą wprost siłą, chociaż słuchał tylko ich opowieści, pisał listy i puszczał latawiec. Nie miał nic oprócz dobrego pióra. Jednak tym zjednoczył wszystkich Koreańczyków. Choi nie do końca rozumiał, jak język może poruszyć ludzkie serce, ale chciał okiełznać wpływy Yuna i wykorzystać je do własnych celów.

Było oczywiste, że krańcowo się różnią. Choi uważał, że Yun jest

sentymentalny, a Yun miał go pewnie za prostaka. Ale ten niezaprzeczalny magnetyzm bardzo Choia intrygował. Dlatego wysłał do niego swoich kompanów, żeby zorganizowali spotkanie, lecz Dong-ju odmówił. Choi wziął w końcu sprawę w swoje ręce i zagadnął go osobiście.

- Trudno cię dopaść! Musimy pogadać. Powinno cię to zainteresować.

Dong-ju bez słowa spojrział w puste niebo. Gdy więźniowie usłyszeli tę głośną jak grzmot ciszę, zaczęli odwracać głowy, żeby na nich zerknąć.

Choi roześmiał się serdecznie i odszedł, nie chcąc tracić resztek autorytetu, w dodatku na oczach kolegów.

Po tym spotkaniu zagadywał go niemal codziennie. Było aż nadto oczywiste, że chce przeciągnąć na swoją stronę tego niedoświadczonego młodzika. Wreszcie zdradził mu swoje prawdziwe zamiary.

- Nie chcesz się stąd wyrwać? - spytał. - Jeśli chcesz wyjść żywy, lepiej mnie wysłuchaj.

- Nie, dzięki - odparł spokojnie Dong-ju. - Wyjdę stąd główną bramą w dniu mojego zwolnienia, trzydziestego listopada przyszłego roku. Ani wcześniej, ani później.

Idiota. - Choi miał ochotę go zadźgać. Machnął mu przed oczami zaostrzonym trzonkiem łyżki, aby zrozumiał, że tylko za pomocą narzędzi takich jak to można uciec z więzienia. Chciał zawlec go do karceru i pokazać mu tunel, drogę do wolności. Ale musiał zachować ostrożność.

- W takim razie - rzucił z uśmiechem - nie wiesz chyba, gdzie trafiłeś. To straszne miejsce i taki słabeusz jak ty nie doczeka tu przyszłego roku.

- Twoja ochrona mi niepotrzebna. Ochroni mnie Bóg.

Wszystko się zmieniło, kiedy Dong-ju wylądował w karcerze. Choi patrzył niespokojnie, jak wchodzi tam przygarbiony. Bał się, że ten wrażliwy chłopak odkryje jego tajemnicę. Siedział jak na szpilkach przez dwa tygodnie, dopóki Yun nie wyszedł.

- Cieszę się, że żyjesz - rzucił z nonszalanckim uśmiechem.

Dong-ju zmrużył oczy na ostrym słońcu. Po czternastu dniach w ciemnicy był jeszcze bledszy.

- Było ciężko, ale nie na tyle, by umrzeć. Cierpienie nie zabija, zabija rozpacz. Ci, którzy nie stracili nadziei, przeżyją, ci, którzy ją

stracili, umrą.

- O czym ty gadasz? O swoich wierszach? Poezja to nie nadzieja. Nie wygra z rzeczywistością. Pomoże ci tylko zapomnieć. Świat nie zniknie, jeśli popadniesz w sentymentalizm. Mury, kraty, drut kolczasty; ucieczka to jedyny sposób.

- Mrzonki. Dla okupowanych nie ma wolności.

W sercu sfrustrowanego Choia rozgorzał płomień. Miał ochotę zdradzić mu cały plan - Dong-ju nie podchodziłby do tego tak lekko, gdyby go znał. Stłumił jednak tę chęć głębokim westchnieniem.

- Nie mów tak. Nic nie wiesz. Mamy tu swoje zasady i tajemnice.

- I możecie przez nie zginąć.

Choi nachylił się ku niemu i szepnął:

- Co wiesz? Co widziałeś?

Głupie pytania. Ich tajemnica pękała już w szwach. Choi przełknął ślinę.

- Masz dobre oczy, bracie. W porządku. Nie musisz nic mówić.

- Skąd wiesz, że coś widziałem? - zapytał Dong-ju.

Bystry wzrok Choia spoczął na jego brudnych kolanach.

- Podłoga w celi jest z cementu. Więc gdzie utylałeś sobie kolaną? - Zerknął na czekających w oddali kumpli.

Tamci wymienili ukradkowe spojrzenia. Jeden z nich podciągnął spodnie, wyjmując z kieszeni zaostriżony pręt. Drugi ruszył w stronę pozostałych więźniów. Byli doskonale zgrani: ten idący w stronę więźniów miał zacząć krzyczeć, żeby odwrócić uwagę strażników, a ten z prętem dźgnąć Yuna i zniknąć w tłumie.

- W latrynie znalazłem trochę ziemi - odparł Dong-ju. - Wybrałem ją i znalazłem tunel.

- W takim razie na pewno wiesz, że najwyższa pora podjąć decyzję. Albo do nas przystaniesz, albo...

Dong-ju gorączkowo myślał. Zrobić coś czy nie robić nic? Pochopna decyzja mogła być niebezpieczna nie tylko dla niego, ale i dla innych. Mężczyzna z prętem szybko się zbliżał.

- Przez ostatnie sześć lat wymyśliłem kilkanaście sposobów - ciągnął Choi. - Zanim zacząłem kopać, zmierzyłem krokami długość dziedzińca i wytyczyłem kierunek. Pomagają mi zaufani ludzie.

- I co zrobisz, kiedy już wyjdiesz z tunelu?

- Ucieknę. Jak najdalej od tej brudnej wojny i tego kraju.

- Jak długo będziesz uciekać? Złapią cię w niecałe dwadzieścia cztery godziny i zastrzelą. Nie masz dokąd pójść, zabiją cię jak psa. Tego właśnie chcą.

- Aha, więc twierdzisz, że Japończycy chcą, żebyśmy uciekli.

- Oczywiście. Żeby ukarać cię dla przykładu. Pokazać wszystkim, co ich czeka, jeśli ktoś spróbuje uciec.

- Jeśli do nas nie przystaniesz, to ciebie zabiją jak psa.

Więzień ze stalowym prętem był tuż, tuż, widać było jego napięte mięśnie. Jak owad w pajęczej sieci, Dong-ju wdepnął w coś, z czym nie chciał mieć nic wspólnego. Nie miał pojęcia, z czym ta sieć się łączy. Wszyscy byli jakoś powiązani, lecz nikt nie wiedział czym i jak. A jeśli nawet wiedział, to nie mógł temu zaradzić.

- Dobrze! - wypalił Dong-ju. - Jestem z wami.

Choi zerknął na mężczyznę z prętem. Ten odwrócił się i odszedł. Plecy Yuna sływały potem.

- A więc Hiranuma do was przystał? - Pochyliłem się do przodu tak mocno, że omal nie dotknąłem czołem jego czoła.

Pokręcił głową.

- Nie wiem, czy wykopał swoje, czy nie. Liczyło się tylko to, że z nami był. Inteligentny i pomysłowy, umiał zjednać sobie Koreańczyków. Już samo to stanowiło olbrzymi plus.

- Ale wam nie pomógł. Przyłączył się, żebyście go nie zabili. Nie uciekłby, nawet gdybyście skończyli kopać tunel.

- Co to za różnica? Przystał do nas i moja tajemnica była bezpieczna. Wiedział, że gdyby po naszej ucieczce został w więzieniu, długo by nie żył.

To nie miało sensu. Skoro Choi twierdził, że Hiranuma nie był dla nich ważny, to dlaczego tak bardzo starał się go zwerbować? Przejrzałem protokół z jego zeznania.

- Przedtem o nim nie wspomniałeś. Dlaczego?

Pociemniała mu twarz. Poglaskał brodę.

- Bo nie jest dla nas ważny.

Czyżby Choi próbował go chronić? Dlaczego? Co ukrywał?

Spojrzał na protokół.

- Da mi pan kawałek papieru?

- Po co? - spytałem podejrzliwie.

- Nie wiem, kiedy umrę - wymamrotał. - Chciałbym spisać testament.

Wyrwałem z książki ostatnią czystą kartkę. Choi złożył ją starannie i schował do kieszeni.

- Dzięki. Jestem pana dłużnikiem.

Machnąłem ręką. Co innego mógł robić w malutkiej, samotnej celi

więzień skazany na śmierć?

PRYWATNE ŻYCIE MOLA KSIĄŻKOWEGO

Wróciwszy do biura kontroli, przejrzałem rejestr spalonych materiałów. Do osiemnastego września nie zauważyłem nic podejrzanego. Ale osiemnastego września spalono osiemnaście książek, chociaż zwykle palono dziesięć. Były to w większości książki odebrane nowym więźniom albo przeznaczone do zniszczenia zapiski, lecz wypatrzyłem wśród nich pozycję bez numeru identyfikacyjnego: *Narodziny Imperium* wydaną przez Biuro Obywatelskie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Z rejestrem w ręku poszedłem do malutkiej biblioteki mieszczącej się obok biura. Z pobielonych ścian odchodziły płyty wapna i w tynku zagnieździła się pleśń. Stały tam tylko dwa biurka, cztery krzesła i rozchwieirutane półki wypełnione publikacjami dla strażników, rozpowszechnianymi przez Biuro Bezpieczeństwa Publicznego, takimi jak *Regulamin administracji więziennej* czy *Jak robić obchód*, oraz poradnikami dla żołnierzy wydanymi przez Ministerstwo Wojny. Było tam również kilka powieści wojennych: *Droga Imperium*, *Wojownik Kwitnącej Wiśni*, *Kwiaty Kwitnącej Wiśni na błękitnym niebie*. Cenzor musiał je co miesiąc segregować i palić te starsze, aby zrobić miejsce dla nowych.

Przesunąłem palcem po ich zakurzonych grzbietach i zauważyłem dwa podłużne ślady. Ktoś te książki zdejmował. Kolejne ślady, linie grube i cienkie, wyraźne i ledwo widoczne, dostrzegłem na półce, co wskazywało, że interesowano się nimi już od jakiegoś czasu. Żadna nie miała na grzbiecie numeru identyfikacyjnego. Musiano je tu ustawić, zanim Sugiyama został cenzorem, ponieważ objąwszy to stanowisko, zrobił spis wszystkich materiałów rozprowadzanych przez państwo. Otworzyłem kilka książek na ostatniej stronie, żeby sprawdzić, kiedy je wydano, i stwierdziłem, że większość jest znacznie starsza. Otworzyłem także rejestr materiałów spalonych: nie było w nim ani jednej wzmianki o zniszczeniu nieoznakowanych książek. Trzeszcząc, dudniąc i postępując, w moim sercu ruszyło wielkie koło wodne. Mogłem wyciągnąć z tego tylko jeden wniosek: książki znikają. Znikały tuziny książek. I musiało to mieć związek ze śmiercią

Sugiyamy.

Resztę dnia spędziłem w cichej, zimnej bibliotece, gdzie próbowałem rozgryźć znaczenie śladów na zakurzonych półkach. Miałem dość tych wszystkich tajemnic. Nogi ugięły się pode mną, osunąłem się na podłogę i oparłem o półkę. Zdjąłem z niej pierwszą z brzegu książkę. Coś o wojnie: dowodziła, że już wkrótce zwyciężymy, zachęcała do walki i poświęcenia dla kraju. Pokręciłem głową. Po co komu zwycięstwo? Niezliczone dzieci były sierotami, tysiące kobiet wdowami, jeszcze więcej ludzi trafiało do więzienia lub ginęło. Grzbiet starej książki pękł, odsłaniając długie, wąskie korytarzyki wydrażone przez mole.

Z radości drgnęło mi serce. Zapragnąłem być jak one - urodzić się i żyć wśród książek, a potem umrzeć w bibliotece.

- *Oecophora pseudospretella* - wymamrotałem, rozglądając się wokół.

Nagle zauważyłem ślady białego proszku w kątach półek i przecinających drewno szparach. Kiwnąłem głową. Sugiyama nie dopuściłby do tego, żeby mole się mnożyły. Ale skąd się tu wzięły? Gdzieś w pobliżu musiały mieć bezpieczną kryjówkę. Przyjrzałem się ścianom i moją uwagę przykuł jakiś ruch, błyszczący grzbiet owada i dwoje długich czułków szukających zapachu tuszu i papieru. Wszedł na półkę. Za nim kolejny i jeszcze jeden. Dojrzały owad musiał złożyć jaja w ścianie. I właśnie stamtąd wyłaziły, z tej wyblakłej szarej ściany. Podchodząc do niej, usłyszałem głuche echo własnych kroków - brzmiało tak, jakby pod podłogą była pusta przestrzeń. Serce zabiło mi szybciej. Odsunąłem biurko i zobaczyłem kwadratową klapę. To spod niej wypelzały owady. Podniosłem ją i w twarz buchnęło mi stęchłe wilgotne powietrze. Ujrzałem stare drewniane schody. Z trudem zmusiwszy do posłuszeństwa trzęsące się nogi, wsunąłem je do czarnej dziury i krok po kroku zszedłem na dół. Wyjąłem zapalniczkę. Jej malutki płomyk oświetlił ciasne wnętrze. Książki. Co najmniej pięćdziesiąt tomów na prowizorycznej półce z deski ułożonej na dwóch ceglach. Zapominając o walącym sercu, przesunąłem ręką po ich grubych grzbietach. Wokoło wałały się cegły, kawałki drewna i desek. Ta wąska, ciemna podziemna samotnia tworzyła cudowną wprost bibliotekę pełną dymnego zapachu kurzu. Z zaskoczeniem poznałem stojące na półce książki. Były to pozycje, których brakowało na górze, których tytuły przekreślono, by w ich miejsce wpisać nowe, po koreańsku i japońsku: *Don Kichot*, *Nędznicy*, *Robinson Crusoe*, mitologia grecka, *Romeo i Julia*, André Gide, Stendhal, Baudelaire, Rilke i Jammes. Wziąłem jedną do ręki;

miała wytarte na błysk okładki. *German Love: from the Papers of an Alien* Friedricha Maximiliana Mullera. Pamiętałem, jak się zaczyna: „Dzieciństwo ma swoje cuda i tajemnice, lecz któż potrafi je opisać? Któż potrafi je zinterpretować?”. Ale kiedy niecierpliwie ją otworzyłem, nic nie mogłem przeczytać, ponieważ strony zostały zaczernione i od nowa zapisane białym odręcznym pismem, po koreańsku. Zamknąłem ją i odstawiłem na miejsce. Kilka książek było po japońsku, głównie te trudne, jak choćby dzieło Kierkegaarda, które zapisano niewprawną, lecz pewną ręką - Sugiyamy? Te po koreańsku, Dumas czy Stendhal, należały do literatury rozrywkowej. I zapisano je inną ręką. Od razu ją rozpoznałem. Tylko dlaczego Sugiyama udostępnił mi tę tajną bibliotekę?

Musiałem zameldować o swoim odkryciu przełożonym. Inaczej wyszedłbym na zdrajcę. Ale była to mała, doskonała biblioteka ze znakomitym wyborem tytułów, które zadowolilyby zarówno początkujących czytelników, jak i erudytów. Jej twórca dobrze wiedział, jakimi drogami chadza intelektualna przygoda, prowadząc niewykształconego nowicjusza od Dickensa i Hugo do młodego Wertera, a potem dalej, do wielkich literackich metropolii. Książki przygodowe, powieści o miłości i mitologia, poezja romantyczna i bibliografie, a w końcu nauki humanistyczne - przeszedłem dokładnie tę samą drogę.

Zareagować? Czy nie? Musiałem dowiedzieć się czegoś więcej. I tylko jeden człowiek mógł powiedzieć mi prawdę.

PIEŚNI ZAGINIONYCH KSIĄŻEK

Dong-ju wszedł do sali przesłuchań zupełnie wyczerpany. Miał napiętą ze zdenerwowania twarz. Rozwiązałem mu ręce. W głowie wirowało mi od pytań. Nie wiedziałem, od czego zacząć. Yun potarł nadgarstki.

- Chodzi o Sugiyamę? Znowu? Myślałem, że mamy to już za sobą. - Robił wrażenie wyczerpanego.

- Sprawę Sugiyamy może i tak. Ale nie sprawę książek w podziemnej bibliotece.

- Książek? W podziemnej bibliotece? O czym pan mówi?

- Nie kłam, nie ma sensu. Widziałem ją na własne oczy.

Dong-ju ściągnął usta.

- Przyłączyłeś się do uciekinierów. Choi nie wspomniał o tobie, nawet kiedy wpadł. Dlaczego cię chroni?

Lekko drgnęły mu powieki.

- Początkowo myślałem, że nie chce, żeby cię ukarano. Jednak nie o to chodzi, prawda? Jest inny powód, o wiele ważniejszy. Tajemnica w tunelu.

Zerknął na mnie nieufnie. W końcu oblizał spierzchnięte usta.

- Czego dowiedział się pan o Sugiyamie?

- Ziemia na jego spodniach różniła się od tej z tunelu wykopanego przez Choia. Co znaczyło, że istnieje drugi tunel. Potem odkryłem, że z cenzorni zniknęło kilka książek. Starych rządowych publikacji i materiałów propagandowych o naszym imperium.

Dong-ju nie próbował podważyć mojego twierdzenia. Błyszczały mu oczy.

- Chcę poznać prawdę - drążyłem.

- Nie ma czegoś takiego. A nawet jeśli jest, nigdy jej pan nie pojmie.

- W takim razie nie mam wyjścia i będę musiał zameldować o tym naczelnikowi. A on każe przewrócić cenzornię do góry nogami. Znajdą tę bibliotekę, to tylko kwestia czasu.

Zrezygnowany Yun spuścił wzrok.

- Kto ukradł książki? - spytałem drżącym głosem.
- Po co o tym rozmawiać? To niczego nie zmieni.
- Od tego zależy życie Choia.

Dong-ju zawahał się i niechętnie podniósł głowę.

- Sugiyama palił książki, takie miał rozkazy. Ale... Cóż, był również rzemieślnikiem. I tak naprawdę je wytwarzał.

Jego nienawiść do książek zmieniała się w gorący podziw i w końcu zaczął je kraść. Wykrywszy plan ucieczki, zapędził do pokoju przesłuchań bandę Koreańczyków i ich herszta. Wyszli stamtąd z podbitymi oczami i złamanymi nadgarstkami. Jego pałka zgasiła całą nadzieję. Musieli stawić czoło rzeczywistości: ich prymitywny plan zawiodł, przywódcy nie mogli ufać, już nigdy nie wyjdą na wolność. I trzeba było zasypać tunel, który własnoręcznie wykopali.

Dong-ju wezwano do pokoju jako ostatniego. Sugiyama kipiał gniewem. Miał wykrzywioną twarz, jakby zbuntowały się przeciwko niemu wszystkie mięśnie. Mimo to przemówił do więźnia spokojnym głosem.

- Kiedyś recytowałeś wiersze i fragmenty książek. A teraz narażasz życie dla głupiego spisku.

- Może i jestem idiotą, ale do nich nie przystałem - zaprotestował Yun. - Znałem ich plan, lecz nie wierzyłem w jego powodzenie. Nawet gdyby im się udało, nie tak chcę stąd wyjść.

Sugiyama spojrzał na niego podejrzliwie.

- Więc dlaczego ciągle wracałeś do karceru?
 - Żeby kopać swój własny tunel.
 - Jest jeszcze jeden?
 - Odchodzi od ich tunelu i skręca w kierunku cenzorni.
 - A więc nie chciałeś nim uciec.
 - Już mówiłem, nie zmierzam stąd uciekać. Bez względu na to, czy wyjdę, czy zostanę tutaj, nie będę wolnym człowiekiem. Po co uciekać z piekła do czegoś jeszcze gorszego?

- Więc po co go wykopałeś?
- Chciałem uciec w inny sposób.
- Jak?
- W książki.

Sugiyama prychnął, lecz w głębi serca go rozumiał. Dong-ju umiał żyć w wyimaginowanych miastach i wsiach. Nagle przyszło mu do głowy, że oszalał, uważając, iż słowa Koreańczyka mają sens.

Przecież on też, przyciągany nieodpartą ciekawością, noc w noc chodził do biblioteki, a czytając, przestawał się bać.

- Jak to?

Yun przyjrzał się mu, rozważając różne możliwości.

- Książki są tylko w cenzorni i bibliotece.

Sugiyama pokręcił głową.

- Tylko dlatego, że je palę.

- Przekopałem się tam, żeby podkraść książki, kiedy pana nie było. Zabierałem je do karceru i odnosiłem, zanim zauważył pan ich brak. Dzięki temu, siedząc przez tydzień w izolatce, mogłem trochę poczytać.

- To największy absurd, jaki kiedykolwiek słyszałem. Zauważyłbym, gdyby ktoś zakradł się do... - Sugiyama urwał. Przyszła mu do głowy pewna myśl. - Biblioteka? Zgoda - rozumował ostrożnie. - Ale od cenzorni wara! W bibliotece jest piwnica, gdzie przesłuchiwano kiedyś osadzonych. Kiedy więzienie rozbudowano, zamknęliśmy ją i przenieśliśmy się do większego pomieszczenia. - Kręciło mu się w głowie, nie wierzył w to, co mówił. - Możesz urządzić tam bibliotekę. Piwnica jest mała, wilgotna i zalatuje zaschłą krwią, ale się nada.

Zastanawiał się, czy właśnie popełnił zdradę.

- Skąd bralibyśmy książki? - Wiedział, że gdyby zaczęły zniknąć, ktoś by to zauważył.

- Publikacje rządowe przeznaczone do spalenia są strzeżone mniej pilnie - odparł z wahaniem Dong-ju. - Gdyby udało się je zdobyć, znalazłbym sposób.

- Dla publikacji rządowych nie trzeba ryzykować, można wypożyczyć je do celi.

- Nie. Zrobimy z nich nowe książki.

- Jak?

- Znam więźnia z grupy przewożącej węgiel. Gdyby dał mi kilka kawałków węgla, roztarłbym go na proszek, zmieszał z olejem do ogrzewania i zrobił czernidło, którym zaczerpnilibyśmy kartki. Papier jest stary, dobrze chłonałby kolor. Olej zadziałałaby jak utrwalacz i nic by się nie rozmazywało.

- Zaczernić kartki? Po co komu czarna książka?

- Na czarnym papierze można pisać białym tuszem.

- Skąd go wytrzaśnicie?

- Zrobimy go z popiołu i oleju. Nie będzie doskonały, ale na czarnym papierze da się odczytać. Jeśli przydzielili mnie pan do grupy odpowiedzialnej za ogrzewanie wartowni, skombinuję jedno i drugie.

- Nawet jeśli uda wam się zrobić tusz i kilka książek, jak je napiszecie?

Dong-ju tylko się uśmiechnął.

Sugiyama nie wiedział, co robić. Wiedział jednak, że nie może odmówić. Coraz bardziej go to wciągało.

- Jestem pewien, że macie tam setki skonfiskowanych książek - ciągnął ostrożnie Yun. - Przetłumaczę je z japońskiego na koreański.

Sugiyama poczerwieniał.

- Chcesz wykraść skonfiskowane książki? To pewna śmierć!

- Nie, nie, nie chcę ich kraść. To za bardzo rzucałoby się w oczy. Po prostu bym je wypożyczał, jedną na tydzień. Obiecuję, że po przetłumaczeniu wróciłaby na miejsce.

- Niby dlaczego miałbym na to pozwolić? Za darmo? Nie jestem Jezusem Chrystusem!

- Otrzymałby pan hojne wynagrodzenie.

Sugiyama głośno prychnął. Jaką zapłatę mógłby do stać od więźnia?

- Powiedział pan kiedyś, że muszę znów pisać wiersze. Pamięta pan? Tym panu zapłacę. Będę pisał wiersze i tłumaczył je dla pana na japoński. Co pan na to? Czy to uczciwa propozycja?

Sugiyama nie wahał się ani chwili. Energicznie kiwnął głową.

Przez twarz Yuna przemknął nagle cień niepokoju.

- Dlaczego mi pan pomaga?

- Tobie? - Sugiyama podniósł wzrok. - Nie. Próbuję pomóc sobie.

- Mogą oskarżyć pana o zdradę.

- Stałeś się równie wpływowy jak Choi. Chcę cię tu zatrzymać, taki mam cel. Godzę się na ten plan, żebyś tu został.

Dong-ju nie drażył tematu. Podziemną izbę tortur, miejsce przesiąknięte koreańskimi łzami i krwią, oczyści piękno.

Pokręciłem głową. Z poparciem Sugiyamy Yun obrócił się przeciwko Choiowi. Choi zabił Sugiyamę, chroniąc jednocześnie Yuna. We trzech stworzyli skomplikowany węzeł. Kto go w końcu rozwiąże?

- Czy Choi dowiedział się o twojej zdradzie?

Yun kiwnął głową.

- Pod koniec lata zagadnął mnie, gdy wyszedłem z karceru. Oczy płonęły mu z wściekłości. Odkrył mój tunel. Chciał mnie udusić,

krzyczał: „Ty szcurze, dlaczego go wykopałeś?!”. Odparłem, że jest to droga na wolność, tak jak jego tunel. Zresztą skąd pewność, że jednym czy drugim da się kiedyś uciec? Poza tym wiedziałem, że ani mnie nie zabije, ani na mnie nie doniesie. Nie wiem skąd, ale wiedziałem. Powiedział: „Obydwa kopujemy, żeby stąd uciec. Lepiej jest mieć dwa, zamiast jednego. Pozostaje mi tylko nadzieja, że mój zaprowadzi mnie na wolność”. Pomodliłem się za obydwu, żeby jego dał wolność jemu, a mój mnie. Potem już do tego nie wracaliśmy.

- A więc Choi znał tajemnicę podziemnej biblioteki i przez cały czas milczał. Musiał wiedzieć, że gdyby wygadał się komuś o twoim tunelu, popsułoby mu to szyki.

- Wszyscy Koreańczycy uważali, że Sugiyama zasługuje na śmierć. Początkowo ja też myślałem, że to Choi go zabił.

- Uważasz, że to nie on?

- Kiedy Sugiyama zginął, kilku więźniów widziało Choia w bibliotece, więc nie mógł go zabić.

- To dlaczego nic nie powiedzieli?

- Bo Choi miał umrzeć tak czy inaczej, za próbę ucieczki. Po co wysłać na śmierć kogoś jeszcze? Jestem pewien, że wszyscy chcieli ochronić mordercę Sugiyamy, kimkolwiek był.

Zabrakło mi tchu, jakbym oberwał w brzuch. Czyżbym oskarżył niewinnego człowieka? Choi miał przeze mnie umrzeć. Jak teraz udowodnię, że to nie on zabił Sugiyamę? Musiałem zacząć wszystko od początku.

- W takim razie kto go zabił?

Na bladej twarzy Yuna zagościł mroczny uśmiech. Czy był to uśmiech mordercy w masce poety? Podejrzenia i strach rozpełzły się w mojej głowie jak bluszcz.

Czy Dong-ju kłamał? Ostatecznie oszukał swojego pobratymca.

- To ty zabiłeś Sugiyamę! - krzyknąłem. - Oskarżyłeś Choia, żeby to ukryć! Twój tunel prowadził do biura kontroli, które łączy się z gmachem głównym! - Drżał mi głos.

- Po co miałbym to robić? - spytał Yun z zimnym wyrazem twarzy.

- Bo Sugiyama odkrył waszą bibliotekę! Wiedział, że kradniesz książki. Uciszyłeś go, żeby utrzymać to w tajemnicy. Ty morderco! - Z wściekłości nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Chciałem go uderzyć. Przez niego fałszywie oskarżyłem niewinnego człowieka.

Dong-ju spojrzał na mnie ze współczuciem, jakby to rozumiał.

Szedłem ciemnym korytarzem. Buty miałem jak z ołowiu. Dong-ju uparcie twierdził, że to nie Choi zabił Sugiyamę, i byłem tym zupełnie skołowany. Jeśli to Yun zamordował strażnika, popełnił przestępstwo doskonałe, bo oskarżono już o nie kogoś innego. Ale Yun upierał się, że to nie Choi, choć musiał wiedzieć, że zaczną teraz podejrzewać jego. A może z typową dla siebie subtelnością ponaglał mnie, bym znalazł prawdziwego zabójcę, i jednocześnie karmił za to, że oskarżyłem niewinnego? Zasypany pytaniami, na które nie znałem odpowiedzi, znalazłem się w punkcie wyjścia. Przez moją oglupiałą, przymuloną głowę przepływały tytuły czarnych książek. Rządowe publikacje przemycano do podziemi i przerabiano na nowe, *Narodziny Imperium na Nędzników*, *Zasady postępowania podczas wojny* na *Wiersze Francisa Jammes'a*.

Wziąłem rejestr materiałów przeznaczonych do spalenia i z lampą w rękę poszedłem do biblioteki. Podniosłem klapę, spod której buchnął kurz i wilgotny zapach pleśni. Zbiegłem schodami na dół. Odsunąłem na bok materiały budowlane i na wysokości pasa znalazłem wejście do tunelu. Przysunąłem bliżej lampę, przyjrzałem się jego ścianom i zauważyłem wyraźne ślady od szpadla w twardej ziemi - po ich ułożeniu, poznałem, że kopać zaczęto tutaj, w podziemnej bibliotece. A więc Sugiyama nie tylko dostarczał im książek. Nic dziwnego, że miał ubrudzony ziemią mundur. Dong-ju mówił prawdę. Sugiyama nie wykrył przypadkiem ich tajnego planu - odegrał kluczową rolę w jego tworzeniu. Sugiyama Dozan, ten wzbudzający strach strażnik imperium, świadomie zdradził wszystko to, co imperium sobą reprezentowało.

Kim był naprawdę? I kto go właściwie zabił?

PRAWDA NIE ZOSTAWIA ŚLADÓW

Nazajutrz, zawstydzony i pełen poczucia winy, powlokłem się bojaźliwie do biura Maedy. Maeda przewracał szczypcami węgle w piecyku i miał zarumienione policzki.

- Odkryłem coś nowego w sprawie morderstwa strażnika - zameldowałem.

- Co takiego? - spytał Maeda zdruzonym głosem. - Duch Sugiyamy coś ci podszeptał?

Z trudem przełknąłem ślinę. Miałem sklezione wargi, jakby pająk uwił sieć w moich ustach.

- Myślę, że złapaliśmy nie tego winowajcę.

Maeda rzucił szczypce, odwrócił się i spojrzał mi prosto w oczy.

- Co ty bredzisz? Przecież sam prowadziłeś śledztwo. Twierdziłeś, że to Choi. Dostałeś za to medal i awans na kaprala. A teraz mówisz, że wyciągnąłeś błędne wnioski?

- Popełniłem błąd. Poszlaki wskazywały jednoznacznie na niego, zresztą sam się przyznał. Ale jest kilka nierozwiązanych problemów.

- W więzieniu jest pełno nierozwiązanych problemów! Na przykład ten: dlaczego ci brudni Koreańczycy nie znikną z powierzchni ziemi? Dlaczego żołnierze imperium muszą się nimi zajmować? Wszystko jest problemem. Co nie znaczy, że istnieją stosowne rozwiązania.

- Gdyby Choi zabił Sugiyamę, zostawiłby ślady przed wejściem do budynku głównego. Jak pan pamięta, tej nocy padał śnieg. Mimo to na miejscu zbrodni nie było żadnych śladów, ani tam, ani na dziedzińcu. - Oczywiście wiedziałem, że ich brak nie jest dowodem niewinności Choia, bo mógł przedostać się tam tunelem prowadzącym do podziemnej biblioteki. Ale nie zamierzałem nikomu wyjawiać tej tajemnicy. Żeby odkryć jedną prawdę, musiałem zataić inną, grałem w niebezpieczną grę.

- Mogli je zatrzeć strażnicy albo więźniowie.

- Wszyscy więźniowie przebywali w celach. I kolejne pytanie...

- Ile ich jeszcze masz, do cholery? - warknął Maeda.

- Dlaczego Sugiyama nie zameldował o tunelu? I dlaczego Choi nie został stracony za to, że go wykopał?

W piecyku strzeliły wilgotne węgle. Maeda niecierpliwie machnął ręką.

- Dość tego! Wy, intelektualiści, nigdy nie wiecie, kiedy przestać. Za dużo myślicie. Kiedy nie jesteśmy czegoś pewni, pierwsza myśl, jaka przychodzi nam do głowy, jest zwykle najlepsza.

- Przecież Sugiyama był bardzo skrupulatny. Więzień próbuje uciec, a on miałby odwracać wzrok? Dlaczego? I dlaczego temu więźniowi darowano życie? Takie rzeczy nie powinny się zdarzać, nie w Fukuoce.

Widać było, że Maeda czuje się nieswojo.

- Stawiasz sobie dużo pytań. Ale jesteś żołnierzem! A żołnierz ma wykonywać rozkazy!

Wyprostowałem się.

- Tak jest! Nie odmawiam wykonania rozkazu, choć jako śledczy...

Głos Maedy ciął jak brzytwa.

- Śledztwo jest skończone!

Zmusiłem się do mówienia.

- Ale jeśli Choi nie jest mordercą... Jeśli to nie on, to kto zabił Sugiyamę? Kto jest prawdziwym mordercą? - Wbiłem wzrok w podłogę.

- Yuichi - powiedział łagodnie Maeda. - Śledztwo jest skończone. Przestań w tym grzebać. Nieważne, kto go zabił. Wszyscy Koreańczycy są tacy sami. Nie warto utrzymywać ich przy życiu.

Chociaż rozpocząłem śledztwo na rozkaz, teraz nie umiałem z niego zrezygnować. Wciąż nie wiedziałem, co się właściwie stało. Co kryło się za tajemniczymi poczynaniami Sugiyamy, tunelem i podziemną biblioteką?

Maeda podniósł głos.

- Musisz zrozumieć powagę sytuacji. Na wszystkich frontach codziennie giną młodzi żołnierze. Sugiyama był tylko jednym z nich. To tak, jakbyś wlał menażkę wody do Pacyfiku. Twoja obsesja na punkcie zamkniętego do chodzenia obraża ich pamięć. Zrozumiano?

Odwróciłem się sztywno i zamierzałem wyjść. Czuję, jak Maeda świdruje spojrzeniem tył mojej głowy. Jego głos chlasnął mnie jak skórzany pejcz.

- À propos. Przydzielam ci pozostałe obowiązki Sugiyamy. Masz ocenzurować nuty na koncert, przyprowadzać i odprowadzać chór, i pilnować więźniów podczas prób.

Zegar wybił dziesięć razy, niczym ciężki topór ścinający drzewo.

Byłem pewien, że upadnę bardzo powoli i już nigdy nie wstanę.

JEZUS CHRYSZTUS, SZCZĘŚLIWY CIERPIĘNIK

Cele wypełniało szare zimne powietrze. W pomieszczeniu o wymiarach pięć na pięć metrów stłoczono dwunastu mężczyzn. Ich oddech skraplał się na ścianach. Zesztywniali i przemarznięci, niecierpliwie czekali, aż pójdą do pracy, ponieważ poruszając się, łatwiej znosili zimno. Marzli, głodowali i umierali. Przed zaśnięciem patrzyli na twarze tych leżących obok. Nikt nie wiedział, co przyniesie noc - niewidzialna ręka często porывała ich duszę w mrok. Rano budzili się z jękiem, by od nowa przeżywać ten sam koszmar. Leżąc na oszronionej podłodze, z zamarznąłą krwią w żyłach, odwracali głowy, aby sprawdzić, czy sąsiad wciąż oddycha.

Pewnego dnia jeden z nich zjadł swoją skąpą porcję ryżu i powiedział:

- Jeśli umrę, nie wynoście mojego ciała, niech leży tu do wiosny. W zimnie się nie rozłoży. A wy będziecie pobierali moją porcję.

I tak było: kiedy ktoś umarł, nikomu o tym nie meldowano. Więźniowie spali obok trupa, bo dostawali dzięki temu kilka zamarznętych kulek ryżu więcej i mogli napelnić nimi puste brzuchy. Żalowali, że to nie koszmar senny, ponieważ śniąc, nie czuliby przynajmniej bólu. Ci, którzy jeszcze żyli, zjadali posiłki martwych, a potem, gdy w końcu nakryli ich strażnicy, płacili za to wysoką cenę, bo musieli wykopać własny grób w zamarznętej ziemi. Każdy myślał, że będzie następny.

Wkrótce nawet ci zdrowi zaczęli umierać. Osadzeni powiadali, że ten, kto przeżyje zimę, przeżyje cały rok. A zima nie odpuszczała i na cotygodniowe zabiegi medyczne zapisywano coraz więcej skazanych. Więźniowie czuli się chronieni i zadbani, gdy lekarze osłuchiwali ich serce, mierzyli ciśnienie i pobierali krew. Zależnie od wyników przepisywali im również zastrzyki i Koreańczycy powierzali obnażone ręce łagodnym pielęgniarkom w białych maskach. Mieli nadzieję, że ciepły roztwór wlewający się do żył pokrzepi ich zmęczone ciało i wzmocni osłabione serca. Koledzy niecierpliwie czekali na ich powrót, by usłyszeć szczegółowe sprawozdanie. Ci, którzy chodzili

na zabiegi, często upiększali swoje przeżycia, opowiadali o fantastycznym szpitalu, miejscu pełnym jaskrawego światła, gdzie latem nie było gorąco, a zimą zimno, prawdziwym rajem z białymi aniołami, które pieściły ich nadgarstki. Wszyscy chcieli być wybrani, by upajać się tym specjalnym przywilejem. Osłabieni, schorowani mężczyźni byli traktowani jak bohaterowie. Jednak wkrótce ich marzenia i fantazje zaczęły się obracać w pył. Ci, których wzywano do szpitala, nie dostrzegali u siebie widocznej poprawy zdrowia. Stawali się jeszcze bardziej przygaszeni i małowówni, chociaż nie było jasne z jakiego powodu. Chodzenie na badania coraz bardziej ich męczyło. Niektórzy chcieli przestać, lecz decyzja nie należała do nich.

*

Dong-ju został wybrany na początku zimy. Odkryłem to w pewien poniedziałek rano, gdy nie zobaczyłem go w pracy. Ogarnęły mnie złe przeczucia. Gdy biegłem przez dziedziniec, zaczął padać śnieg. Nie wierzyłem w Boga, mimo to modliłem się, żeby nic mu się nie stało. Wpadłem do głównego budynku i usłyszałem władczy krzyk samotnego strażnika:

- Szybciej tam!

Prowadził trzydziestu kilku więźniów. Dong-ju wyróżniał się wśród innych szarych twarzy. Zawsze się uśmiechał i jego uśmiech jaśniał na tle morza matowych ciał i przesłoniętych mgłą oczu.

Strażnik zauważył mnie.

- Prowadzę więźniów na badania. O co chodzi? - Miał siedemnaście lat, ale powołano go wcześniej niż mnie, więc był wyższy stopniem. Powinien teraz jeść lunch w klasie, przysypiać nad podręcznikiem do grama tyki, uczyć się geometrii albo obliczać odległość od Ziemi do Księżyca. Ale machina wojenna zrobiła z niego żołnierza. Młodzi stawali się milczący i uczyli się zabijać ludzką godność, zanim w pełni zrozumieli, czym na prawdę jest.

Podszedłem do Dong-ju. Strażnik z dezaprobatą przekrzywił głowę. Podczas gdy on zastanawiał się, czy powinien mnie powstrzymać, czy nie, ja szarpnąłem Yuna za rękaw i wyciągnąłem go z szeregu. Uśmiechnął się słabo i wzruszył ramionami, jakby chciał mnie uspokoić. Odezwał się spierzchniętymi ustami:

- Nic mi nie jest. Przeziębilem się, ale to nic poważnego. Dziwiłbym się, gdybym na tym zimnie nie złapał parę razy kataru.

Przyjrzałem mu się, ale nic mu chyba nie było.

- Nie wiem, dlaczego mnie wybrano, ale to dobrze - ciągnął. -

Podlecą mnie, poczuję się lepiej i łatwiej mi będzie przetrwać zimę.

Spięty strażnik przeszył go spojrzeniem i Yun pokuśtykał z powrotem do szeregu. Strażnik podał koledze pilnującemu bramy powód transportu oraz liczbę transportowanych i więźniowie powoli poszli dalej.

Ponieważ Dong-ju był bardzo wychudzony, czerwony strój wisiał na nim jak zbyt obszerna kurtka. Jego twarz wkrótce znikła wśród innych bladych twarzy.

Przypomniał mi się wiersz, który recytował poprzedniego wieczoru w ciemnym pokoju przesłuchań, a który tkwił teraz w mojej kieszeni jak tykająca bomba zegarowa.

KRZYŻ

*Słońce, które kiedyś mnie ścigało,
Wisi teraz na krzyżu Na szczycie kościoła.*

*Wieżycy jest taka wysoka,
Jak się tam wspięło?*

*Dzwony nie dzwonią,
Więc krążę, gwiżdżąc.*

*Gdyby tak pozwolono mi dźwigać krzyż,
Jak
Jezusowi Chrystusowi,
Temu szczęśliwemu cierpiętnikowi*

Wiersz wciąż promieniował ciepłem, jakby nad słowami unosił się jego oddech. Po cichu wyrecytowałem ostatnią zwrotkę. Pisząc te słowa, nie miał jeszcze dwudziestu pięciu lat, a już zmagał się ze śmiercią.

*Pochyliłbym głowę
I moja krew
Zakwitłaby jak strumyczek kwiatów
Pod ciemniejącym niebem.*

Wieczorem wyrwałem tę kartkę z rejestru.

- Jedna zwrotka nie ma chyba sensu.
- Która?

- „Jezus Chrystus, ten szczęśliwy cierpiętnik”. To oczywista sprzeczność.

Dong-ju uśmiechnął się słabo.

- Życie nie zawsze jest logiczne. Wszystko stoi w sprzeczności ze wszystkim.

- Jak to?

- Życie takie po prostu jest. Pełno w nim fałszu, brudu i zła. A sprzeczności stanowią jego nieodłączną część. Nie są fałszem. Wzmacniają prawdę. Chrystus cierpiał, żeby uwolnić ludzi od grzechów. Dlatego cierpiąc, mógł być szczęśliwy.

Tak, to miało sens. Przypomniało mi się, jak bezmyślnie traktowałem moich najbliższych i ogarnął mnie wstyd. Może te okrutne czasy zmuszały ludzi do dorastania. Rzeczywistość była ponura, lecz dzięki temu życie stawało się jeszcze cenniejsze. Mimo to wciąż targają mną wątpliwości.

- Ty nie jesteś Chrystusem! - krzyknąłem. - Zdechniesz jak pies!
Yun posłał mi tylko smutne spojrzenie.

Nazajutrz czekałem przed salą widowiskową. Powłócząc nogami, z drugiego końca korytarza nadeszli rzędem więźniowie. Z ich bladych twarzy biła bezsilność i przygnębienie. Jeden z osadzonych miał grzybicę, która zaatakowała mu głowę aż po skronie, inny zaczerwioną spierzchniętą skórę i pęcherze na ustach, a jeszcze inny z nich spękane ziemiste policzki. Kuśtykali przed siebie, ocierając kostki kajdanami. Po korytarzu niósł się kwaśny odór niemytych ciał. Podszedłem do sierżanta, tego samego, który poprzedniego dnia prowadził ich do izby chorych. Brzęk łańcuchów ustał.

Strażnik spojrzał na mnie niepewnie.

- O co chodzi? - warknął.

- Chciałbym prosić o współpracę, panie sierżancie.

Zesztywniał, gdyż powiedziałem to bardzo służbiście. Przybrałem łagodny wyraz twarzy, lecz wciąż mówiłem oficjalnym głosem.

- Chór kończy próby. Więźniowie robią postępy, lecz mają tremę. Jeśli wyjdą w tym stanie na scenę, będą zdenerwowani. To zepsuje cały występ.

- Co to ma wspólnego ze mną?

- Gdyby mogli zaśpiewać na próbę przed publicznością, przełamałoby lęk.

- A więc czego właściwie chcesz?

- Ci osadzeni chodzą tędy codziennie na badania. Gdyby mogli przystanąć i przez pięć minut posłuchać, chór śpiewałby lepiej.

Oczy strażnika zaskrzyły się z ciekawości, lecz szybko pochlodniały.

- Muszę zaprowadzić ich na czas.

- Dobrze pan wie, jak ważny jest ten koncert - nie ustępowałem. - Przyjadą wszyscy, od ministra spraw wewnętrznych i najwyższych komendantów policji po ambasadorów i konsulów z rodzinami. Jeśli coś pójdzie nie tak...

Sierzant pokręcił głową i przez jego twarz przebiegł cień strachu.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze - ciągnąłem - ci, dzięki którym chórzyści mogli poćwiczyć przed prawdziwą publicznością, zdobędą uznanie.

Strażnik trochę się odprężył.

- Dobrze. Ale tylko pięć minut!

Zajrzałem przez okno do sali - słońce wlewało się do niej jak biała kurtyna. Przy fortepianie siedziała Midori, a więźniowie stali podzieleni według głosów. Midori zobaczyła mnie i kiwnęła głową. Stężała ciszę przerwało narastające drżenie: początek *Va, pensiero*. Niczym przyciągany przez morze strumień, jeden po drugim, więźniowie powlekli do okna swoje kajdany. Zabrział ciężki, smutny, lecz potężny śpiew. Płynął ku nam jak złocisty dywan, gładki i rozpalony. Pięć minut minęło w okamgnieniu, dla słuchaczy mogło to trwać zarówno sekundę, jak i wieczność.

- W prawo zwrot! - krzyknął strażnik. - Naprzód marsz!

Więźniowie poczłapali przed siebie, lecz teraz robili wrażenie łagodniejszych, jakby obudzili się z miłego snu. Zerknąłem ukradkiem na Yuna. Bez słowa wymieniliśmy radosne spojrzenia i osadzeni poszli dalej.

Przeiłem salę i stanąłem przed Midori.

- Było wspaniale. Nawet strażnik zatracił się w muzyce.

- Cieszę się. Powoli robią postępy.

- Jedynym minusem jest to, że nie rozumiem słów. Tak, na pewno, słyhać, że jest w tym dużo uczucia. Szkoda tylko, że nie wiemy, o czym śpiewają. Tak, długo uczyli się na pamięć włoskich słów, ale może przetłumaczylibyśmy je na japoński?

- Prawdziwe uczucie nie zna barier językowych - odparła. - Czy jest to włoski, czy japoński, wszyscy rozumieją tęsknotę bijącą z tej pieśni. - Położyła ręce na klawiaturze i zaśpiewała *Va, pensiero* po japońsku.

*Leć, myśli, na złotych skrzydłach;
Leć, odpoczywając na górach i pagórkach,
tam, gdzie powietrze napelnione delikatnością i ciepłem,
słodkim aromatem ojczystej ziemi!*

*Powitaj brzegi Jordanu,
zburzone wieże Syjonu.
O wspaniała utracona ojczyzno!
Drogie fatalne wspomnienia!*

*Złota harfo dawnych proroków,
czemu milczysz, wisząc na wierzbie?
Obudź pamięć w sercu,
Opowiedz o minionych czasach!*

*Niech zabrzmie twój jęk,
Tak gorzki jak los Jerozolimy, niech
Bóg obudzi w tobie melodię,
która da nam siły cierpieć!**

* Rafał-72, Wikipedia.

Doznałem szoku. Nie byłem pewny, na czym polega wywrotowość tych słów, wiedziałem jednak, że są wicherzycielskie. I jeszcze bardziej się zdenerwowałem.

- Wie pani - powiedziałem z udawaną nonszalancją - słysząc ten majestatyczny śpiew, myślałem, że pieśń opowiada o bohaterskich czynach żołnierzy. Teraz widzę, że o czymś innym.

Midori uśmiechnęła się cierpko. Co knuła?

Va, pensiero nie dawała mi spokoju przez cały dzień. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego tak mnie dręczy. Poszedłem do biura kontroli i uważnie przejrzałem spis skonfiskowanych materiałów. To, czego szukałem, było w rejestrze czwartym: *Tytani muzyki klasycznej*, na samym dnie pudła 645. Otworzyłem książkę i przesunąłem palcem po spisie treści, tytułach rozdziałów opowiadających o życiu i dziełach kompozytorów od Bacha i Haendla po Beethovena, Chopina i Schumannna. W końcu, na szóstej stronie, znalazłem Verdiego: *Wagner i Verdi, konie pociągowe europejskiej opery*. Jak zaczarowany odwróciłem kartkę.

Chór śpiewa *Va, pensiero* w drugiej scenie aktu trzeciego opery *Nabucco*. Nabucco albo Nabuchodonozor jest babilońskim królem, który występuje w Starym Testamencie, zwłaszcza w *II Księdze Królewskiej*, *Księdze Jeremiasza* i *Księdze Daniela*. Gdy Babilon pokonał Syrię i Egipt, Nabuchodonozora zaczęto czcić jako władcę potężniejszego niż Hammurabi. Nabuchodonozor podbił następnie królestwo Izraela, które po śmierci króla Salomona podzielono na Judę na południu i Izrael na północy kraju, i uprowadził pojmanych Hebrajczyków w niewolę do Babilonu, gdzie kazano im budować wały ochronne wzdłuż brzegów rzeki Babilonu. Pracując, niewolnicy śpiewali tęskne pieśni o domu, o czym opowiada *Psalm 137 z Księgi Psalmów*.

Po stracie żony i syna Verdi popadł w depresję i zamknąwszy się w domu, przestał komponować. Merelli, impresario La Scali, namówił go do przeczytania libretta opery *Nabucco*. Poruszony historią hebrajskich niewolników, którzy żyli, nie tracąc nadziei na powrót do domu, Verdi znowu sięgnął po pióro. *Nabucco* była olbrzymim sukcesem. Podczas premiery w La Scali dziewiątego marca 1842 roku mieszkańcy Mediolanu wzruszyli się do łez. Opera ta rozbudziła narodowy zapał w sercach Włochów represjonowanych przez Cesarstwo Austrii, ponieważ w swoim losie dostrzegli oni podobieństwo do ciężkiej doli zniewolonych Żydów z Babilonu. *Va, pensiero* śpiewano w całym kraju i pieśń ta dała zrozpaczonym Włochom nową nadzieję na odzyskanie wolności.

Włosi czcili Verdiego jako narodowego kompozytora, a *Va, pensiero* stała się nieoficjalnym hymnem Italii. Trzydzieści lat po premierze *Nabucco*, w Mediolanie Włochy zjednoczyły się pod wodzą generała Garibaldiego. Dla uczczenia dokonań wielkiego kompozytora śpiewano tę pieśń na jego pogrzebie.

Zamknąłem książkę i schowałem ją do pudła. Przypomniały mi się słowa *Va, pensiero*:

*Leć, myśli, na złotych skrzydłach;
Leć, odpoczywając na górach i pagórkach,
tam, gdzie powietrze napełnione delikatnością i ciepłem,
słodkim aromatem ojczystej ziemi!*

A potem słowa innej pieśni:

*Zabierz mnie do mojej starej Wirginii,
Gdzie rośnie bawełna, kukurydza i ziemniaki,
Gdzie wiosną słodko śpiewają ptaki,*

Gdzie zostało stęsknione serce starego Murzyna.

Coś się zmieniło i nagle wszystko zaczęło do siebie pasować. Babilońscy Hebrajczycy stracili swój kraj, Włosi cierpieli pod austriacką okupacją, a w Ameryce ciemżono czarnych niewolników - wszystkim im siłą odebrano dom i wielu trafiło do niewoli w odległych krajach. A ludźmi śpiewającymi w chórze byli koreańscy więźniowie, których też pozbawiono ojczyzny. Dong-ju ciągle gwizdał pod nosem *Zabierz mnie do mojej starej Wirginii*, Midori grała *Va, pensiero* i broniła nikczemnego, okrutnego Sugiyamy, Sugiyamę zaś wzruszały wiersze Dong-ju... Wszyscy byli ze sobą powiązani. Tak, wybór *Va, pensiero* nie był przypadkowy, Dong-ju musiał maczać w tym palce. Ostatecznie w *Tytanach muzyki klasycznej*, którą znalazłem w jego pudle, wspomniano o *Psalmie 137*, a on, jako jedyny więzień w Fukuocze, miał Biblię.

Usiadł na krześle w pokoju przesłuchań, drząc jak zwiędły liść. Zdjąłem mu kajdany. Jego otarte przez metal nadgarstki były zaczerwienione i spuchnięte. Położył Biblię na stole i splótł na niej chude, szponiaste palce. Patrzyłem na Biblię jak kot na rybę.

Drgnęły mu powieki. Był zdenerwowany, pewnie zastanawiał się, po co kazałem mu ją przynieść. Chciałem ją spalić?

Odezwałem się jako pierwszy.

- Twojej Biblii nic nie grozi. Nie zamierzam jej przeglądać ani palić.

Przyjrzał mi się niepewnie.

Spróbowałem przybrać łagodniejszy wyraz twarzy.

- Chcę tylko przeczytać pewien fragment. Jesteś jedynym więźniem, który ma Biblię. Pożyczysz mi ją? Tylko na chwilę.

Obiema rękami bez słowa przesunął książkę w moją stronę. Gdy znalazłem *Księgę Psalmów*, mocniej zabiło mi serce. Zaszeleściły kartki. Przełknąłem ślinę. *Psalm 137*.

Nad rzekami Babilonu - tam siedzieliśmy

I płakaliśmy na wspomnienie Syjonu.

Na wierzbach w tamtej krainie

Zawiesiliśmy lutnie nasze,

Bo tam żądali od nas słów pieśni

Ci, którzy nas wzięli w niewolę,

A ciemiężcy nasi - radości:

Śpiewajcie nam jakąś pieśń Syjonu!

Jakże mamy śpiewać pieśń Pana

Na obcej ziemi?*

* Biblia to jest *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*.... cyt. wyd.

Wersety te były podkreślone ołówkiem. Podniosłem wzrok.

Dong-ju ściągnął usta.

- Widzę, że czytał pan *Tytanów*.

Kiwnąłem głową.

On też.

- Hebrajscy niewolnicy śpiewali stare pieśni nad brzegiem rzek Babilonu i płakali, tęskniąc za Syjonem. Babiloński nadzorca zażądał szydyczko, żeby zaśpiewali pieśń hebrajską. Niewolnicy znaleźli się w pułapce. Gdyby go nie posłuchali, straciliby życie, a spełniając jego życzenie, zhańbiliby ojczyznę. Właśnie to zainspirowało Verdiego do skomponowania *Va, pensiero*. Pieśnią tą dawał Hebrajczykom nadzieję na powrót do kraju na złotych skrzydłach.

- To nie Midori ją wybrała, prawda? - spytałem.

- Jeśli nie ona, to kto?

Patrzyłem na niego bez słowa.

- Nieważne, kto dokonał wyboru. Szczerość pieśni, oto, co jest najważniejsze.

- Wygląda na to, że wszystko pójdzie tak, jak zaplanowałeś, i chór zaśpiewa pieśń o powrocie do domu i odzyskaniu ojczyzny. Ale sala będzie pełna wysokich dygnitarzy państwowych i dowódców wojskowych. Jak myślisz, co się stanie, kiedy koreańscy więźniowie zaczną śpiewać o tęsknocie za krajem?

Dong-ju pokręcił głową.

- Moim jedynym zmartwieniem jest to, żeby jak najlepiej wypadli.

Nie wierzyłem własnym uszom.

- Jesteś taki naiwny? Czy taki sprytny? Dobrze wiesz, że domyśla się, o czym to jest! *Va, pensiero* podżega do buntu. Udzielasz głosu koreańskiemu ruchowi niepodległościowemu!

- Koreańczyk, Japończyk czy Włoch, każdy słuchacz poczuje to samo.

- Wykorzystywanie muzyki i sztuki do propagowania koreańskiej myśli niepodległościowej jest dowodem jawnego buntu! - krzyknąłem. - W dodatku na oczach najwyższych dygnitarzy! Jeśli odkryją, co knujesz, wszyscy będą mieli poważne kłopoty. Pomyślałeś o chórzystach? Pomyślałeś o tych, którzy pomagali zorganizować

koncert? Chcesz zdrzeć z naczelnikiem i Maedą? Wpakować w kłopoty mnie i Midori?

- *Va, pensiero* nie zrobi nikomu krzywdy. Po prostu chcę usłyszeć szczerą pieśń. Zwłaszcza teraz. - Wyczerpany, spojrzał na mnie niespokojnie.

- Robisz błąd.

- Dlaczego?

Z ciężkim sercem przypomniałem sobie o obowiązku, jaki nałożyło na mnie imperium: cenzura.

- Nie pozwolę, żeby tę wywrotową pieśń zaśpiewano w obecności dostojnych gości.

- Odwoła pan koncert?

Nie mogłem oddychać, jakby moją twarz oblepiła pajęczyna. Wiedziałem, że nie mogę dopuścić do tego koncertu. Ale nie mogłem mu odpowiedzieć. Zrozpaczony, zwiesiłem głowę. Chórzyści wkładali w próby wszystko, co mieli. Nie zdawali sobie sprawy, że potrafią artykułować tak piękne dźwięki, i muzyka stała się teraz ich religią. Midori ćwiczyła do późnej nocy. Podczas prób wszyscy byli zadowoleni i beztroscy, nawet więźniowie, którzy wyciągali szyję, żeby posłuchać słabego echa śpiewu niosącego się po szpitalnych korytarzach, warsztatach, celach i dziedzińcu.

Dong-ju spojrzał na mnie porozumiewawczo. Nienawidziłem go za to, że postawił mnie w tej sytuacji.

Yun uśmiechnął się i rzekł:

- Starzec z celi 38 powiada: „Jeśli już musisz na coś stawiać, postaw na nadzieję”. Twierdzi, że ten, kto wejdzie w dobry interes, będzie miał większe dochody.

Miałem ochotę ukarać go za tę bezczelność. Gdybym zezwolił na koncert, wszyscy zaangażowani w przygotowania mogliby wpaść w poważne tarapaty. Ale może - tylko może - publiczność się wzruszy i zgotuje chórzystom owację. Może koncert okaże się sukcesem. Chciałem przekonać się na własne oczy, czy śpiew Koreańczyków poruszy japońskie serca. Czy mogłem pokładać nadzieję w czymś tak głupim? Jako żołnierz nie powinienem zgodzić się na niebezpieczny plan, który naraziłby na szwank życie Yuna i Midori. Nagle ogarnął mnie strach. Zdałem sobie sprawę, że robię wszystko to, co do śmierci robił Sugiyama: że jestem cenzorem, przyprowadzam i odprowadzam chórzystów, i utrzymuję w tajemnicy istnienie podziemnej biblioteki. Że w ten sposób spełniam jego najszybsze pragnienia. Czy zginę przez to tak jak on?

PROMETEUSZ BEZ KOŃCA TONAĆY

W przyćmionym świetle w pokoju przesłuchań widać było, że oczy Dong-ju zapadły się głęboko. Twarz miał brudną, bo od świtu harował, ciągnąc wózek.

- Jesteś zmęczony - rzuciłem.

- Ale nie jestem starcem - odparł z szerokim uśmiechem. - Mam dopiero dwadzieścia sześć lat i jakoś się trzymam. Jutro idę do szpitala. Po zastrzyku czuję się lepiej. - Oczy zaiskrzyły mu się nadzieją.

Przy mnie był zupełnie inny niż wtedy, gdy utyłany ziemią ciągnął wózek, gdy otepiały stał na wzgórzu z topolami albo siedział w słońcu pod murem. Rozmowa o poezji ożywiła go jak Łazarza, udźwignęła mu głos, rozświetlała oczy.

Zaczął recytować wiersz.

- Wątroba. Na słonecznej nadbrzeżnej skale / położę do wyschnięcia swoją wilgotną wątrobę. / Niczym uciekający z Kaukazu królik / będę krążył wokół niej i jej strzegł. / Orle mój ulubiony! / Przyleć, by spokojnie ją skubać. / Ty utyjesz / A ja schudnę, lecz / Żółwiu wodny! / Już nigdy nie dam się zwieść bogowi morza. / Prometeuszu, biedny Prometeuszu / Z kamieniem u szyi za to, żeś wykradł ogień / Prometeuszu bez końca tonący.

Ten wiersz różnił się szokująco od innych. Z każdej linijki były gwałtowne uczucia i skondensowana wściekłość, które zajęły miejsce łagodnej kontemplacji i własnych myśli. W jego oczach płonął ogień, lecz głos miał spokojny.

- Tuż przed ukończeniem college'u Yonhi w tysiąc dziewięćset czterdziestym chciałem wydać tomik wierszy. Wybrałem dziewiętnaście, ale były po koreańsku i nie przeszłyby przez japońską cenzurę. Bojąc się o moje życie, mój mentor mi to odradził. - Dong-ju westchnął. - *Niebo, gwiazdy, wiatr i poezja*, taki miał mieć tytuł.

Usiadłem prosto.

- *Niebo, gwiazdy, wiatr i poezja*?

Kiwnął głową.

- A nie *Niebo, wiatr, gwiazdy i poezja*? Poza tym czy nie ukończyłeś college'u w czterdziestym pierwszym?

- To ważne? - Spojrzał na mnie zaskoczony.

Nie byłoby ważne, gdybym rozmawiał z kimś innym. Ale siedział przede mną Dong-ju. I rozmawialiśmy o przełomowych chwilach jego życia, o których nie mógł przecież zapomnieć.

- Zresztą nie można ufać pamięci - dodał ze swobodnym uśmiechem.

Zmarszczyłem brwi. Czy to skutek niedożywienia? Ciężkiej pracy? A może za mocno go bito? Miałem tylko nadzieję, że jest to stan przejściowy. Bo coś było zdecydowanie nie tak. Coś go wyniszczało. Miał jeszcze bardziej wymizerowaną twarz, zrobił się chudszy niż kiedyś. Nawet najdrobniejsze rany goiły się teraz dłużej i coraz więcej czasu spędzał, gapiąc się tępo w niebo. Raz pomylił Cezara z Augustem, innym razem Stendhala z Hugo.

Zakaszła w rękaw: rękaw był mokry od krwi. Podciągnąłem go i zobaczyłem długie krwawe zadrapanie.

- To nic - powiedział. - Pod koniec dnia wywrócił się wózek i zahaczyłem ręką o skrzynkę z amunicją. Ciągle krwawi. Może dlatego, że kiepsko nas karmią?

- Dlaczego nic nie powiedziałeś?! - krzyknąłem. - To już ponad dwie godziny! - Zdjąłem owijacze i przewiązałem mu nimi przedramię.

Spojrzał na mnie mrocznymi oczami.

- To przez pogodę. Przyjdzie wiosna i poczuję się lepiej. A teraz przynajmniej mnie leczą.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy minie ta straszna zima.

Udało mu się skupić wzrok.

- Wiosna przychodzi dopiero po siarczystych mrozach i srogich zamieciach. Tak jak tęcza, która ukazuje się tylko po przelotnym deszczu, piękno nastaje po ciężkich próbach. Bez cierpienia nie ma sensu.

- W szpitalu opisz im dokładnie swoje symptomy - nakazałem. - Może przepiszą ci odpowiedni lek albo dadzą zastrzyk.

Dong-ju znowu zakaszła.

- Nie chodzi tylko o mnie. Innych też zawodzi wzrok i pamięć. Lekarze mówią, że to przejściowa reakcja, bo zastrzyki są wstrząsem dla organizmu. Twierdzą, że jeśli będziemy kontynuować leczenie, nasz stan się polepszy.

Przyjrzałem mu się uważnie. Jego niegdyś przystojna twarz zmieniła się nie do poznania od grzybicy i nieustannego bicia.

Oczy znowu zaszyły mu mgłą, były jak tafla matowego szkła.

- Spokojnie! - powiedział z uśmiechem. - Wytrzymam. Wyjdę stąd na własnych nogach.

Coś przyszło mi do głowy: wiedziałem, kto może nam pomóc. Midori. Pomogłem mu wstać. Strażnikowi pilnującemu stalowych drzwi w korytarzu prowadzącym do izby chorych powiedziałem, że to nagły przypadek. Wpuścił nas do środka. W ciemnym korytarzu niosło się brzękliwe echo stalowych kajdan. Doszły nas dźwięki fortepianu. Midori przestała grać i rozejrzała się w poszukiwaniu źródła hałasu.

Przez całą drogę musiałem go podtrzymywać i się zasapałem.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale to pilne. On ciągle krwawi.

Midori kazała mu usiąść na taborecie i otworzyła podręczną apteczkę, która stała przy fortepianie. Oczyściła ranę alkoholem.

- To tylko powierzchowne zadrapanie. Szwy nie będą potrzebne. Ale dziwne, że krwotok nie ustaje. - Opatrzyła ranę gazą i owinęła rękę bandażem. Krew przestała się stopniowo sączyć.

Dong-ju odwrócił się na taborecie i ostrożnie nacisnął palcem klawisz. Pojedyncza nuta ciągnęła się niczym delikatna nić. Yun zamknęła oczy, chłonąc ją całym ciałem.

Poprosiłem Midori na korytarz.

- Krwawienie na szczęście ustało, ale wciąż się martwię. On ciężko pracuje i ciągle odnosi jakieś obrażenia. Poza tym krwawienie może być tylko objawem czegoś innego.

- Ma inne symptomy?

- Bardzo się zmienił. Jest spowolniony. Zasypia w trakcie przesłuchania. Ma chroniczny kaszel i szwankuje mu pamięć.

- Jest zimno, cele są nieogrzewane i mamy mnóstwo pacjentów z przeziębieniem. Ale tak, trafia do nas coraz więcej więźniów z krwotokami, głównie z Oddziału Trzeciego.

- Z Trzeciego? Są głodni, siedzą w nieogrzewanych celach i przydzielają ich do najcięższych robót. To logiczne, że mają osłabiony system odpornościowy.

- Jest jeszcze coś - dodała z wahaniem Midori.

- Tak?

- Stamtąd wybrano większość pacjentów skierowanych na leczenie.

Zamarłem.

- A więc kuracja jest przeznaczona dla tych najbardziej schorowanych, tak? Dlatego wybrano Koreańczyków. W takim razie dlaczego ich stan się pogarsza?

Midori pokręciła głową.

- Możliwe, że przez zastrzyki. Jeśli osłabiony pacjent otrzyma silny środek odżywczy, mogą wystąpić skutki uboczne.

- Musimy się dowiedzieć, o co tu chodzi.

- To są lekarze z najlepszych uczelni medycznych w kraju. Jeśli dostrzegą skutki uboczne, na pewno zareagują.

- Już dawno powinni byli zareagować!

- Za trzy dni mamy odprawę. Lekarze będą omawiali plan leczenia i zagadnienia badawcze na następny tydzień. Zamelduję im o tym i proponuję odpowiednią kurację. Zechciałby pan zrobić listę objawów?

Jej spokojny głos trochę mnie uspokoił. Mimo to wciąż dręczył mnie nieokreślony lęk.

Kilka dni później wezwano mnie do laboratorium badawczego dyrektora Morioki. Unosił się tam chłodny, czysty zapach lekarstw, a całą ścianę jego gabinetu zajmowała półka wypełniona dziesiątkami zagranicznych publikacji medycznych.

Dyrektor z ożywieniem wyciągnął do mnie rękę.

- Yuichi! - zawołał. - Słyszałem, że teraz to pan będzie przyprowadzał więźniów na zabiegi. Podobno zgłosił się pan na ochotnika, to godne pochwały. Rozumiem, że pomógł pan Midori przygotować raport na odprawę. Wydaje mi się, że doszło do małego nieporozumienia...

Na odprawie Midori przedstawiła listę osadzonych wraz z wyszczególnieniem skutków ubocznych, jakie u nich stwierdzono. Niemal u wszystkich zaobserwowano ból głowy, zmęczenie, osłabienie i niestrawność. Często zdarzały się wymioty i biegunka. Osadzeni skarżyli się również na zaniki pamięci, zawroty głowy i na to, że przy najmniejszym urazie krwawią i są bardzo podatni na stłuczenia. U niemal wszystkich wykryto co najmniej kilka symptomów.

- Ja tylko sporządziłem listę objawów - powiedziałem to tak, jakbym się bronił.

- Och, bynajmniej pana nie ganię. Nasi lekarze zapoznali się z tym raportem i opracowali plan działania. Raport był wspaniały, miał tylko jedną wadę.

- Wadę?

- Za bardzo zaufał pan wywiadam z więźniami. Tego rodzaju symptomy można rozpoznać tylko za pomocą dokładnych badań

lekarskich.

Jego łagodna twarz i melodyjny głos trochę mnie peszyły.

- Panie dyrektorze - powiedziałem niepewnie - oni nie udają. Osadzeni, którzy dostali zastrzyki, bardzo cierpią. Najlepszym udokumentowaniem bólu jest to, co od czuwa pacjent.

Morioka się uśmiechnął.

- Czy da się pan zaprosić jutro do szpitala? Kiedy zobaczy pan na własne oczy, jak naukowo i higienicznie przeprowadzamy zabiegi, wybędzie się pan wszystkich obaw.

Bez słowa kiwnąłem głową.

O drugiej po południu następnego dnia zaprowadziłem do szpitala trzydziestu osadzonych. Jak zwykle zatrzymaliśmy się przed salą widowiskową. Dong-ju wysłuchał pieśni i na jego zapadniętych policzkach wykwitły zdrowe rumieńce. Potem poprowadziłem ich dalej, a oni wlekli się korytarzem, ciągnąc za sobą łańcuchy.

W izbie chorych lekarz w srebrnych okularach kazał mi iść za sobą. Otworzył drzwi do sali zabiegowej i pod ścianą zobaczyłem sześć łóżek oddzielonych od siebie białymi parawanami.

- Sala zabiegowa jest szczytem higieny i wygody - powiedział.

Czystym wysokim głosem jedna z pielęgniarek wywołała sześć numerów. Więźniowie weszli i położyli się na łóżkach. Pielęgniarki podeszły do nich, wprawnie znalazły żyłę i wbiły igłę. Po zastrzyku pacjenci odpoczywali. Lekarz wyjaśnił, że gdyby od razu wstali, mogliby mieć zawroty głowy lub skurcze mięśni. Chodził powoli między łóżkami, a ja sunąłem za nim.

- Ten lek zwiększy ich witalność i przedłuży im życie - zapewnił mnie i otworzył drzwi na końcu sali.

Wszedłem tam, czując się jak Alicja w króliczej norze.

Lekarz usiadł przy biurku, na którym piętrzyły się sterty teczek, i ruchem głowy dał znak tłumaczowi, młode mu więźniowi siedzącemu sztywno na krześle w kącie pokoju.

Przejrzał listę i krzyknął:

- 531! Wejść!

Więzień przetłumaczył to na koreański. Wszedł mężczyzna o zapadniętych oczach. Lekarz nie podniósł nawet wzroku znad jego karty.

- Jakież uciążliwe symptomy?

Pacjent mrugał oczami, czekając, aż tłumacz skończy mówić.

- Nie wiem - odparł nerwowo. - Zawsze czuję się kiepsko. Jestem skołowany i zmęczony, ale nie mogę spać. Mało jem. Zresztą niczego nie trawię. Mam biegunkę.

Lekarz odnotował to w karcie. Odłożył pióro i wyjął z szuflady stoper i kartkę papieru. Spojrzał na mnie i wyjaśnił, że przeprowadzi teraz badanie lotności umysłu, które ujawni ewentualne uszkodzenia mózgu. Okazało się, że najlepszym testem neurologicznym są działania arytmetyczne, ponieważ wymagają pamięci, skupienia i zdolności matematycznych.

Podał kartkę więźniowi i nacisnął przycisk stopera.

- Zaczynaj!

Pacjent zaczął rozwiązywać zadania. Było to głównie dodawanie i odejmowanie dwucyfrowych liczb. Stoper tykał w głuchej ciszy. Minutę później lekarz kazał mu przerwać. Wyraźnie zmęczony więzień odłożył ołówek. Lekarz sprawdził odpowiedzi, zapisał liczbę rozwiązanych zadań oraz liczbę odpowiedzi poprawnych i niepoprawnych.

- Jaka jest dzisiaj data?

- Styczeń czterdziestego piątego.

- Gdzie teraz jesteście?

- W więzieniu w Fukuoce... - Pacjent mówił z coraz większym wahaniem.

Lekarz przekrzywił głowę i zanotował coś w karcie.

- Skąd jesteś?

- Z Uiju na Półwyspie Koreańskim.

- Kiedy wychodzisz na wolność?

Pacjent milczał przez chwilę.

- W czterdziestym... szóstym?

Lekarz zapisał: „Nie pamięta, kiedy zostanie zwolniony”.

Wywiad trwał. Osadzony zawahał się jeszcze kilka razy, a potem lekarz porównał wyniki z wynikami poprzedniego badania.

- No i co? - spytał więzień. - Polepszyło mi się?

- Żeby się polepszyło, najpierw musi się pogorszyć. Dostajesz specjalne zastrzyki i trochę potrwa, zanim do nich przywykniesz. Poprawa będzie stopniowa, więc bądź cierpliwy.

Pacjent ruszył do drzwi i lekarz ze współczuciem odprowadził go wzrokiem.

- W minutę rozwiązał dwanaście zadań. W tym dziewięć dobrze. W zeszłym tygodniu rozwiązał trzynaście, w tym dziesięć prawidłowo. W teście pamięci odpowiedział dzisiaj na dwa pytania mniej i dwa razy częściej się wahał. Niedobrze. Tak jak pan mówił, są to

pewnie skutki uboczne zastrzyków.

- W takim razie czy nie powinniście natychmiast przerwać kuracji?

Poirytowany lekarz pokręcił głową.

- Posłuchaj no, żołnierzu! Czy ty w ogóle rozumiesz, co my tu robimy? To sprawa lekarzy, ty zajmij się swoimi. - A potem wyjaśnił, że zastrzyki są częścią większego projektu medycznego - naukowcy próbują zmniejszyć współczynnik umieralności wśród żołnierzy i ofiar nalotów bombowych - a oni testują na więźniach nowy lek, dzięki któremu osadzeni mają odzyskać siły. Robią, co w ich mocy, żeby wyeliminować skutki uboczne jego zażywania. Zakończył, mówiąc, że gdyby leki nie miały skutków ubocznych i nigdy nie zawodziły, nikt nie musiałby prze prowadzać żadnych badań.

Do gabinetu wszedł Dong-ju. Miał ostro sterczące kości policzkowe i czaszkę groteskowo obciążoną bladą skórą.

Lekarz sięgnął po jego kartę.

- Numer!

- Nie pamiętam.

- A nazwisko?

- Yun Dong-ju.

Zaskoczony lekarz podniósł wzrok.

- Twoje japońskie nazwisko!

- Nie pamiętam.

Lekarz dał mu do zrobienia test arytmetyczny. Yun wziął ołówek i zaczął rozwiązywać zadania. Minutę później lekarz zatrzymał stoper.

- Gdzie się urodziłeś?

- W Mingdong w prowincji Jiandao w Mandzurii - odparł Dong-ju. - To mała, urocza góraska wioska. Wiosną nad rzekami kwitną tam azalie, wiśnie, peonie, baze...

- Wystarczy - przerwał mu lekarz. - Teraz nie pora wspominać rodzinne strony. Powiedz, kiedy zostaniesz zwolniony?

- Trzydziestego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

- Kto jest cesarzem Japonii?

- Nie pamiętam.

Lekarzowi leciutko drgnęły usta.

- Jakie słowa przychodzą ci teraz do głowy?

Dong-ju zamknął oczy. Uśmiechnął się i odparł:

- Niebo, wiatr, gwiazdy, poezja.

Lekarz zapisał i to.

- Pomnóż dziewięć przez wszystkie cyfry od jednego do

dziewięciu.

Z pozbawioną wyrazu twarzą Yun zaczął powoli recytować:

- Dziewięć, osiemnaście, dwadzieścia siedem, trzydzieści sześć, czterdzieści pięć, pięćdziesiąt cztery, sześćdziesiąt trzy, siedemdziesiąt dwa, osiemdziesiąt jeden, dziewięćdziesiąt, dziewięćdziesiąt dziewięć...

- Wystarczy. Możesz iść.

Dong-ju odwrócił się z trudem. Chudy i zgarbiony, z tyłu też wyglądał fatalnie. Powoli zdradzało go własne ciało.

- Ma doskonałą pamięć i świetnie liczy. Rozwiązał najwięcej zadań, wszystkie poprawnie. Jest przykładem pacjenta dobrze reagującego na zastrzyki. Brak symptomów ubocznych.

Nie wierzyłem własnym uszom.

- Przecież ma osłabioną pamięć. Nie pamięta nawet swojego japońskiego nazwiska ani numeru.

- Ach, pan o tym... Kto jak kto, ale pan powinien wiedzieć najlepiej, że przesłuchując więźnia, trzeba być czujnym i wychwytywać zmyślane odpowiedzi.

- Zmyślane odpowiedzi?

- To znaczy celowo zafałszowane albo takie, które mijają się z pytaniem. Więzień nie podał swojego japońskiego nazwiska, bo nie chciał. Nie dlatego, że go nie pamięta. Podobnie z numerem.

- Dlaczego miałby ukrywać coś, co pamięta?

- Powinien pan znać tę taktykę! Zaprzecza w ten sposób, że popełnił przestępstwo. Nie przyznaje się, bo wymazuje z pamięci swój więzienny numer. Nie chce również przyznać się do tego, że ma japońskie nazwisko. To typowe dla inteligentów.

- Chce pan powiedzieć, że próbował pana oszukać?

- Oczywiście! Wie, że u pacjentów występują skutki uboczne. Więc udaje, że stracił pamięć, co jest dość powszechne. Gdyby naprawdę nie pamiętał swojego numeru, spojrzalby w dół, na kurtkę. Ale nie spojrział. W dodatku doskonale pamiętał, kiedy wychodzi na wolność, a nawet wyrecytował nam tabliczkę mnożenia. Sam pan widział!

- Jednak nie zrobił tego tak jak większość z nas. Nie mówił: „dziewięć razy jeden równa się dziewięć, dziewięć razy dwa równa się osiemnaście”. Tylko od razu podawał odpowiedzi.

- I co z tego?

- To, że nie wyrecytował tabliczki. Moim zdaniem liczył na piechotę. Zamiast mnożyć, dodawał dziewięć do ostatniej liczby.

- Nieważne. Jeśli potrafi dodawać w głowie, jest oczywiste, że

jego umysł funkcjonuje prawidłowo. Myślę, że już skończyliśmy. Może pan odprowadzić więźniów.

Chciałem coś powiedzieć, ale usta odmówiły mi posłuszeństwa. Odwróciłem się na pięcie i wyszedłem.

Ustawieni w dwa szeregi więźniowie czekali w ciemnym korytarzu. Gdy jeden po drugim wywoływałem ich numery, odpowiadały mi chrapliwe, świszczące głosy.

- Naprzód marsz! - krzyknąłem, żeby wyładować złość.

Na twardej, zimnej podłodze zabręczały łańcuchy. Zamierzałem odwrócić się i sprawdzić, jak radzi sobie Dong-ju, lecz się powstrzymałem. Nie chciałem, żeby zobaczył smutek w moich oczach.

GDYBY WIOSNA ZAWITAŁA NA MOJĄ GWIAZDĘ...

Naloty były coraz częstsze. Japonia zmieniała się w olbrzymie koszary, a Fukuoka w poligon Sił Powietrznych USA. Ponure wycie syren ostrzegających przed nadlatującymi samolotami zawsze stanowiło preludium do śmierci i zniszczenia. Bombowce B-29 obracały miasto w popiół. Syreny wyły i wyły, odgrywając rekwiem dla płonących domów i pogrzebanych pod nimi ludzi. Zbombardowanymi ulicami przemykały kobiety z wodą do gaszenia pożarów. Mieszkańcy próbowali zapomnieć o syrenach, buczących samolotach, wybuchach i krzykach, wspominając dawne odgłosy miasta: śmiech dzieci, muzykę jazzową płynącą ze sklepów z płytami, radosny śmiech kobiet. Wojna wszystko zmieniła. Na ulicach rozbrzmiewał tupot ciężkich butów, sklepy były zburzone, a wojskowe ciężarówki wypełnione przerażonymi młodymi chłopcami z poboru. Ludzie uginali się pod ciężarem strachu. Śmierć stała się rutyną, a jedynym celem - przetrwanie. Krok w krok z wojną szła ciężka praca. Potrzeba było coraz więcej i więcej mundurów, więc osadzeni prali, cerowali i farbowali te przesiąknięte krwią i porozrywane przez odłamki. Dong-ju woził wózkiem olbrzymie ich sterty. Gdy wyła syrena na przerwę, stawał na dziedzińcu i patrzył w szare niebo.

Podszedłem do niego pewnego popołudnia. Bił od niego kwaśny odór. Dziwne, ale ucieszyłem się z tego, ponieważ znaczyło to, że jego ciało wciąż funkcjonuje. Poszedłem za jego wzrokiem i też spojrzałem w niebo, które rozpościerało się tuż nad dziedzińcem jak kawał wypłowiałego materiału.

- To już trzeci dzień - powiedział. - Od trzech dni nie widać niebieskiego latawca, który o tej porze latał nad murami.

- Pewnie ktoś puszczał go z ciekawości - odrzekłem. - Bawiło go zrywanie twojej linki, ale kiedy zakazaliśmy tej zabawy, znudził się i zrezygnował.

- Ta dziewczynka nie robiła tego po to, żeby zrywać moją linkę. Puszczała latawiec bardzo delikatnie. Z finezją. - Według niego

przypominało to walc. Dziewczynka operowała linką łagodnie jak nieśmiała nowicjuszka na pierwszym balu. A on obejmował ją w talii i prowadził w powietrzu jak młody mężczyzna. Tańczyli na niebie piękny taniec. Poprzez linkę Yun wyczuwał, że jego partnerka jest taktowna i wrażliwa.

- Dlaczego to robiła? - spytałem.

- Może była samotna. Często napierała swoim latawcem na linkę mojego, jakby była małym szczeniakiem dokazującym na kolanach pana. Ale nie robiła tego po to, żeby pochwalić się swoimi umiejętnościami. Chciała się na kims oprzeć.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi. Jak można okazywać uczucia za pośrednictwem zwykłego sznurka?

Dong-ju wciąż patrzył na niebo za murami.

- Pewnie przestało ją to bawić - rzuciłem.

Spojrzał na mnie z nadzieją, lecz już po chwili znowu wpadł w przygnębienie. Dopiero wtedy zrozumiałem, czym się martwi. Trzy dni wcześniej było straszliwe bombardowanie. Yun powiedział mi, że stał na środku celi, wsłuchując się w odgłosy eksplozji. Koreańscy więźniowie skakali z radości: modlili się, żeby B-29 obróciły miasto w ognistą perzynę, nawet gdyby przyszło im w niej zginąć. Dong-ju pochylił się i zgarbił.

- Chcę się tylko upewnić, czy ona żyje. Szkoda, że... Gdybym mógł puścić latawiec, wiem, że ona puściłaby swój.

- Jest zakaz - powiedziałem zaniepokojony jego smutkiem. - Na pewno można sprawdzić to inaczej - dodałem z nadzieją, że nie będzie nalegał.

Z głośników zawyła syrena na koniec przerwy. Yun drgnął i wrócił do pracy.

Nazajutrz, po próbie, ostrożnie poruszyłem tę sprawę z Midori. Spytałem ją, czy mogłaby wypytać o dziewczynkę, która puszczała latawiec w pobliżu więzienia, zastrzegając, że nie wiem nawet, jak ma na imię ani jak wygląda. Midori nie odpowiedziała. Zamiast tego położyła ręce na klawiaturze. Nie powinienem był jej prosić, to było bezczelne. Dwa dni później spotkałem ją znowu i moje życie nabrało blasku. Szliśmy ramię w ramię, a pod naszymi nogami chrzęścił śnieg. Zdenerwowany, zerknąłem ukradkiem na jej delikatny profil.

- Wiem, gdzie mieszka - powiedziała. - W domu na przedmieściach, bliżej Fukuoki niż zatoki Hakata, w skupisku około dwudziestu chat.

- Skąd pani wie?

- Już tam kiedyś byłam. W imieniu Sugiyamy-sana.

- I co? Przeżyła? W gazecie piszą, że podczas bombardowań najbardziej ucierpiała droga z Fukuoki do portu Hakata.

- Bomby spadały wzdłuż niej, zniszczyły całą okolicę. Wciąż czuć tam zapach prochu. To biedne osiedle, w dodatku oddalone od centrum, dlatego nie ma tam schronów.

Zmroziło mi krew w żyłach. Byłoby lepiej, gdybym tego nie wiedział.

- Udało mi się znaleźć jej matkę w tymczasowym oddziale szpitala miejskiego - ciągnęła Midori załamującym się głosem. - Spadła na nią belka z dachu, ma złamaną nogę.

- A ta dziewczynka? - Bałem się o nią pytać.

- Na szczęście wyjechała przed bombardowaniem. Zgodnie z zaleceniami ewakuacyjnymi władz wysłano ją na wieś do babci. Babcia mieszka w rolniczym miasteczku godzinę jazdy stąd, więc raczej ich nie zbombardowano.

Użyło mi tak, jakby ktoś rozpałił piec w moim ciele. Dziewczynka musiała przeżyć. Nieważne jak i gdzie.

Midori podała mi białe zawiniątko i ruchem głowy kazała mi je otworzyć. W środku był poobijany pożółkły latawiec ze złamaną główną listewką.

- Jej mamę obudził huk wybuchających bomb - ciągnęła. - Już zbiegała schodami na dół, gdy przypomniało jej się, że miała zabrać ukochany latawiec córki. Wyjeżdżając do babci, dziewczynka zabrała latawce zdobyte w zawodach, ale ten powiesiła na ścianie na strychu, żeby mama mogła popatrzeć na niego, kiedy za nią zatęskni. Wybuchła bomba i matka straciła przytomność. Gdy ją znaleziono, tuliła do piersi latawiec.

Było to pierwsze trofeum jej dziecka. Kobieta powiedziała Midori, że ta zabawa stanowiła dla córki jedyne źródło radości.

Oczywiście wyobraźni ujrzałem, jak dziewczynka, siedząc samotnie w domu, starannie skleja niebieski latawiec, jak przywiązuje do sznurka ostre kawałki porcelany. Podczas gdy inne dzieci biegly nad morze, by złapać dobry wiatr, ona szła na pusty plac za więzieniem. Tam nikt jej nie dokuczał, tam żaden łobuz nie atakował jej latawca, oplatając go grubą linką. Pewnego dnia zza wysokich murów wyfrunął biały latawiec. Dziewczynka podpłynęła doń swoim, zatańczyła z nim i okrążyła go w powietrzu. W końcu, gdy przecięła słaby bawełniany sznurek, biały latawiec zawirował i spadł. To była jej pierwsza zdobycz, więc powiesiła go na ścianie.

Odzyskany latawiec Yuna pachniał lekko dymem i prochem. Główna listewka była złamana, ogon oderwany. Odwróciłem go na

drugą stronę i zobaczyłem ślady czarnego tuszu. Udało mi się odcyfrować znajome pismo.

Do najlepszej pilotki w Fukuoce

Moje gratulacje! Dzisiaj wygrałaś.

Jeśli to czytasz, to znaczy, że udało Ci się nas pokonać. Dawaliśmy z siebie wszystko, lecz byłaś szybsza i silniejsza. I wykazałaś się zaskakującym talentem. Ponieważ zwyciężyłaś, w nagrodę możesz zatrzymać nasz latawiec. Ale zrobimy nowy. I jutro znowu staniemy do walki. Może uda się nam wygrać. Jeśli nie jutro, to pojutrze.

Jestem pewien, że kiedy skończy się zima i sezon na latawce, twój pokój będzie pełen trofeów. Zachowaj je. Są dowodem na to, że jesteś najlepszą pilotką w mieście.

Kto by pomyślał, że za twardym, metalicznym głosem Sugiyamy mogła kryć się taka delikatność? Zastanawiałem się, jaki był dla tych, których kochał, choćby dla kobiety, dla której stroił fortepian. Ciekawe, czy słuchał jej całym sobą, gdy nieporadnie grała jazz? Czy pił z nią kawę? Czy marzył, żeby kiedyś urodziła mu śliczne jak brzoskwinka dzieci? Czy byłby dobrym mężem? Cudownym ojcem? No i kto go w końcu zabił?

Podniosłem głowę, uświadamiając sobie, że nie zadałem najważniejszego pytania.

- Skąd pani to wszystko wie?

- Kiedy poeta przestał pisać, Sugiyama-san zwrócił się do mnie o pomoc. Strojenie fortepianu było jedynie pretekstem.

Na lśniącej, czarnej klapie fortepianu zachodziło złociste słońce. Midori patrzyła na szorstkie dłonie Sugiyamy, na blizny po ranach od noża i powykręcane kłykcie. Zastanawiała się, czy ręce te pamiętają swoje ofiary, i doszła do wniosku, że nie - z tak okrutnymi wspomnieniami nie mogłyby wytwarzać tak pięknych dźwięków.

Sugiyama poprosił, żeby coś zagrała. Zagrała *Zabierz mnie do mojej starej Wirginii*. Strażnik zamknął oczy, uśmiechając się i marszcząc brwi, delektując się barwą i wibracją każdej nuty. Otworzył je dopiero wtedy, gdy zgasła ostatnia. Zaklaskał w dłonie.

- O wiele lepiej. Prawie się wzruszyłem.

Zachodzące słońce malowało czerwone cienie na twarzy Midori.

- Brzmieniem fortepianu?

- Nie, nie. Grą. Gra pani teraz tak naturalnie. - Na jego szyi pulsowały grube żyły.

Midori myślała, że jest zły, tymczasem Sugiyama był speszony. Większość uczuć była mu obca. Świat nigdy nie traktował go łagodnie, a on, chroniony przez pancierz furii, wcale tego nie oczekiwał. Kiedy coś mu się nie spodobało, wpadał w złość. Miłość i zakłopotanie wyrażał gniewem, krzyczał, aby wyrazić współczucie, i był oschły, okazując zainteresowanie. Najlepiej czuł się w ciszy.

Położył rękę na fortepianie i przełknął ślinę.

- Mam prośbę. Muszę kogoś znaleźć, kogoś za murami... - Zamilkł. Żołnierze byli skoszarowani, lecz pielęgniarki mogły chodzić, gdzie chciały.

Midori rozszerzyły się oczy.

- Kogo? - spytała, rozglądając się wokół.

Sugiyama długo nie mógł się przełamać. Wreszcie z wahaniem powiedział:

- Nie wiem, czy to kobieta, czy mężczyzna, nie znam wieku tego człowieka ani adresu. Nie wiem, jak wygląda. Ale wiem, że mieszka gdzieś w pobliżu. Co wtorek ktoś puszcza latawiec za murami. Chyba ktoś młody. Ma trzynaście, czternaście lat. I jest samotny.

- Skąd pan wie?

- Od Hiranumy Tochu. To znaczy, od Yuna Dong-ju. Musi go pani znać.

Wystraszona Midori zatrzepotała powiekami. Nie tylko go znała - poznali się w izbie chorych - ale i słyszała o jego wierszach, wiedziała, jaką lubi muzykę. Szanowała go. To na jego prośbę włączyła do programu *Va, pensiero*. Zawahała się.

- Czy on... zrobił coś złego?

Sugiyama pokręcił głową. Im lepiej go znał, tym bardziej był przekonany, że nie. Spojrzał na swoje grube, zrogowaciałe ręce.

- Od wyjścia z karceru nie napisał ani jednej linijki. Logiczne. Karcer niszczy ciało i duszę. A kiedy tam siedział, dziewczynka z latawcem zniknęła.

- Co miałabym zrobić?

- Niech pani jej powie, żeby znowu przysła pod mur. Że jeśli puści latawiec, urządzimy pojedynek. - Sugiyama spojrział w okno, na złociste słońce, które ich podsłuchiwało.

- Latawiec pojawił się kilka dni później. A to pewnie ten, z któ-

rym wtedy wygrała. - Midori dotknęła pokiereszowanego latawca z pękniętą listewką i oderwanym ogonem, który w pięknych wspomnieniach wciąż szybował po niebie, ścigając się z wiatrem.

- A więc już nie zobaczymy jej latawca.

- Kiedy wojna się skończy i dziewczynka wróci, wróćą i one.

- Sugiyama sprytnie to rozegrał. Mógł dzięki temu skutecznie kontrolować więźniów.

- Sugiyama-san nie po to ją odszukał - odparła Midori. - Nie wysyłał za mury latawców. Wysyłał wiersze.

Do okna podszedł bezdomny kot. Słyszałem chrzęst śniegu pod jego łapkami.

- Jak to?

Midori wyjaśniła, na czym polegał podstęp. Sugiyama kazał Yunowi pisać i puszczać latawiec, a napowietrzny pojedynek z dziewczynką był częścią misternego planu, dzięki któremu mógł przemycać wiersze za mury.

- Zawarli układ - mówiła. - Sugiyama-san pozwalał Yunowi pisać wiersze po koreańsku pod warunkiem, że wyrecytuje je po japońsku. Był jego publicznością. Dong-ju recytował nowy wiersz, Sugiyama-san zapisywał go po japońsku, a potem z tego samego papieru robił latawiec. Yun o tym nie wiedział. Ale latawce często spadały daleko za murami, ujawniając wiersze światu.

Przez całą zimę Dong-ju recytował wiersze w pokoju przesłuchań, a Sugiyama zapisywał je jak spowiednik. Wiersze były mroczne, lecz wspaniałe, pełne smutku, lecz okraszone radością - opowiadały o rozmyślaniach wędrowca idącego ciemną zaśnieżoną drogą, o młodym mężczyźnie walczącym z potężną burzą, o młodym naukowcu zdradzonym przez swoje czasy. Linijka po linijce, rozświetlały na chwilę ciemność. A Sugiyama wszystkie zapisywał. Jako pierwszy słyszał utwory młodego poety, wiersze, które powstawały w głowie Yuna tygodniami i miesiącami, dzieła zupełnie dotąd nieznanne.

I na brzuchach latawców wzbijały się w niebo jak gołębie. Na skrzydłach wiatru przeskakiwały przez mur. Latawce Yuna tańczyły i krążyły w duecie z latawcem czekającej w pobliżu dziewczynki. Były prymitywne, więc ze sznurkiem przeciętym przez ostre kawałki porcelany na jej lince, traciły wiatr, powoli spadały, a ona pędziła za nimi. Często znikaly jej z oczu, nadziewały się na kolczaste krzaki, spadały w błoto lub grzęzły w wąskich, brudnych alejkach. Szukała

ich wszędzie, czasem dopiero późnym wieczorem znajdowała je na słupie elektrycznym w porcie albo na piaszczystej plaży, mokre i porwane. Na pogniecionym papierze widziała wiersze napisane niezdarną ręką i wróciwszy do domu, ukrywała je głęboko w szafie.

NASZA MIŁOŚĆ BYŁA NIEMA

Dong-ju często wchodził do pokoju przesłuchań z twarzą ziemistą i poszarzałą, jak obsypaną popiołem. Ożywiał się dopiero, kiedy zaczynaliśmy rozmawiać. Mówił o rzeczach nieistniejących, lecz postrzegalnych, niewidocznych, lecz wyczuwalnych, o tych, które zniknęły z powierzchni ziemi, choć pozostały w pamięci, o tych, których nie miał, a których pragnął. Siadaliśmy naprzeciwko siebie. Rozmawialiśmy nie jak strażnik z więźniem, tylko jak równy z równym. Rozprawialiśmy o pisarzach i ich dziełach, o poetach, powieściopisarzach, filozofach i artystach.

Jednak do wściekłości doprowadzało mnie już samo to, że siedzieliśmy w pokoju przesłuchań.

- Poezja? - prychnąłem pewnego razu. - Nadzieja? Absurd. Jesteśmy w wyjąłowym więzieniu.

- Czekamy na wiosnę, ale może już tu jest - upierał się Yun, jak zawsze pełen optymizmu. - O tym, że przyszła i odeszła, można przekonać się tylko latem. Szczęście da się znaleźć nawet tutaj, za tymi zimnymi kratami.

- Nie, w tym zapomnianym przez wszystkich piekle nic nie ma. Ani piękna, ani szlachetności, ani intelektu.

- Ale można tego poszukać.

- Nie ma sensu.

- Jeśli dobrze poszukamy, na pewno coś znajdziemy. Trzeba to po prostu stworzyć, nadzieję, szczęście, marzenia i piękne wiersze. Poezji, której nam obu tak bardzo brakuje, nie ma na papierze. Rozejrzyj się! Ona jest wszędzie, w ciasnych celach i za grubymi stalowymi kratami. Dzięki temu, że mnie więżą, mogę pisać jeszcze głębsze wiersze.

Miałem nadzieję, że to prawda.

- Kiedy mnie tu przywieźli - wyznał - na jakiś czas zrezygnowałem z pisania.

- Jak to się stało, że znowu zacząłeś?

- Dzięki Sugiyamie - odparł z bólem - miałem Sugiyamę. Bez

niego bym nie zaczął. - Nagle bardzo się postarzał.

Spróbowałem poprawić mu nastrój.

- Chcę cię spytać o pewien wiersz, *Wiejący wiatr*. Piszesz w nim: „Nie kochałem ani jednej kobiety”. Czy to znaczy, że nikogo nie kochałeś? - Chociaż przeczytałem dużo jego wierszy, nie znalazłem wśród nich ani jednego o miłości. Naprawdę nikogo nie kochał? Przecież w jego życiu musiał być okres, gdy śmiał się, śpiewał i darzył kogoś uczuciem.

- Każda ma jakieś tajemnice - odparł enigmatycznie. Zmarszczył czoło, uśmiechnął się zawstydzony i zaczął recytować:

- *Świątynia miłości*. Suni, kiedy weszłaś do mej świątyni? / Kiedy ja wszedłem do twojej? / Naszą jest świątynia miłości zwieńczona dawnymi obyczajami / Suni, jak łania spuść swe czyste oczy / a ja jak lew rozczeszę spletaną grzywę. / Nasza miłość była niema. / Och, młodości! / Nim zgaśnie słaby płomyk na świętym lichtarzu / biegnij, Suni, biegnij do frontowych drzwi. / Zanim ciemność i wiatr uderzą w nasze okno / zabiorę swoją wieczną miłość / I wyjdę tylnymi. Teraz / ty masz zaciszne leśne jezioro / A ja strome góry.

Przestałem pisać i odłożyłem ogrzyzek ołówka.

- Jeśli nie można powiedzieć: „kocham cię”, czy to nadal miłość?

Pomyślałem o Midori. Przy niej byłem niemową. Nie wiedziała, jak namiętne uczucia kłębią się w moim sercu. A może wiedziała i tylko udawała, że nie wie.

Z zamyślenia wyrwał mnie głos Yuna.

- Tak. Może nawet głębsza niż ta, o której otwarciu się mówię.

Szybko zmieniłem temat.

- Ta Suni... Wiesz, gdzie teraz jest?

Yun uśmiechnął się gorzko i pokręcił głową.

Przez chwilę bałem się, że obudziłem złe wspomnienia. Ale zdałem sobie sprawę, że takich nie ma. Wszystkie są cenne, bo kształtują nas nawet te bolesne. Znaczyło to, że ukształtują również mnie i moje życie w Fukuoce. Czy po latach będę myślał o Midori, tak jak Dong-ju o swojej dziewczynie?

Wyrecytował jeszcze dwa wiersze, *Chłopca* i *Śnieżną mapę*. *Chłopiec* opisuje namiętną miłość młodzieńca do pięknej Suni, a *Mapa* - ból, z jakim pewnego zimowego poranka mężczyzna żegna się z ukochaną. Wszystkie trzy wiersze są opowieścią o tym, jak ją poznał, jak się zakochał i jak się z nią rozstał. Czy rzeczywiście kochał dziewczynę o takim imieniu? Czy w ogóle istniała? Nie mogłem go o to spytać. Bałem się, że nie będzie pamiętał, że jego wspomnienia coraz bardziej rdzewieją i kruszą się, by w końcu zniknąć. Nie

chciałem tego sprawdzać.

Robił wrażenie człowieka umierającego z głodu, lecz nie z głodu fizycznego, tylko głębszego, duchowego.

- Mógłbym zajrzeć do *Pamiętników Malte-Lauridsa Brigge*? - spytał załamującym się głosem. - Tylko raz.

Rozumiałem, dlaczego o to prosi. Niektóre książki mają dar uzdrawiania, potrafią nadać życiu sens. Przekonałem się o tym na własnej skórze, szukając pocieszenia za półkami w naszym antykwaracie. Czy *Pamiętniki* dodadzą mu sił i pomogą odzyskać wspomnienia?

Pobiegłem do cenzorni i wyjąłem je z pudła. Pożółkłe kartki były tak wyblakłe, jakby pod najłżejszym dotykiem miały rozpaść się w proch. Wróciłem do pokoju przesłuchań i położyłem książkę na stole. Dong-ju przesunął drżącą ręką po starej okładce, jakby była to twarz ukochanej kobiety. Powoli przewrócił kilka kartek i znieruchomiał. Zerknąłem ukradkiem na fragment, który czytał:

Sądzę, że powinienem zacząć jakąś pracę, teraz, kiedy uczę się patrzeć. Mam dwadzieścia osiem lat i właściwie nic się nie stało. Powtórzmy: napisałem o Carpacciu studium, które jest złe, dramat, który się zowie *Małżeństwo* i coś fałszywego usiłuje dowieść dwuznacznymi środkami, i poezje. Ach, te poezje to takie nic, kiedy się je pisze za młodu. Powinno się z tym czekać i gromadzić sens i słodycz przez całe jedno życie, i to długie, o ile możliwości, a potem na samym końcu, może potem mogłoby się napisać dziesięć dobrych wierszy.

Poezje nie są bowiem, jak ludzie sądzą, uczuciami (uczucia miewa się dość wcześnie) - są doświadczeniami. Gwoli jednej strofy trzeba wiele miast zobaczyć, ludzi i rzeczy, trzeba znać zwierzęta, trzeba czuć, jak latają ptaki, i znać gest, z jakim małe kwiaty otwierają się o świcie. Trzeba umieć myśleć wstecz o drogach w nieznanym stronach, o niespodzianych spotkaniach i rozstaniach, których nadejście widziało się dawno - o dniach dzieciństwa jeszcze nie wyjaśnionych, o rodzicach, których się martwić musiało, skoro dziecku radość nieśli, a dziecko jej nie rozumiało (była to radość dla kogoś innego), o dziecięcych chorobach, co poczynają się tak dziwnie w tyłu ciężkich i głębokich przemianach, o dniach w cichych, bezszmernych izbach i o rankach nad morzem, o morzu w ogóle, o morzach, o nocach podróźniczych, co w dal szumiały hen w górze i z wszystkimi gnały gwiazdami - a to jeszcze nie dosyć, jeżeli komuś wolno myśleć o tym wszystkim! Trzeba mieć wspomnienia wielu nocy miłosnych, z których żadna nie była równa drugiej, krzyku rodzających i wspomnienia lekkich,

białych, śpiących połoźnic, które się zamykają. Ale i przy konających trzeba było spędzać czas, przy zmarłych trzeba było siedzieć w izbie z otwartym oknem i miarowymi szmerami. A nie wystarcza i to jeszcze, że się ma wspomnienia. Trzeba je umieć zapomnieć, jeśli jest ich wiele, i trzeba mieć tę wielką cierpliwość czekania, póki nie wróca. Bo wspomnienia same to jeszcze nie to. Dopiero kiedy krwią się staną w nas, spojrzeniem i gestem, czymś bezimiennym i nie dającym się odróżnić od nas samych, dopiero wtenczas zdarzyć się może, iż w jakiejś bardzo odosobnionej godzinie pierwsze słowo poezji wstanie pośrodku nich i z nich wyjdzie.*

* Przekład Witolda Hulewicza.

Zdania Rilkego kipiały namiętnością. Wiedziałem, że ta sama pasja kipi w Yunie. Może rozumiał tę książkę intuicyjnie, bo zbliżał się do wieku, kiedy Rilke ją pisał. Miałem nadzieję, że i ja potrafię ją zrozumieć, gdy skończę dwadzieścia sześć lat.

Pogłaskał kartkę. I wtedy to się stało. Książka mogła nie poznać mnie, ale ja poznałem książkę. Wyrwałem mu ją i szybko przerzuciłem kartki. Kiedy znalazłem to, czego szukałem, omal nie zasłabłem. Jedno ze zdań, które czytałem przed laty, było podkreślone ledwo widoczną linią.

Nie chciał wierzyć zrazu, iż całe długie życie upłynąć może, zanim się stworzy pierwsze, krótkie, pozorne zdania, które nie mają treści.

Dawno temu, pewnego jesiennego dnia, gdy przycupnałem w kącie naszego zakurzonego antykwiariatu, poczułem nieprzeparty wprost głód literatury, którego nie potrafiłem stłumić. Wieczorem, gdy wracaliśmy do domu, matka powiedziała mi o młodym Koreańczyku, który prosił, żeby zarezerwować dla niego *Pamiętniki Malte-Lauridsa Brigge*, jeśli do nas trafią. Ze skruchą, ale i z lekką ulgą pomyślałem o książce ukrytej głęboko za półkami. Wiedziałem, że kiedy powołają mnie do wojska, matka znajdzie *Pamiętniki*, przypomni sobie o koreańskim studencie i da mu książkę z odciskami palców syna. Ten stary tom nas połączył. Doszło do niewiarygodnego zbiegu okoliczności: lubiliśmy tego samego poetę i to samo dzieło, było prawie tak, jakbyśmy obaj kochali się w tej samej dziewczynie.

Dong-ju przesunął *Pamiętniki* w moją stronę.

- Weź.

Zacząłem je kartkować. Tę książkę przyniósł do nas ktoś, kogo nie znałem, potem trafiła do młodego poety, by w końcu wrócić do mnie. Słowa Rilkego przewędrowały pół świata, by pocieszać i leczyć zra-

nione dusze. Tej nocy świat stał się trochę piękniejszy.

Dong-ju gubił coraz więcej wspomnień. Mamrotał do siebie po koreańsku, gdy zśliśmy do pokoju przesłuchań. Robił, co mógł, żeby zatrzymać uciekające słowa. Na dworze bezszelestnie padał śnieg.

- Mogę trochę odpocząć? - poprosił.

- Oczywiście.

Spojrzał na swoje odbicie w oknie.

- Śnieg okrywa wszystko bielą. - Powoli ruszył przed siebie, mruczac coś w swoim ojczystym języku.

Ciężkie łańcuchy wlokły się za nim, raniąc moją duszę. Skręcił nie w ten korytarz. Pomylił dobrze znaną trasę? Gdy dotarliśmy na miejsce, musiałem chwycić go za ramiona i zatrzymać, bo poszedłby dalej. W pokoju przesłuchań było bardzo zimno. Ale to mu nie przeszkadzało i zaczął mówić, kiedy tylko usiadł, jakby się bał, że słowa umrą w jego głowie i znikną bez śladu.

- *Kolejny poranek na początku świata.* Śnieg okrywa wszystko bielą / I łkają słupy telegraficzne / przekazując Boże słowa. / Cóż to za objawienie? / Gdy przychodzi wiosna / Natychmiast / grzeszę / z radością w oczach. / Natrudziwszy się przy porodzie / Ewa zakryje swoją nagość listkiem figowym / a ja będę ścierał krople potu z czoła.

Oniemiałem: grzech pierworodny, samoświadomość i ponura sytuacja. Z jego słów biła potężna wola życia, pragnienie budowania własnej rzeczywistości. Wiersz poruszył mnie tym bardziej, że Yun wyrecytował go cichym, spokojnym głosem. Odłożyłem ołówek i zadałem mu codzienną serię pytań. „Jak ci na imię?”, „Skąd pochodzisz?”, „Jaki mamy dziś dzień?”, „Kiedy wyjdiesz na wolność?”, „Jakie słowa przychodzą ci teraz do głowy?”. Nie spytałem go o numer ani japońskie nazwisko, nie kazałem mu również klepać tabliczki mnożenia. Te pytania zanieczyszczały i burzyły wspomnienia. Zasługiwał na to, żeby mógł pamiętać szczęśliwsze czasy.

- Zimą całą wioskę okrywał biały śnieg i do domów podchodziły jelenie i dziki, jak szukający jedzenia goście. Niebo zasnuwały dziecięce latawce, a dorośli polowali z sokołami. Mieszkałem niedaleko szkoły, w dużym domu z dachem pokrytym tradycyjną dachówką. Na naszym podwórzu rosła śliwa, a za domem był sad morelowy, wielkie drzewo morwowe i głęboka studnia przy wschodniej furcie. Och, owoce morwy są takie słodkie! Krzyczałem do studni, żeby usłyszeć echo, i podnosiłem głowę, żeby zobaczyć słońce na odległej kościel-

nej dzwonnicy. Chodziłem na długie spacery, przeskakiwałem nad leśnymi strumieniami, wspinałem się na wzgórza, błądziłem po wysadzanych mleciami ścieżkach, nad którymi śmigwały sroki, mijalem młode damy, czułem wiatr... - Miał rozmarzone oczy.

Milczałem, nie chcąc wrywać go z zamyślenia. Pamięć jest jak muzyka: im częściej się jej słucha, tym lepsza się staje.

Z trudem podniósł wzrok i spojrzał mi w oczy.

- Yuichi! - krzyknął. - Watanabe Yuichi!

- Tak?

Tylko się uśmiechnął. Zrozumiałem, że chciał wypowiedzieć moje imię, zanim ono też zniknie, zanim stanę się dla niego kimś obcym. Toczył zacieklą bitwę w przegranej wojnie. Ciągłe recytował Shakespeare'a i Tolstoja, Rilkego i Jammes'a. Nieustannie mówił o rodzinnym domu, o szkole, literaturze, muzyce i sztuce. Przedtem ja zadawałem mu pytania, a on na nie odpowiadał, teraz on mówił, a ja zmieniałem się w słuchacza. Gdy widziałem, jak rozpaczliwie trzyma się resztek pamięci, pękało mi serce. Ponieważ nie ufał już swojemu umysłowi, próbował przelać wspomnienia do mojego.

- Widziałeś obrazy van Gogha? - spytał nagle. - *Gwiazdzistą noc* albo *Taras kawiarni w nocy*?

Widziałem kolorowe zdjęcia tych obrazów; mieliśmy w antykwiariacie jego album, należał do moich ulubionych książek.

- Van Gogh - ciągnął - był artystą gwiazd. Uwielbiał na nie patrzeć i je malować. Pisał o nich do swojego brata Thea. Posłuchaj. - Kilka razy płytko odetchnął. - „Ale widok gwiazd zawsze mnie rozmarza w równie prosty sposób, jak czarne punkty wyobrażające na mapie miasta i wsie. Dlaczego, powiadam sobie, świetlne punkty na firmamencie miałyby być dla mnie mniej dostępne niż czarne punkty na mapie Francji? Udamę się do Taraskonu czy do Rouen, wsiadamy do pociągu; kiedy wybieramy się do gwiazd, śmierć jest naszym środkiem lokomocji. Jedno jest niewątpliwe w tym rozumowaniu: żywi nie możemy pojechać na gwiazdę, tak samo jak nie możemy wsiąść do pociągu umarli. (...) Umrzeć spokojnie ze starości znaczyłoby pójść do nieba pieszo”*

* Vincent van Gogh, *Listy do brata*, przeł. Joanna Guze, Warszawa 1970.

Był niespokojny.

Wiedziałem, że nie może spać, że bezsenność wprawia go w jeszcze większą irytację. Zaprowadziłem go do podziemnej biblioteki z nadzieją, że podniesie go to na duchu.

Rozejrzał się po słabo oświetlonym wnętrzu.

- Nie chciałem, żebyś się o niej dowiedział. To zbyt niebez-

pieczne.

- Ale się dowiedziałem - odparłem wystraszonym głosem. - Nie wiem, co robić. Jeśli ktoś ją odkryje, żaden z nas nie będzie bezpieczny. - Żałowałem, że nie pobiegłem do Maedy zaraz po tym, jak znalazłem to wilgotne podziemne pomieszczenie. Teraz było już za późno i mogłem tylko żyć dalej w ciągłym strachu.

Dong-ju chwycił mnie za ramiona.

- Nawet jeśli kiedyś ją odkryją, nic o niej nie wiesz.

- Nie wydasz mnie?

- Nawet gdybym chciał, nic nie będę pamiętał. Niedługo zapomnę pewnie i tę chwilę. - Uśmiechnął się gorzko i powiódł palcem po grzbietach książek, jakby chciał na wieki wyryć w głowie ich tytuły. - A wraz z nią te piękne książki. Jakbym nigdy o nich nie słyszał. Będziesz mi musiał przypominać, że kiedyś je czytałem. - Wokół jego bladej twarzy unosiły się obłoczki pary.

Wyglądało to tak, jakby z każdym oddechem tracił część duszy.

Wyrecytował z pamięci kolejny wiersz:

- *Szpital*. Osłaniając twarz cieniem drzewa morelowego, leżąca na szpitalnym dziedzińcu młoda kobieta w białym szlafroku opala białe nogi. Choruje na gruźlicę i nawet motyl jej nie odwiedza. Drzewo nie jest nieszczęśliwe, chociaż nie omywa go najslabszy wiatr. / Pierwszy raz przyszedł tu, bo długo dręczył mnie nieznany ból. Ale stary lekarz nie wie, jaka choroba toczy moją młodą duszę. Mówi, że jestem zdrowa. Ten nadmierny trud, to nadmierne zmęczenie, nie powinnam się gniewać. / Kobieta wstaje, poprawia szlafrok, zrywa w ogrodzie nagietek, tuli go do piersi i znika w szpitalu. Życzę jej - sobie również - aby szybko wyzdrowiała. I kładę się na jej miejscu.

- Nic ci nie będzie. - Powiedziałem to bardziej po to, żeby uspokoić siebie, nie jego. - Lekarze mówią, że efekty uboczne miną. Wyjdiesz stąd trzydziestego listopada, będziesz pisał i publikował wiersze. Po wojnie, gdy świat stanie się lepszy, będą je czytały tysiące ludzi.

- Byłoby miło - odrzekł z uśmiechem. On też liczył chyba na szczęśliwe zakończenie.

Ale ja bałem się w głębi serca, że wszystko skończy się inaczej.

NAZWISKA ZUBOŻAŁYCH SĄSIADÓW I FRANCIS JAMMES, RAINER MARIA RILKE...

Nowy Rok nie przyniósł nic nowego. Zima nie odpuszczała, nie było ani śladu wiosny. Ale coś poszło nie tak, na wojnie działo się nie najlepiej i Japonia zaczynała przegrywać. Nikt nie mówił tego na głos, lecz każdy o tym wiedział. Ludzie wpadli w odrętwienie, wszystkich błyskawicznie ogarnął niepokój. Gniewny głos z radia nawoływał do rozstrzygającej bitwy w obronie cesarstwa. W całym mieście rozwieszono plakaty nakazujące bronić kraju do ostatniej kropli krwi. Nie byłem przekonany, czy zwycięstwo przyniesie nam coś więcej niż tylko jeszcze więcej trupów i roztrzaskanych sumień.

Więzienie przestało być bezpieczną strefą. W środku nocy nad miastem zawisł olbrzymi cień. Huk wybuchów zagłuszył przeraźliwe krzyki, a potem zapadła cisza. Ulice utonęły w morzu płomieni, by następnie lec w gruzach. Spłonęło dosłownie wszystko, miłość, wiara, nadzieja i marzenia. W styczniu, po ciężkim bombardowaniu, runęło dwadzieścia metrów muru w północnej części więzienia. Bomby pokryły kraterami dziedziniec, doszczętnie spłonęły dwie topole na wzgórzu. Ilekroć zawyła syrena, przerażeni strażnicy biegli do schronów, choć samoloty nadlatywały czasem bez ostrzeżenia.

Wszystko zależało teraz od zdolności obronnej kraju, dlatego na rozkaz naczelnika Hasegawy dokonano przeglądu budynków. Oddziały nowsze, Czwarty, Piąty, Szósty oraz szpital, wypadły, dobrze, bo mieszczące się tam klatki schodowe i korytarze prowadziły bezpośrednio do solidnych podziemnych schronów. Problem stanowił stary gmach główny, gdzie piwnic nie było. Bojąc się odwetu za Pearl Harbor, naczelnik chciał zbudować schron, ale ustalono, że kopanie pod gmachem może doprowadzić do jego zawalenia. Ostatecznie wzniesiono oddalony o trzydzieści metrów schron zewnętrzny, jednak podczas nalotów bez ostrzeżenia strażnicy nie zdążali tam dobiec.

Pewnego wczesnego ranka skończyłem służbę i przecierając oczy, wyszedłem z pokoju. Minęła mnie grupa strażników idących spieszenie głównym korytarzem. Nie wiedziałem, co się dzieje - biuro kon-

troli świeciło zwykle pustkami. Gdy zobaczyłem, że strażnicy wchodzi do biblioteki, poczułem na plecach zimny pot. Czyżby mieli odkryć naszą tajemnicę? Pobiegłem tam chłostany dudnieniem własnych kroków. Dopadłem otwartych na oścież drzwi. Strażnicy rozmawiali ze sobą w progu - posłali mi dziwne spojrzenie i zrobili przejście. Wszedłem do środka, modląc się, żeby nie załamały się pode mną nogi.

Biurka i stojące pod ścianą półki zniknęły. Podłoga była zerwana. Z czarnej paszczy pod spodem sączyło się słabe światło. Powoli przybliżyłem się i wąskimi schodami zszedłem na dół. Mimowolnie zamknąłem oczy.

Wszystkie półki leżały roztrzaskane, a książki rozrzucone na podłodze.

W otoczeniu strażników stał tam Maeda ze śmiertelnie poważną miną. Chwycił jedną z zaczerwienionych książek i syknął:

- Te koreańskie dupki przekopały się do centralnej części więzienia. Zrobiły sobie plac zabaw!

Rozejrzałem się wstrząśnięty.

- Wynieść wszystko na dziedziniec! - krzyknął Maeda. - I puścić z dymem! Na ich oczach! Dowiedzieć się, czyja to sprawka!

Zamarłem.

Rozwścieczony Maeda trzasnął pałką w udo i wyszedł. Pozostali zaczęli zbierać porwane książki i wynosić je na górę. Ja też podniosłem kilka. *Podróże Guliwera, Wielkie nadzieje, Sonety Shakespeara, Wiersze Jeonga Ji-yonga*. Nie mogłem uwierzyć, że te piękne opowieści zostaną zaraz spalone.

Podszedł do mnie strażnik starszy stopniem.

- Chyba musimy podziękować tym przekętym jankesom - powiedział. - Gdyby nie bombardowania, nigdy byśmy nie wykryli tej szurzej nory.

Musiałem mieć zaskoczoną minę.

- Maeda przejrzał plany konstrukcyjne z czasów, gdy budowano gmach główny. Chciał, żeby wykopać tu schron. Tak odkrył tę piwnicę. Kiedyś mieścił się tutaj pokój przesłuchań. Pomieszczenie było gotowe, więc moglibyśmy zaoszczędzić czas i pieniądze. Wystarczyło je tylko poszerzyć i wzmocnić. Więc poszliśmy sprawdzić, gdzie są ściany działowe i belki. Schodzimy na dół, a tu szambo!

Moje serce klekotało jak rozlatujący się wózek. A jeśli Maeda odkryje, że maczałem w tym palce? Pomyślałem o matce i moje oczy zasły mgłą ze smutku i strachu.

Strażnik splunął z odrazą.

- To pismo Sugiyamy, bez dwóch zdań. Dałbyś wiarę, że był wzmowie z Koreańcami? Dureń. Tak to jest, kiedy się z nimi zadajesz. Tracisz życie.

A więc nie podejrzewali mnie. Byłem bezpieczny. Ukradkiem wytarłem oczy.

- Po co mieliby go zabijać, skoro im pomagał?

- Oni tak lubią. Za przysługę odpłacają zemstą. A może Sugiyama chciał ujawnić ich tajemnicę.

Zawyła syrena, wzywając więźniów z Oddziału Trzeciego na apel na wojskowym placu ćwiczeń. Osadzeni ustawili się w szeregu, drżąc z zimna i strachu i unikając mściwych spojrzeń strażników.

- Przyznaliśmy wam za dużo specjalnych przywilejów! - zagrział Maeda. - Jesteście bandą wywrotowców i kryminalistów! Nadużyliście naszej dobrej woli. Dziś rano wykryliśmy kolejny spisek. Więc teraz patrzcie!

Nadszedł strażnik z wózkiem - ustawił go naprzeciwko podwyższenia. Nadszedł następny i jeszcze jeden - sterta książek rosła. Jeden z tych starszych wylał na nią puszkę nafty. Stałem na baczność odurzony trującymi oparami.

- Watanabe! Podpalaj! - Głos Maedy mroził krew w żyłach.

Drgnęło mi serce. Może nie zauważy, że jestem zdenerwowany. Wiedziałem, że muszę mu pokazać, jak głęboko gardzę tymi zakazanymi drukami. Pstryknąłem zapalniczką, zatańczył błękitny płomyk. Maeda obserwował mnie zimnymi, błyszczącymi oczami. Trzęsącą się ręką podniosłem książkę. Zalatywała naftą i miała prawie przezroczyście kartki.

Przypomniał mi się fragment ze *Zbrodni i kary*:

Gdzie to ja czytałem - rozmyślał Raskolnikow idąc dalej - gdzie to ja czytałem, jak pewien człowiek, skazany na śmierć, na godzinę przed straceniem mówi czy też myśli, że gdyby mu wypadło żyć gdzieś na wyżynie, na skale, na takim wąziutkim upłazie, że tylko dwie stopy się zmieszczą - a dokoła będą przepaści, ocean, wieczny mrok, wieczna samotność i wieczna burza - i że ma tak pozostawać, stojąc na kwadratowym łokciu przestrzeni, całe życie, tysiąc lat, wieczność - to lepiej tak żyć niżli zaraz umrzeć! Byle żyć, żyć i żyć! Jakkolwiek - byle żyć!.. Jakież to prawdziwe! Boże, jakie prawdziwe!*

* Fiodor Dostojewski, *Zbrodnia i kara*, przeł. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, Warszawa 1984.

Nie potrafiłbym napisać czegoś, co ukazałoby sens życia z równie głęboką, prowokującą do myślenia przenikliwością. Czytając ten

fragment, nabrałem przekonania, że rozmawiam z Dostojewskim. Żyliśmy w różnych czasach i miejscach, ale mieliśmy te same marzenia i odkryliśmy tę samą prawdę. W tym momencie, dokładnie w chwili, gdy kazano mi spalić jego arcydzieło, wyraźnie ujrzałem jego duszę.

Więźniowie patrzyli na płomyk drżący nad moimi palcami. Wśród pustych spojrzeń wypatrzyłem dwoje czystych, głębokich oczu. Spotkaliśmy się wzrokiem i twarz Yuna pojaśniała. Wmawiałem sobie, że szepcze: „Podpal je, Yuichi. Książki nie umrą”. W tym momencie moje palce rozluźniły się i zapalniczka wypadła mi z ręki. Nasiąknięty naftą papier wessał płomień i buchnął słup ognia. Zatrzeszczały deski, wiatr rozwiął płomień, w niebo poszedł czarny dym, uderzyła w nas fala gorąca.

- Patrzcie uważnie! - krzyknął Maeda z chmury dymu. - Oto, co się dzieje, gdy ktoś zdradza imperium!

Centymetr po centymetrze, osadzeni przysunęli się do szalejącego ognia, ukradkiem podnosząc przemarznięte nogi, żeby je trochę ogrzać. Dong-ju obserwował płomień z pustą twarzą, jakby nie miał siły na smutek czy gniew. Może tak było najlepiej, bo wszyscy ogrzali się przez chwilę przy płonącym stosie. Ale kiedy książki zmieniają się w popiół, kiedy zgaśnie ostatnia iskierka i hulający po czarnym dziedzińcu wiatr rozwieje resztki ogniska, co wtedy pocieszy te wszystkie wyniszczone dusze?

Zebraliśmy się w gabinecie naczelnika. Hasegawa spoglądał przez okno zasłonięte cienką firanką.

- Głośno tam - rzucił głosem łagodnym, a jednocześnie poirytowanym.

- Koreańczycy wywołali incydent z zakazanymi książkami - zameldował pompatycznie Maeda. - Na szczęście wykryłem spisak i pokrzyżowałem ich plany, zanim zdążyli narobić szkód. Co więcej, możemy teraz zrealizować ważne zadanie, jakim jest budowa schronu pod gmachem głównym.

Potem przyszła kolej na mnie; musiałem zdać krótki raport, ponieważ do przestępstwa doszło na moim terenie.

Hasegawa pyknął z fajki.

- Dobrze. Dowiedźcie się, kto to zrobił. I przykładowo go ukarście. Schron musi być gotowy jak najszybciej!

Maeda już przedtem rozkazał jednemu ze starszych stopniem

strażników skatować wszystkich piśmiennych Koreańczyków, aby w ten sposób znaleźć przywódcę spisku i jego współników.

- Złapiemy ich i powiesimy - powiedział z przekonaniem.

Naczelnik postukał fajką w popielniczkę.

- Nie ma sensu. Wszyscy Koreańczycy są tacy sami. Każdy jest przywódcą i współnikiem. To świnię. A świnię pozostanie świnią bez względu na to, czy wygląda le piej, czy gorzej od innych.

Maeda oblizał usta.

- Słusznie, to świnię. Zatrzymam kilku odpowiedzialnych i nie będzie więcej problemów. - Z błyszczący mi oczami niecierpliwie czekał na zgodę naczelnika.

Hasegawa ssał przez chwilę pustą fajkę.

- Bez sensu. Schron będzie tylko dla nas. Ta hołota i tak zginie podczas jankeskich nalotów.

W nocy usiedliśmy naprzeciwko siebie w pokoju przesłuchań. Widziałem, że Yun chciałby wrócić do tego, co zaszło za dnia, ale byliśmy zbyt zmęczeni.

Długo milczeliśmy, wreszcie spytał:

- Zaprowadzisz mnie do podziemnej biblioteki?

- Po co? - krzyknąłem, zrywając się z krzesła. - Książki spalono. Już ich nie ma.

Dong-ju powoli wstał.

- Nie szkodzi. Książki zniszczono, lecz ich dusza wciąż żyje. Wciąż słyszeć ich głos.

- To już koniec! Spaliłem je tą ręką! - Zadrzałem targany emocjami. Wszystko się ze mnie wylało, żal, poczucie winy, bezsilność i pustka po bezbrzeżnej stracie.

- To nie twoja wina, Yuichi. - Dong-ju poklepał mnie po plecach.

- Nie oskarżaj się. Wszyscy musimy przetrwać. Inaczej nie doczekamy końca wojny. Pamiętaj, przetrwać znaczy wygrać. Trupy nie wiwatują.

- Ale ja nie przetrwam, jeśli nie stanę się zły.

- Jeśli zmuszają nas do tego czasu, dobrze, bądźmy źli. Jednak zachowajmy ludzkie serce. Tak jak Sugiyama.

- Nie mogę patrzeć na to, co zniszczyłem.

- Nic nie zniszczyłeś. Spaliłeś tylko papier. Słowa tryskają życiem jak nigdy dotąd.

Wytarłem rękawem oczy. Nie miałem pojęcia, o czym Yun mówi.

Tym razem to on pomógł mi wstać i powlokłem się za jego brzęczącymi kajdanami. Zeszliśmy schodami na dno ziejącej w podłodze dziury. Podniosłem lampę. Piwnica była pusta, ale wciąż unosił się w niej zapach papieru. Dong-ju zrobił kilka kroków. Przystanął i podniósł z podłogi kartkę. Jakimś cudem ocalała. Trzymał ją ostrożnie jak ptaka ze złamanym skrzydłem.

- *Cierpienia młodego Wertera.*

Serce zaczęło walić mi jak młotem. Historia młodego Wertera zaczynała się czwartego maja 1771 roku - „O jakże cieszę się, że wyjechałem! Powiesz drogi przyjacielu, że niewdzięcznym jest serce człowieka?” - i kończyła listem, który wysłał do Loty dwudziestego drugiego grudnia: „Nabite! Bije północ... Już czas! Loto! Loto, bądź zdrowa... żegnam cię!”.

Grając na fortepianie pewną melodię, posiada potęgę anioła, prostotę i uduchowanie niepojęte. Jest to jej pieśń umiłowana, a gdy postyszę pierwszą nutę, wolnym się czuję od całej udręki, zmieszania i urojeń moich.

W chwili, kiedy owłada mną owa prosta melodia, prawdopodobnym staje mi się wszystko, co powiadają o czarodziejskiej potędze muzyki w czasach zamierzchłych. A ona z przedziwnym odczuciem ima się tego środka w momencie, kiedy rad bym sobie wpakować kulę w głowę. Wówczas znika obłęd, pierzchają mroki z mej duszy i oddycham znowu swobodnie.*

* Przekład Franciszka Mirandoli.

Kiedyś słowa te nic dla mnie nie znaczyły. Ale teraz zrozumiałem Wertera: byliśmy tacy sami. Młody Werter myślał o ukochanej Locie grającej na fortepianie, tak jak ja, gdy słuchałem Midori.

Dong-ju przeczytał fragment dwa razy, potem starannie złożył kartkę i schował ją do kieszeni.

- Tyle książek chciałbym przeczytać. Martwi mnie, że robię się coraz powolniejszy. Już po kilku stronach nie pamiętam, co było przedtem. Nie potrafię wychwycić związku. Zapominam, co znaczą niektóre słowa, nie rozumiem długich zdań. Słowa i frazy mieszają się ze sobą, płaczą się wątki...

- To normalne - powiedziałem, żeby odpędzić jego zmartwienia. - Czasem wydaje mi się, że Tolstoj napisał *Braci Karamazow*, a André Gide *Czerwone i czarne*. Ludzka pamięć nie jest doskonała. Potrafimy pamiętać, ale i zapominać.

Yun rozejrział się. Może myślał o spalonych wierszach, fragmentach swojej duszy, które odeszły w niebyt, nie dotknąwszy innego

człowieka.

- Sugiyama spytał mnie kiedyś, dlaczego Koreańczycy tyle mówią. O czym rozmawiają podczas przerwy...

Mnie też to zastanawiało. Dong-ju zerknął na mnie i dodał:

- Rozmawiają o Jeanie Valjeanie, Jammes'ie, o Shakespeare.

Musiałem się przesyśleć. Jak to?

- Jakim cudem? Większość z nich to analfabeci.

- Ci, którzy trafiali do karceru, byli piśmienni, ale nie czytali tylko dla siebie. Przez tydzień starali się nauczyć na pamięć jak największego fragmentu książki. Potem wracali do celi, recytowali go kolegom, a ci wszystko zapamiętywali. Stronę po stronie, rozdział po rozdziale, wiersz po wierszu.

Yun się uśmiechnął.

- Cela sto trzynaście zna wiersze Jammes'a, sto piętnaście *Nędzników*, sto dziewiętnaście *Hrabiego Monte Christo*. Popołudniowe przerwy były naszym targowiskiem. Więźniowie wymieniali się zapamiętanymi opowieściami, a ich słuchacze przekazywali je innym. W ten sposób dzielili się nadzieją i podtrzymywali na duchu.

A więc książki zapuściły korzenie w ludzkich sercach i wciąż żyły. Żyły i oddychały w tym okrutnym więzieniu.

Do przebudowy podziemnej biblioteki w schron wyznaczono dziesięciu więźniów. Sufit wzmocniono belkami, ściany wyłożono grubymi deskami. W ledwie trzy dni piwnica powiększyła się czterokrotnie, tak że mogło się tam schronić czterdziestu kilku strażników z gmachu głównego.

Bomby spadały codziennie. Śmierć stała się czymś jeszcze bardziej pospolitym. Kiedy zawyła syrena, biegliśmy do piwnicy i przykucałem pod wałem ziemnym, wyobrażając sobie, co dzieje się na górze. Ale budowniczkowie schronu nie tylko nie mieli się gdzie schronić - nie powiedziano im nawet, co robić podczas nalotu. Wszystko słyszeli - wizg śmigieł nadlatującego preludium do śmierci, wycie syreny, wybuchy - nie mając dokąd uciec. Mogli się tylko modlić, żeby bomby spadły gdzie indziej. Siedząc w schronie, czułem głęboki wstyd, bo skazywaliśmy tych ludzi na śmierć, a sami czmychaliśmy do bezpiecznej nory.

Pewnego dnia, gdy się tam kuliliśmy, usłyszeliśmy głośny wybuch. Zamrugała żarówka pod sufitem. Obsypało nas ziemią, lecz nikt nie zginął. Moi koledzy, podekscytowani tym, że udało im się prze-

żyć, wychodzili ze schronu, śmiejąc się i rozmawiając jak chłopcy wracający do domu po zabawie w chowanego. Przepchnąłem się między nimi i pobiegłem na Oddział Trzeci, w którym bomby spowodowały stosunkowo niewielkie zniszczenia. Znalazłem Yuna. Miał głowę obsypaną białym pyłem, ale żył. Gdy spotkaliśmy się wzrokiem, zadrżały mu usta.

NADMIERNY TRUD, NADMIERNE ZMĘCZENIE

Noga za nogą dowlókł się do krzesła. Spod nogawek jego przetartych spodni wystawały białe kostki. Idąc, trzeszczał jak zepsute okno. Splótł palce na stole. Od mrozu pękł mu paznokciec na kciuku. Zapadniętymi oczami szukał mojego wzroku. Przyprowadziłem go do pokoju przesłuchań, ponieważ chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o Sugiyamie. Miał coraz słabszą pamięć. Musiałem zdobyć te informacje, dopóki jeszcze mogłem.

- Ty wiesz, kto go zabił - rzuciłem otwarcie.
- Tak. Straszne czasy. Wszyscy popadają w obłęd. Wszyscy umierają. - Mówił zupełnie nie jak on.

Milczałem.

- Życie to najpiękniejsza rzecz - ciągnął, odzyskując dawny optymizm. - Przetrwąć to piekło może tylko tchórz. Jednak lepiej jest stchórzyć niż zginąć śmiercią bohatera. Musisz przeżyć wojnę i na własne oczy zobaczyć kres tych wszystkich potworności. Obiecuj, że przeżyjesz.

Zmieniłem temat.

- Myślisz, że Sugiyama nosił maskę zła, żeby przeżyć?

Yun pokręcił głową.

- Nie. Nie. On był zły. Ale wstydził się tego i maskował to brutalnością.

- Jak to?

Dong-ju zawahał się i spojrzał na swoje ręce.

- Widzisz, on nie był bohaterem. On tylko przeżył. Dlatego tak siebie nienawidził.

- Co to ma wspólnego z jego brutalnością?

- Wymierzał sobie karę. Niszczenie innych zabijało jego duszę. Odmawiając więźniom ludzkiego traktowania, sam stawiał czoło wypełniającej go wściekłości i nienawiści.

To nie miało sensu. Na współczucie zasługiwała ofiara przemocy, a nie kat. Znałem Sugiyamę: był nieczuły na ból innych. Co więcej, wydawało się, że ból ten go cieszy.

- Okrucieństwo jest po prostu niemoralne - odparowałem. - W ten sposób nie da się wymierzyć sobie kary. Twoja teoria miałaby sens, gdyby Sugiyama zrobił sobie krzywdę albo popełnił samobójstwo.

Dong-ju przemyślał to i kiwnął głową.

- To prawda, ale musisz wiedzieć, że miał bardzo wrażliwą duszę. Był poraniony i załamany.

- Nie tylko - przeciwstawiłem się - Sugiyama był bohaterem wojennym. Otoczyła ich sowiecka brygada zmechanizowana z dziesiątkami czołgów. A on zaatakował nocą ich bazę. Zanim wrócił do swoich, przez dwa tygodnie unikał kul.

- Nieprawda - upierał się Yun. - To historyjka sfabrykowana przez Ministerstwo Wojny. Zrobili z niego bohatera, żeby ukryć fakt, że zdziesiątkowano jego oddział. Sugiyama nie był bohaterem. Był zwykłym człowiekiem, jak każdy z nas. I chciał uciec.

- Co ty mówisz? A więc Sowieci go nie otoczyli?

Dong-ju milczał przez chwilę.

- Cóż...

Tak, jednak ich otoczyli. Dziewięciu żołnierzy z jego oddziału, w tym Sugiyama, wyruszyło na zwiad w poszukiwaniu trasy, którą mogliby się wycofać. I wtedy Sowieci zaatakowali. Czterech zwiadowców zginęło na miejscu, a jego schwytano. Przez dziesięć dni poddawano go okrutnym torturom; potem nic z tego nie pamiętał. Zło zżerało jego duszę, więc stopniowo on też stawał się zły. Tylko tak mógł z tym walczyć. A ponieważ od urodzenia znał jedynie ból, to przetrwanie stało się dla niego zwycięstwem. Śmierć zaś przegraną, osamotnieniem i wstydem.

Sowieci nie rezygnowali. Najpierw go odwodnili, a potem zażądali, żeby zdradził im pozycję swojego wciąż ukrywającego się plutonu. Gdy odmówił, dręczyli go, polewając wodą ziemię kilka kroków przed nim. Ale Sugiyama się załamał. Przez trzy dni nie pozwalał mu zasnąć. Wkrótce stracił poczucie czasu i nie wiedział już, jak długo go przetrzymują ani nawet jakie nosi nazwisko. Żeby się przypadkiem nie wygadać, rozpaczliwie pragnął zapomnieć również, gdzie są jego koledzy, co planują i jakich używają sygnałów. Mdlął, odzyskiwał przytomność i znowu mdlał. Wszystko wokoło pachniało jak krew. Straciwszy panowanie nad świadomością, wypluwał fragmenty słów, nie wiedząc, co mówi.

Gdy otworzył oczy, zamiast zapachu krwi poczuł zapach czegoś świeżego. Pomyślał, że umarł. I że jest w piekle. Jednak rozejrzawszy się, stwierdził, że trafił do nieba. Obok łóżka stał kubek wody i miska wodnistego kleiku. Był w sowieckim szpitalu polowym.

Dotknął nóg. Miał zdartą do krwi skórę na kolanach i był poparzony, lecz kości miał całe. Wyrzął przez szparę między połami namiotu. Przed każdym z czterech dużych namiotów stał wartownik. Sugiyama musiał uciec. Wciąż tliła się w nim iskierka nadziei. Nawet jeśli Sowieci wiedzieli, gdzie jest oddział, jego towarzysze pewnie już zmienili pozycję. Gdyby szedł po ich śladach, mógłby do nich dołączyć. Wyciągnął z ziemi palik od namiotu. Początkowo zamierzał zadźgać wartownika i ukraść jego karabin, ale się rozmyślił - jego celem była ucieczka, a nie zabijanie. Rozprostował osłabione nogi i jeszcze raz wyrzął z namiotu. Sto metrów dalej zaczynał się gęsty brzozowy las.

Policzył do trzech, zamknął oczy i pobiegł tak szybko, że prawie nie dotykał nogami ziemi. W każdej chwili kula mogła roztrzaskać mu kręgosłup. Wiatr smagał mu twarz i gwizdał w uszach. Ale wkrótce zapadła cisza. Poczuł zapach zwiędłych liści. Otworzył oczy. Zdołał dotrzeć do ciemnego lasu. Wchłonęły go drzewa. Nie wiedział, w jakim idzie kierunku; grube gałęzie chłostały jego twarz, cienkie promyki słońca kłuły go w oczy, korzenie chwyciły za nogi, dzikie pnącza krępowały mu ręce. Drżały mu nogi i miał mdłości. Ilekroć czuł, że zaraz zemdleje, myślał o swoich towarzyszach i parł naprzód. Szedł tak cały dzień i całą noc, potem następny dzień i następną noc, wreszcie dotarł do kryjówki plutonu. Ale jego kolegów już tam nie było. Zgodnie z planem zmienili pozycję. Dwa dni później omal ich nie dogonił. Żywił nadzieję, że wybaczą mu, iż zdradził Sowiecom miejsce ich pobytu. Jeśli miał ponieść śmierć, chciał zginąć wraz z nimi. Od oddziału dzieliło go tylko jedno wzgórze. Już wczłogiwał się na strome zbocze, gdy usłyszał długi gwizd śmierci: przelatujący nad głową pocisk. Eksplozje, wystrzały, krzyki - w lesie wybuchł chaos.

Przytrzymując się gałęzi i korzeni, Sugiyama parł naprzód. Był brudny i zlany potem. Wdrapawszy się na szczyt, zobaczył, co zaszło. Sowieci zaatakowali pluton. Wyprzedzili go o krok. Drzewa wyglądały jak słupy ognia. Las doszczętnie spłonął. Ziemia była ciepła od wybuchów. Sugiyama właściwie stoczył się na dół. Zaczął wołać kolegów. Nikt mu nie odpowiedział. Spojrzał na przeciwległe wzgórze i w tym momencie oślepił go błysk eksplozji. Usłyszał wystrzał, który rozdarł ciszę, i upadł jak po ciosie pałką. Miał zakrwawione ramię. Przytknął policzek do ziemi, wsłuchując się w potrzaskiwanie

płonących drzew - brzmiało jak muzyka. Przypomniały mu się długie białe palce dziewczyny, którą kiedyś kochał. Nie, to nie był zły sposób na umieranie.

Gdy się ocknął, w lesie było już chłodno. Z trudem dźwignął ciężkie powieki. I zobaczył owijacze, część japońskiego munduru. Należały do członka grupy poszukiwawczej Armii Kwantuńskiej, którą wysłano na ratunek odciętemu plutonowi. Przybyli za późno. Znaleźli tylko jednego umierającego żołnierza. Sugiyama zamknął oczy. Jak z tunelu dobiegł go czyjś głos:

- Ten jeszcze żyje! Ewakuacja!

Potem usłyszał tupot nóg i poczuł, że podnoszą go z ziemi. Zrobił swoje: przeżył. Przez resztę życia zastanawiał się, czy powinien był umrzeć w tym lesie. Długo nie mógł zapomnieć, co wtedy widział. Do jego duszy wkradł się demon i już tam pozostał.

Głęboko westchnąłem.

- A więc twierdzisz, że Sugiyama był okrutny, bo miał wyrzuty sumienia. Próbował odpokutować za to, że zdradził towarzyszy.

Dong-ju przeczesał ręką szczeciniaste włosy.

- Może nie myślał o tym w ten sposób, ale tak, tak było.

- To bez sensu.

- Myślał, że to przez te tortury. Że gdyby Sowieci go nie torturowali, nic by im nie powiedział.

- Co to ma wspólnego z tym, jak traktował więźniów?

- Możliwe, że tylko tak mógł przetrwać - odparł tajemniczo Yun.

- Judasz powiesił się trzy dni po zdradzie Jezusa. A Sugiyama przeżył.

Ciekawe. A więc ilekroć Sugiyama miał wyrzuty sumienia, przypominało mu się, jak go torturowano, i myślał wtedy o swoich martwych kolegach. Straszne wspomnienia rodziły kolejne zło i tak powstawał nierozzerwalny łańcuch.

- Jak można za coś odpokutować, jeśli wciąż postępuje się źle?

- Myślę, że musiał na własne oczy zobaczyć, że człowiek jest bezsilny w obliczu bólu. Musiał się upewnić, że nikt nie zniesie okrutnego traktowania.

Trudno mi było się w tym połapać.

- Czy on naprawdę zdradził Sowiecom pozycję swojego plutonu?

- Nie wiadomo. On też tego nie wiedział. Ale to go zniszczyło. - Yun pokręcił głową.

- Nie sądzę, żeby zdradził - powiedziałem cicho. - Moim zda-

niem zdawał sobie sprawę, że Sowieci go oszukują. Pozwolili mu uciec właśnie dlatego, że nic nie powiedział. Musieli za nim iść. I kiedy zaprowadził ich na miejsce, rozbili pluton.

- Dlaczego tak myślisz?

- Gdyby zdradził, uderzyliby o wiele wcześniej. I nie byłby świadkiem ataku. Jego duszę zniszczyło skruszone sumienie.

Wciąż miałem wątpliwości, czy Sugiyama to dobry człowiek, i wciąż nie wiedziałem, co myśleć o jego śmierci.

CHÓR HEBRAJSKICH NIEWOLNIKÓW

Nastał luty. Powoli, powolutku, zbliżał się dzień zwolnienia Dong-ju. Tylko że on coraz częściej o tym zapominał.

Jakiś czas po śmierci Sugiyamy przestał pisać listy dla osadzonych. Pewnego dnia odciągnąłem na bok przyjaźniej nastawionego koreańskiego więźnia, który często wysyłał kartki do rodziny. Spytałem go, dlaczego przestał.

Koreańczyk westchnął.

- Żeby wysłać kartkę, trzeba mieć dobre nowiny. Jeśli są złe, lepiej, żeby rodzina o tym nie wiedziała.

Ale w ogóle dlaczego wszyscy ci Koreańczycy go o to prosili?

- On umie przedstawić najgorszą wiadomość tak, jakby była najpiękniejsza. Ludzie umierają z zimna, a on pisze: mróz dodaje mi energii. Cele są zatłoczone, a on: dzięki temu, że jest nam ciasno, przeżyjemy zimę. Nigdy nie kłamał. Po prostu ubierał prawdę w miłe, ciepłe, pocieszające słowa. Pokazywał nam, że nawet o najgorszych rzeczach można myśleć jak o najlepszych. Dlatego tylu z nas do niego chodziło. Ciekawe, czy kiedyś znowu będzie nam pomagał.

Nie miałem na to odpowiedzi.

Kuśtykając, wojna wlokła się dalej. Nie było jedzenia, nie było ubrań, nie pozostały nawet resztki. Ludzie głodowali, dusił ich strach. Tymczasem w więzieniu panowało radosne podniecenie: za tydzień miał się odbyć koncert, największe wydarzenie w historii zakładu. Naczelnik Hasegawa biegał to do sali widowiskowej, to na dziedzińiec, to do biura, Maeda przygotowywał się na przyjęcie dostojnych gości z Tokio, chórzyści odbywali ostatnie próby, a Midori dopieszczała ich głosy. Ze względu na niebezpieczeństwo nalotów kilku dostojników odwołało swój przyjazd, ale minister spraw wewnętrznych i generał armii mieli przybyć. Władze więzienia oświadczyły, że ich wizyta będzie dla świata znakiem, iż Japończycy zamierzają dzielnie bronić ojczyzny.

Im bliżej koncertu, tym Yun był bardziej ożywiony. Wiedział, że z celi nic nie usłyszy. Sala była za daleko, a hałaśliwe maszyny w

warsztatach wszystko zagłuszały.

Dwa dni przed koncertem wpadł na pewien pomysł.

- Yuichi - powiedział z roziskrzonymi oczami. - Wiem, co można zrobić.

- Co?

- Koncert jest w poniedziałek. Tego dnia pójdę na zastrzyk. Zgłoszę się na ochotnika!

Sala zabiegowa mieściła się na tym samym piętrze co widowiskowa, więc mógł coś usłyszeć. Ale plan był niebezpieczny, ponieważ zastrzyki jeszcze bardziej go osłabiały.

Stanowczo pokręciłem głową.

- Chodzisz tam we wtorki i piątki. Nie da się tego zmienić.

- Yuichi! Proszę!

Nie mogłem mu odmówić. Jego wspomnienia uciekały jak przesypany się między palcami piasek. Zrobiłby wszystko, żeby napęlić umysł muzyką. Nazajutrz, odprowadziwszy chórzystów na próbę, poszedłem do sali zabiegowej. W długim korytarzu ciągle przystawałem, zastanawiając się, czy nie zawrócić. W końcu otworzyłem drzwi i zameldowałem zaskoczonemu lekarzowi, że jeden z więźniów chciałby dostać dodatkowy zastrzyk.

- Wygląda na to, że kuracja zaczyna działać. Pacjent odzyskał siły i nie męczy się podczas pracy.

Przez twarz lekarza przemknął wyraz niedowierzania. Podekscytowany, spytał o numer więźnia. W mojej głowie krążyły trzy cyfry. Chwilę trwało, zanim je z siebie wyrzuciłem.

- 645.

- Cudownie! - krzyknął lekarz. - Proszę go przyprowadzić w poniedziałek o drugiej! Poddamy go dokładnej obserwacji.

Odwrociłem się i wyszedłem. Czyżbym stał się w końcu mordercą?

Rano w dniu koncertu świat obudził się pod całunem śniegu, który spadł cichutko w nocy. Więzienny dziedziniec wyglądał jak kartka białego papieru. O wschodzie słońca zaprowadziłem chórzystów do sali widowiskowej. W środku uwijało się już kilkudziesięciu strażników pod dowództwem Maedy. Na scenie leżał czerwony dywan, a na widowni stało trzysta krzeseł. Ustawiłem chórzystów za kulisami i policzyłem. Spojrzałem na Midori. Poprowadziła ostatnią próbę, zaczynając od prostej wokalizy i grupowych ćwiczeń w rejestrach

głosowych.

Kilka minut po dwunastej więzienną bramą wjechał czarny samochód. Wysiadł z niego profesor Marui w czarnym smokingu. Natychmiast wszedł do sali, żeby ją obejrzeć. Potem nadjechały kolejne czarne samochody z mężczyznami w galowych mundurach i wystrojonymi kobietami. Czuli się chyba trochę nieswojo w tym niezwykłym otoczeniu, lecz byli również podekscytowani. Naczelnik Hasegawa witał każdego gościa szerokim uśmiechem. Pielęgniarki i starsi stopniem strażnicy w starannie wyprasowanych mundurach wskazywali im miejsca. Pusta sala stopniowo się wypełniała. Potem zaczął się koncert i wszyscy odśpiewali *Kimigayo*. Na scenie zgasły światła i podniesiono kurtynę. W świetle reflektora pojawił się profesor Marui.

Przed wyjściem z celi strażnik sprawdził Dong-ju kajdany na nogach. Powoli ruszyli do izby chorych. Leżący na dziedzińcu śnieg wydawał gniewne chrzęszczące odgłosy i fruwał na wietrze, lecz wyciszał przynajmniej pobrzękiwanie łańcucha. W izbie chorych więzień od razu wyczuł atmosferę wyczekiwania. Zaczął iść zwyczajnym krokiem. Stojący przed salą zabiegową lekarz powitał go uśmiechem i kiedy Yun wszedł do środka, usłyszał płynący z daleka czysty, smutny głos:

*Am Brunnen vor dem Tore
Da steht ein Lindenbaum...*

Zamknął oczy.

- Numer! - rzucił lekarz.
- 645.

*Ich träumt' in seinem Schatten
So manchen süßen Traum.*

- Nazwisko?
- Hiranuma Tochu.

*Und seine Zweige rauschten,
Ais riefen sie mir zu...*

- Kiedy wychodzisz na wolność?

- Trzydziestego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. Za dwieście dziewięćdziesiąt osiem dni.

Krótką cisza i aplauz. Profesor Marui wytarł spocone czoło. Oklaski nie ustawały. Profesor uklonił się nisko i zniknął za kulisami. Burza oklasków wywołała go z powrotem na scenę. Zamknąłem oczy.

Zręczne ręce pielęgniarki podłączyły rurkę. Zimna igła przekłuła skórę na ramieniu i do ciała popłynął przezroczysty płyn. Śpiew i oklaski to narastały, to opadały, jak morski przypływ. Potem nastąpiła długa cisza.

*

Wlokąc za sobą ciężkie łańcuchy, na scenę wyszli więźniowie. Publiczność przyglądała się im nerwowo. Gdy po więźniach wyszła Midori w białym uniformie pielęgniarki, tu i ówdzie zabrzmiały sporadyczne oklaski. Midori usiadła przy fortepianie. Obserwowały ją obojętne oczy. Midori wzięła głęboki oddech, skinęła głową i jej palce musnęły klawiaturę.

Dong-ju przymknął powieki. Oddychał spokojnie, lecz umysł miał spowolniony. Jakby zanurzono go w głębokiej wodzie. W oddali zabrzmiały dźwięki fortepianu. Do jego żył powoli sączyła się przezroczysta ciecz, a uszu dobiegały smutne, uroczyste głosy:

*Va, pensiero, sull'ali dorate;
va, ti posa sui clivi, sui colli,
ove olezzano tepide e molli
l'aure dolci del suolo natali
Del Giordano le rive saluta,
di Sionne le torri atterrate...*

Fala silnych, lecz przesyconych żalnością głosów odepchnęła mnie na bok. Słyszając tę smutną pieśń, zastanawiałem się, czy mam prawo się nią cieszyć. Wstrząsnęła mną bijąca z niej radość życia. W moim

sercu zawrzało: byłem człowiekiem, wciąż żyłem.

*O, mia patria, sì bella e pertuda!
O, membranza, sì cara e fatali*

To nieustępliwa, to delikatna, to szybka, to leniwa - pieśń była jak wspaniały romans. Albo jak wielka nawałnica, bo tony i barwy głosów mieszały się ze sobą, żalobnie wyjąc i majestatycznie grząc. Midori zachęcała je, dławiła i ponaglała. Zwały się z dźwiękami fortepianu, by po chwili uwolnić się od nich i eksplodować:

*Arpa d'or dei fatidici vati,
perché muta dal salice pendi?
Le memorie nel petto raccendi,
ci favella del tempo che fui
O simile di Sòlima ai fati
traggi un suono di crudo lamento,
o t'ispiri il Signore un concerto
che ne infonda al patire virtù.*

Pieśń się kończyła, lecz finałowy akord jeszcze długo pobrzmiwał w zimnym powietrzu. Rozpłynęła się ostatnia nuta. Dong-ju z zamkniętymi oczami wsłuchiwał się w jej brzmienie. Krótką ciszę zburzyły oklaski i owacje. Yun rozwarł powieki. Miał mokre rzęsy. Robił wrażenie zadowolonego, jak chłopiec budzący się z przyjemnego snu. Gdy pielęgniarka wyciągnęła igłę, lekarz krzyknął:

- Dobrze! Jest pan bardziej pobudzony niż zwykle.

Nazajutrz wezwał mnie naczelnik Hasegawa. Czyżby odkrył, jaką rolę odegrałem w aferze z podziemną biblioteką? Albo dowiedział się o dziewczynce z latawcem? Sztynny jak kołek usiadłem na brzeжку krzesła. Naczelnik podniósł do góry kilka gazet i przed moimi oczami zatańczyły wielkie litery. Więzienie w Fukuocce. Koncert. Wzruszający. Piękny.

- Koncert był olbrzymim sukcesem - zaczął rozemocjonowany Hasegawa. - Pisz o nim nawet krajowa prasa! Eskortując więźniów i pilnując ich na próbach, wniosłeś weń wielki wkład. - Odłożył gazety

i podkreślił węża. - Aha, tak przy okazji. Dwa dni temu wykonaliśmy egzekucję na więźniu 331...

Nagle wszystko pociemniało.

- Dobra robota. Skutecznie przeprowadziłeś śledztwo i wykryłeś mordercę.

Choi nie żył? Wykryłem mordercę? Przecież nawet nie zacząłem.

- Jak brzmiały jego ostatnie słowa? - spytałem bezradnie.

- Nijak. Nie chciał nic powiedzieć.

- Powiadomiono rodzinę?

- Według jego akt, nie miał rodziny. Dlatego mogłem tylko dopilnować egzekucji, a potem pogrzebu.

Powoli kiwnąłem głową.

Hasegawa poklepał mnie po przygarbionych ramionach, pogratulował mi dobrze wykonanego zadania i w nagrodę obiecał urlop na wiosnę. Nie dotarło do mnie ani jedno jego słowo. Wyszedłem z gabinetu, jak automat pokonałem długi korytarz skrzydła administracyjnego i znalazłem się na zaśnieżonym dziedzińcu. Czułem się tak, jakbym płynął w powietrzu, jakby zapadła się pode mną ziemia. Śmierć Choia nie była czymś niezwykłym, nie w Fukuoce, mimo to targały mną wyrzuty sumienia. Choi nie powinien umrzeć. Ryzykował życie, żeby się stąd wydostać. Jego niekończące się próby ucieczek i pobytu w karcerze, gdzie potem trafiał, były dwoma prawdziwymi filarami, na których opierało się jego życie. Ocierał się o śmierć i za każdym razem udawało mu się jej uniknąć. Mimo to nie zdołał opuścić Fukuoki nawet jako trup.

Poszedłem na cmentarz. Od razu zauważyłem nowy palik z numerem. Tak, zacisnąłem pętlę na jego szyi. Podczas gdy ja błąkałem się w labiryncie w poszukiwaniu prawdy, on samotnie umierał. Teraz nie mogłem już nic zrobić.

A może - tylko może - mogłem. Mogłem znaleźć prawdziwego zabójcę Sugiyamy.

CO SIĘ, DO LICHA, STAŁO?

Zmrożoną ziemię okrywała ciemność. Z sali widowiskowej dobiegały ciche dźwięki fortepianu. Na wietrze szeleścił bluszcz wijący się po ceglany murze. Biały mróz nadgryzał brzeg szyby, przez którą wylewało się ciepłe światło. Siedząca przy fortepianie Midori śledziła wzrokiem nuty. Przestała grać i się obejrzała.

- Chcę zobaczyć karty tych, którzy przechodzili kurację w izbie chorych - wypaliłem. - Widuje pani pacjentów z Oddziału Trzeciego. Musi pani mieć dostęp do ich kart.

- Żeby otrzymać pozwolenie od ordynatora, musiałabym najpierw dostać zapotrzebowanie od oddziałowego.

Zawahałem się.

- Te karty pomogłyby mi rozwiązać zagadkę morderstwa Sugiyamy.

Midori zmarszczyła brwi.

- Karty i morderstwo? Co właściwie jedno ma wspólnego z drugim?

- Gdybym wiedział, czym Sugiyama zajmował się przed śmiercią, mógłbym uzyskać jakieś nowe wskazówki. Na przykład kogo zranił, jak i dlaczego.

- Tam są tylko krótkie notatki dotyczące tego, jak doszło do urazu i jak go leczono. Niczego by się pan z nich nie dowiedział, a już na pewno nie o morderstwie.

- Notatki to żywe dokumenty. Tak jak nuty stają się piękną muzyką, tak karty pacjentów mogą mi powiedzieć więcej o życiu Sugiyamy.

Midori długo patrzyła w okno.

- Proszę przyjść, kiedy będę znowu ćwiczyła. - Odwróciła się do fortepianu. I popłynęła muzyka.

Midori wyjęła ukrytą między nutami teczkę. Promienie zachodzącego słońca malowały na klawiaturze złociste paski, a ja czytałem. Od

stycznia do sierpnia nie leczono ani jednego koreańskiego więźnia. Przy każdym koreańskim nazwisku widniała notatka dotycząca przyczyny śmierci osadzonego. Oddział Trzeci był zabójczy: co miesiąc umierało tam co najmniej trzech, czterech skazanych. W styczniu jeden z nich wpadł do wanny w farbiarni i się utopił. Inny naprawiał sufit, spadł i się zabił, kolejny zmarł we śnie na atak serca. W lutym spadło i zabiło się jeszcze dwóch, u innego doszło do zatrzymania akcji serca, a jeszcze inny się udusił. Latem wzrosła liczba przypadków tętniaka i ataków serca.

Zauważyłem, że pod koniec sierpnia zaczęto leczyć rannych. I że w październiku znacząco wzrosła liczba koreańskich pacjentów. Opatrywały ich pełniące dyżur pielęgniarki, głównie Koreańczyków z ranami głowy od upadku podczas pracy albo poślizgnięcia się na schodach. Powtarzały się te same nazwiska: Choi Chi-su, Kim Gwing-pil, Hiranuma Tochu. Zapiekle mnie oczy. Choi i Dong-ju bywali w izbie chorych średnio raz na miesiąc z powodu ran głowy i ran szarpanych na łydkach, plecach, ramionach i przedramionach. Ale według dokumentów z izby odnieśli je w zupełnie innych okolicznościach. Z otwartą tęczką podszedłem do Midori.

- To nie są chyba dokładne dane - powiedziałem. - Sugiyama regularnie bił więźniów z Oddziału Trzeciego. Ja sam zaprowadziłem do izby chorych co najmniej kilku. Nie ma tu o tym żadnej wzmianki.

Midori uciekła wzrokiem w bok.

- To są tylko protokoły. Nie oddają rzeczywistości.

- Twierdzi pani, że je sfalszowano?

- Kiedy przychodzi do nas pacjent z Oddziału Trzeciego, najpierw trafia do mnie. Opatruję go, zgłaszam rodzaj i stopień dotkliwości rany, a lekarz odnotowuje to w rejestrze. Jako przyczynę podaje zwykle upadek podczas pracy czy uderzenie spadającym przedmiotem.

- Ale dlaczego zmyśla?

- Naczelnik nie chce, żeby w oficjalnych dokumentach więziennych przetrwały nieprzyjemne fakty.

- Przecież lekarze mają dbać o pacjentów. Muszą zapisywać, jak pacjent odniósł ranę i dlaczego.

- Cóż, garstka koreańskich więźniów nic dla nich nie znaczy.

Łypnąłem na nią spođe łba.

- Co tu się dzieje? - spytałem załamującym się głosem. - Powie mi pani?

Midori wbiła wzrok w klawiaturę.

- Koreańscy pacjenci zaczęli pojawiać się w izbie około sierpnia.

Kiedy pytałam ich, co się stało, zwykle wskazywali na Sugiyamę. Był rzeźnikiem, chciał ich pozabijać pałką. Wszystkie rany zostały zadane tęym narzędziem. Ale zauważyłam coś dziwnego...

- Co takiego?

- Większość obrażeń stanowiły rany długości dwóch, trzech centymetrów. Zadano je rozmyślnie: skóra była precyzyjnie przecięta, prawdopodobnie końcówką pejcza.

- Hmm... - mruknąłem. - Każą nam bić ostrożnie, żeby na ciele nie zostały ślady.

- Opatrywałam raz pacjenta z płytkim skaleczeniem i zauważyłam, że ma zgięty mały palec u lewej ręki. Był złamany i źle się zrosł. Więzień powiedział mi, że zasłonił się przed pałką Sugiyamy.

- Dziwne. Rana na czole bardzo krwawi i robi wrażenie poważnej, ale szybko się goi. Złamany palec to uraz znacznie groźniejszy. I nie nastawiono go?

- Nie. Podobnie traktowano pozostałych więźniów. Nie przysyłano do nas nawet tych z naprawdę ciężkimi ranami i nagle zalała nas fala pacjentów z drobnymi skaleczeniami.

To nie miało sensu. Sugiyama bił ich od dawna, ale nigdy nie skierował żadnego do szpitala. I raptem, w sierpniu, zaczął wysyłać tam więźniów z drobnymi skaleczeniami. W sierpniu - co się wtedy stało?

- Choi i Hiranuma trafiali do izby raz w miesiącu. Ale od października zaczęli tam bywać co dwa tygodnie. Dlaczego?

Midori zdrząły powieki. Leciutko, prawie niedostrzegalnie. Ukrywała coś?

- Pamiętam, że mniej więcej w tym samym czasie Choi był przesłuchiwany w sprawie tunelu. Hiranuma...

Spojrzałem jej prosto w oczy.

- Sugiyama i on komunikowali się wtedy za pośrednictwem wierszy. Sugiyama wciąż szalał, ale wobec Hiranumy zachowywał się prawie jak opiekun. Więc dlaczego miałby robić mu krzywdę?

Słońce stało się teraz purpurowe i po chwili zatoneło w morzu czerwieni i czerni. Przez okno obserwowała nas ciemność.

- Sierpień czterdziestego czwartego - powiedziałem do siebie. - Co się wtedy stało? - W głowie wirowało mi od myśli.

Ale Midori milczała. Schowała teczkę między nuty, przeszła przez salę i zniknęła w mroku.

Powlokłem się do wartowni. Pełniący służbę strażnik podniósł wzrok. Powiedziałem, że go zastąpię, bo i tak mam zaległości w raportach. Strażnik uśmiechnął się radośnie, podał mi klucze na kółku

i szybko wyszedł. Otworzyłem szafkę z aktami. Był w niej rejestr sanitarno-dezynfekcyjny, dziennik szkoleń ewakuacyjnych na wypadek nalotów powietrznych, księga protokołów z przesłuchań więźniów Oddziału Trzeciego, księga przydziałów roboczych i księga oceny pracy. To, czego szukałem, leżało na trzeciej półce: rejestr skierowań lekarskich i protokoły sekcji zwłok.

Kiedy ten czy inny więzień wymagał leczenia, strażnik wypełniał skierowanie lekarskie i dawał je do podpisania Maedzie. Między kartkami formularza była kalka i jego kopia szła do izby chorych, a oryginał trafiał do akt. Tej samej procedury przestrzegano z protokołami sekcji zwłok. Zauważyłem, że oryginały i kopie, które pokazała mi Midori, są identyczne. Jedyna różnica polegała na tym, że my przechowywaliśmy je w dwóch oddzielnych rejestrach, a oni w jednym. Poza tym u nas, poczynając od dwudziestego drugiego sierpnia, liczba skierowań do izby chorych zaczynała wzrastać, głównie za sprawą Sugiyamy. Powody urazów były różne. Tak jak wzrok ryby przykuwa przynęta, tak mój przykuła księga wyników inspekcji izby chorych. Otworzyłem ją. Nie założono jej w styczniu - pierwszy wpis zrobiono dwudziestego czwartego sierpnia. A więc program ruszył w sierpniu. Przerzuciłem kartkę. Na następnej była lista dwunastu więźniów wraz z symptomami i chorobami, o jakie ich podejrzewano. Wymieniono takie symptomy jak niedożywienie, osłabienie, osłabiony wzrok, bezsenność, hemoroidy i rozchwianie emocjonalne. W Fukuoce mieli je wszyscy osadzeni, rzecz nie była warta uwagi lekarzy z wydziału medycyny Cesarskiego Uniwersytetu Kiusiu. Dlaczego nie zakwalifikowano do programu japońskich więźniów ze znacznie groźniejszymi chorobami? Wielu z nich cierpiało na cukrzycę, jaskrę, zapalenie wątroby i artretyzm. Tymczasem wybrani Koreańczycy byli względnie zdrowi i młodzi, bo mieli od kilkunastu do trzydziestu kilku lat.

Czy to możliwe, że zespół najlepszych lekarzy w kraju popełnił poważny błąd? Położyłem obok siebie rejestr skierowań diagnostycznych, księgę z protokołami sekcji zwłok i wyniki inspekcji izby chorych, po czym zacząłem porównywać je według dat. Podczas pierwszej inspekcji sanitarnej dwudziestego czwartego sierpnia zakwalifikowano dwudziestodziewięcioletniego Kima Myeong-sula, Koreańczyka o japońskim nazwisku Kaneyama Tokichiro. Cierpiało na niedożywienie i bezsenność. Byłem zaskoczony. Nawet strażnicy się na to skarżyli. Brakowało żywności, racje ciągle zmniejszano, a w środku nocy wyły syreny alarmowe. Znalazłem go w protokołach sekcji zwłok z siedemnastego listopada. Co zabiło zdrowego

mężczyznę w trzy miesiące? Uważnie przejrzałem rejestr skierowań diagnostycznych, ale nie znalazłem jego nazwiska. Nigdy go na nic nie leczono. Cofnąłem się i porównałem protokoły sekcji zwłok z wynikami inspekcji izby chorych. Poczynając od października, pięciu spośród siedmiu zmarłych pacjentów wybrano do programu. Przyczyna śmierci? Tętniak, anomalie kardiologiczne i zaburzenia metabolizmu.

Usłyszałem głośny huk i uderzyła mnie fala zimna. Odwróciłem się. Wiatr łomotał starymi drzwiami. Szparami w parapecie wpadało mroźne powietrze. Wyrzałem przez okno. Na całym ciele dostałem gęsiej skórki. Więźniów, których Sugiyama kierował do izby chorych, nie wybrano na leczenie podczas inspekcji. Ci wybrani umierali. Dlaczego? Co się tam działo?

Nazajutrz rano wszedłem do gabinetu dyrektora Morioki. Moje kroki stłumił stary brązowy dywan. Obok błyszczącego drewnianego biurka stał szkielet. Na ścianach wisiał schemat anatomiczny, rysunki przedstawiające układ mięśni w ciele ludzkim i jego przekrój. Przez okno widać było linię brzegową zatoki Hakata.

- Jak się pan miewa, Yuichi? - spytał układnie Morioka. - Czy wizyta w sali zabiegowej okazała się pomocna? - Miał biały, skrzący się uśmiech, niemal oślepiający.

- Tak - odparłem załamującym się głosem.

- Bardzo dobrze. Jestem pewien, że wyzbył się pan wszelkich wątpliwości. Zalecę naczelnikowi, żeby udzielił panu urlopu. W spokoju ducha odwiedzi pan rodzinę.

Nie mogłem się już doczekać. Pragnąłem uciec od tego miejsca, od tych krat, i zasnąć między ciemnymi, wąskimi półkami w Kioto, wdychając zapach starego papieru i kurzu. Ale zmusiłem się do mówienia.

- Dziękuję, panie dyrektorze, ale niestety skutki uboczne kuracji nie ustępują.

Morioka zmarszczył krzaczaste brwi, ale nie przestał się uśmiechać. Odkasznął.

- Wiem. To nie są skutki uboczne. Oczekiwaliśmy tych symptomów.

Byłem oszołomiony.

- Wiedzieliście, że pacjenci będą tracili pamięć i krwawili? Więc dlaczego kontynuujecie kurację?

Dyrektorowi powoli stężała twarz. Błysnął oczami, zimno i bezliście.

- Jest pan Japończykiem, prawda? - rzucił chłodno.

- Tak jest.
- W takim razie musi pan wiedzieć, jak wielką prowadzimy wojnę. Jak ważną dla naszej spuścizny.
- Tak jest! - Słyszałem to przez całe życie. Przecież prowadziliśmy wojnę, odkąd się tylko urodziłem. Z Rosją, Chinami, Mongolią, Koreą, Ameryką, z regularnymi wojskami i komunistyczną partyzantką. Kończyliśmy jedną bitwę i zaczynaliśmy następną.

Morioka kiwnął głową.

- Mój zespół poświęcił się badaniom naukowym. Tak jak pan ojczyźnie. Pan zajmuje się więźniami ku chwale imperium, a lekarze pacjentami, dla zwycięstwa.

Dostałem mdłości, jakbym połknął garść czerwii.

- Dla zwycięstwa?
- Usilnie pracujemy nad wynalezieniem nowych sposobów leczenia japońskich żołnierzy. Jesteśmy u progu odkrycia nowego, wspaniałego leku, który odmieni nasze życie.
- Wierzę, ale wiem na pewno, że u tych ludzi występują skutki uboczne...

- Dość tego!

- Oni padają jak muchy! Co się tu dzieje?! - zacząłem krzyczeć, nie mogłem się opanować.

Morioce jeszcze bardziej stwardniał wzrok.

- Jeden protokół można sfalszować - nie ustępowałem. - Ale prawdę widać w wielu innych. W skierowaniach na badania, protokołach sekcji zwłok, w wynikach inspekcji izby chorych.

Morioce krew odpłynęła z twarzy.

- Jest pan bardzo inteligentny. To dobrze. Wiem, że jest pan również uparty, więc skoro już pan to rozgryzł, zrozumie pan na pewno, co tu robimy. Powiem panu. - Zniżył głos, jakby chciał uspokoić marudzące dziecko. - Mój zespół pracuje nad rewolucyjnymi technikami medycznymi. Jeśli nam się uda, diametralnie obniżymy liczbę ofiar wojennych. To będzie początek nowej ery w medycynie.

- Co to za techniki?

- Szukamy substancji, która zastąpi krew. Wojna jest coraz cięższa. Krwi: oto czego najbardziej potrzebują ranni. Tylu dobrych żołnierzy wykrwawia się na śmierć na polu bitwy. Nawet jeśli zdążymy przetransportować ich na czas do szpitala, to i tak umierają z powodu braku krwi. Jeśli zdołamy zastąpić ją czymś innym, uratujemy życie tysiącom żołnierzy. Żołnierzy i cywili.

- Istnieje taka substancja?

- Krew składa się głównie z osocza i krwinek. Rozróżniamy

krwinki czerwone, białe i płytkowe. Osocze zaś to zawiesina protein i substancji koagulujących.

Kiwnąłem głową.

- Jak już mówiłem, brakuje nam krwi. Gdybyśmy potrafili wytwarzać krwinki płytkowe, jej najważniejszy składnik, zmienilibyśmy bieg wojny. - Morioco zadrżał głos.

Serce waliło mi jak młotem.

- To znaczy, że stworzylibyście ludzką krew?

- Jesteśmy w trakcie opracowywania soli fizjologicznej, która zastąpi krwinki płytkowe. Zawiera tyle samo sodu co płyny ustrojowe i składa się z substancji podobnych do tych w krwinkach płytkowych. Zastępujemy nią obecnie płyny ustrojowe pacjentów chorych albo rannych. W tej chwili eksperymentujemy ze stężeniem. Bez tego nie uda nam się wytworzyć substytutu krwinek.

Zmarszczyłem brwi.

- Przecież sól fizjologiczna składa się głównie z soli i wody. Jak może zastąpić krew?

- Ktoś, kto nie zna się na medycynie, tak jak pan - odparł lekceważąco Morioka - pomyśli pewnie, że zabijamy tu ludzi, zamiast ich ratować. Dlatego pracujemy w ścisłej tajemnicy. Niech pan się nie martwi. Badając przystosowanie organizmu do różnych stężeń soli fizjologicznej, odporność na stężenie sodu i zakażenia, uważnie śledzimy wszystkie skutki uboczne.

- Ale one nie ustępują.

- Przecież mówię, że wciąż nad tym pracujemy. Poza tym regularnie przeprowadzamy szczegółowe testy diagnostyczne, żeby wyeliminować wszystkie anormalne reakcje. Widział pan, jak przeprowadzamy test arytmetyczny, prawda? To najlepszy sposób na ocenę ogólnego stanu neurofizycznego. Możemy więc natychmiast stwierdzić, jak organizm pacjenta reaguje na obcą substancję.

Nareszcie wszystko zrozumiałem. Oni eksperymentowali na ludziach. Przez cały ten czas odprowadzałem nic nie podejrzewających Koreańczyków do laboratorium śmierci. Czuję, że płonie mi twarz.

- Zespół lekarzy z wydziału medycyny Cesarskiego Uniwersytetu Kiusiu prowadzi eksperymenty na ludziach, które zabijają zdrowych mężczyzn! Już rozumiem. Przyjechaliście tu, bo potrzebowaliście królików doświadczalnych!

- Dobrze pana rozumiem - powiedział z uśmiechem Morioka. - Jest pan młody. No tak, przecież nie ma pan nawet dwudziestu lat! Posłuchaj, Yuichi. Świat nie jest czarno-biały. Świat jest twardy i skomplikowany. Nasze badania mogą ocalić wielu, wielu żołnierzy.

Wiele kobiet i dzieci ginących podczas nalotów.

Po moich policzkach spływały łzy. Byłem wściekły i było mi wstyd. To nie w porządku. Bez względu na doniosłość sprawy nie mogliśmy tego robić. Nie mieliśmy prawa igrać z życiem człowieka, nawet jeśli miałoby skorzystać na tym wielu innych. Zacisnąłem powieki.

Dyrektor poklepał mnie łagodnie po ramieniu.

- Posłuchaj mnie uważnie. Ludzie, których chcemy uratować, są żołnierzami cesarza i cywilami. A ci, nad którymi płaczesz, są Koreańczykami, którzy popełnili bardzo ciężkie przestępstwa. Podpalali posterunki policyjne. Rzucali bombami w cesarza. Podrzynali Japończykom gardła. Rozumiesz?

Nie, nie rozumiałem. Ilu ludzi musiało jeszcze umrzeć? Kiedy to się wreszcie skończy?

- To są zarodniki zła rosnące w naszym społeczeństwie. Rakowate guzy zawłaszczające nasze ciało. By w końcu odebrać nam życie. Wiesz, jak leczy się raka?

Trzeba go wyciąć. Usunąć chirurgicznie. Ale rakotwórcze komórki wciąż się mnożą, pożerając te zdrowe i niszcząc cały organizm. Więc kogo mamy ratować? Czy tysiące Japończyków ma umrzeć tylko po to, żebyśmy mogli ocalić kilku zarażonych rakiem typów?

Czas wlewał się ze stukotem w otaczającą mnie przestrzeń. Złociście wahadło zegara kołysało się mechanicznie, z każdym ruchem wyrywając mi serce.

- Kim jesteśmy, żeby decydować, kto ma żyć, a kto umrzeć?

- Dobrze wiesz, że tak czy inaczej to więzienie będzie dla nich cmentarzem. Tylu ich umiera przed zakończeniem wyroku. Nie sądzisz, że gdyby nauczyli nas czegoś po śmierci, ich życie miałoby większy sens? - Morioka uśmiechnął się. - Nie ma żadnej różnicy między kimś umierającym i zmarłym. Mówię ci: oni i tak są już w drodze do grobu.

Naprawdę tak było? Czy to możliwe, żeby ta straszna sytuacja była jeszcze bardziej skomplikowana, niż dotychczas myślałem?

PRZERAŻAJĄCE CZASY

W więziennej tkalni było głośno. Jak szalone wirowały pralki, turkotały maszyny do szycia, krzyczeli strażnicy, stękali i jęczeli więźniowie. Osadzeni cerowali tu poszarpane, podziurawione kulami mundury wojskowe; ich właściciele pewnie już dawno nie żyli. Szukałem sposobu, żeby wypisać Yuna z kuracji, ale jak dotąd nie znalazłem żadnego rozwiązania. Udało mi się jedynie przenieść go do farbiarni, gdzie miał wrzucać ubrania do wanny. Przynajmniej pracował pod dachem. Gdy ciągnął wózek z wielką stertą wypłowiałych mundurów, przeraźliwy syk pary zagłuszyła syrena na przerwę. Yun odszedł powoli na bok i przykucnął obok wanny. Pozostali robotnicy popadali ze zmęczenia pod oknem po drugiej stronie warsztatu. Strażnicy stali pod ścianą, śmiali się i palili papierosy.

Dong-ju zanurzył palec w puszcze granatowej farby pod wanną. Napisał coś na ścianie i wytarł palec w spodnie. Spojrzał na mnie z ulgą. I niezdarnie wstał, zasłaniając to, co napisał. Obserwował go podejrzliwie jeden ze strażników. Wyjąłem pałkę, podszedłem do Yuna i uderzyłem go w udo. Skrzywił się z bólu i stracił równowagę. Strażnik odwrócił się i dołączył do rozmowy z kolegami. Yun przeczytał szeptem to, co dla mnie napisał:

- Niebo, wiatr, gwiazdy i poezja.

Kiwnąłem głową, składając mu niemą obietnicę. Jeżeli zupełnie straci pamięć, przyprowadzę go tu i pokażę mu te słowa. Nawet jeśli nic sobie nie przypomni, powiem mu, że był i zawsze będzie poetą. Ze znam na pamięć jego wiersze, że na zawsze przechowam tę część jego duszy. Na jego twarzy wykwitł uśmiech, czysty i wyraźny. Stałem przed nim, żeby nie zobaczyli tego strażnicy. Tylko tyle mogłem mu zaferować.

Gwałtownie podupadał na zdrowiu. W pokoju przesłuchań mówił coraz mniej i mniej, wypowiadając jedynie półzdania i splątane myśli. Rozmawialiśmy jak alfabetem Morse'a, długimi okresami ciszy

przerywanymi krótkimi dialogami prowadzącymi do jeszcze dłuższej ciszy i jeszcze krótszego dialogu. Iskra życia gasła w nim jak oddech umierającego. W końcu zupełnie przestaliśmy rozmawiać i było tylko milczenie, potem jeszcze dłuższe milczenie, wreszcie milczenie ciągnące się w nieskończoność. Nie wiedziałem, czy Dong-ju nie chce mówić, czy nie może. Jego wspomnienia były rozrzucone jak opadłe liście, zostały jedynie cienkie zimowe gałęzie, nagie drzewo tęskniące za minionym latem. Yun nie wracał już do swojej wspnianej przeszłości, po prostu trwał, cierpiąc w pustce.

W dniu, który miał się okazać naszym ostatnim w pokoju przesłuchań, odbyliśmy kolejną rozmowę bez słów. Czuję jego ból i cierpienie jak swoje własne.

Nagle otworzył usta.

- *Przerazające czasy*. Kim jesteś ty, który mnie wołasz? W cieniu zielonych dębowych liści / wciąż oddycham. / Ja, który nigdy nie podniosłem ręki / ja, który nie mam nieba, by je pozdrowić / Dlaczego mnie wołasz / Mnie, który nie mam nieba, by złożyć pod nim swe ciało? / Rankiem w dniu mojej śmierci, gdy zrobię już swoje / Dębowe liście spokojnie opadną... / Nie wołaj mnie.

Zapisałem te urywane zdania. Czy było to ostatnie światło jego wyblakłej duszy, błyskawica po raz ostatni rozdzierająca ciemność? Słowa się rozmazywały. Dlaczego wiersz ten przypomniał mu się akurat teraz?

Nagle skojarzył mi się z jego ulubionym poetą Francisem James'em, wierszem, który znalazłem w pudle ze skonfiskowanymi materiałami Yuna:

TO BYŁO STRASZNE

*Strasznie było patrzeć na to małe, biedne cielątko
ciągnięte
na rzeź,*

*które szarpiąc się, próbowało zlizywać krople deszczu
z szarych ścian małego, smutnego miasteczka.*

*Boże! Było takie łagodne
i dobre, ono, niedawny przyjaciel wysadzanych
ostrokrzewem
ścieżek.*

*Boże! Ty, który jesteś taki dobry,
powiedz, że nam wszystkim wybaczysz*

*i że pewnego dnia, w złocistym niebie, już nigdy
nie będziemy mordować małych słodkich cielątek,*

*że stawszy się lepszymi,
opleciemy ich różki kwiatami.*

*Boże! Nie pozwól, żeby to małeństwo
cierpiało, czując wbijający się nóż...*

Uciekłem wzrokiem w bok, nie miałem odwagi spojrzeć mu w oczy. To my zaczęliśmy tę potworną wojnę, to my wsadziliśmy go za kraty, to my go zniszczyliśmy. Chcieliśmy tego czy nie, zgodziliśmy się rozpętać tę straszliwą wojnę w imieniu ojczyzny. Czy zostanie nam to kiedykolwiek wybaczone?

Wciąż ciężko pracował, choć był coraz węższy i kruchy jak łań. Nie wiedziałem, dokąd idzie, on pewnie też nie. Upał, smolisty pył, silny zapach farby, przyprawiające o zawrót głowy turkotanie maszyn do szycia - czarne od kurzu i barwnika twarze więźniów błyszcząły od potu. Popędzaliśmy ich pałkami. Ciągąc wyładowany mundurami wózek, Dong-ju krążył między maszynami i wannami jak żuk gnojak. Ciągnął swój ciężar ze wszystkich sił.

Głośno zawyła syrena na przerwę. Jak źdźbła ściętej trawy, więźniowie zwalili się pokotem na podłogę. Yun położył uchwyt wózka i powoli usiadł. Jego czoło lśniło od potu.

- Wszystko w porządku? - spytałem, próbując zapanować nad drżącym głosem.

Spojrzał na mnie pustym wzrokiem. I nagle uśmiechnął się, jakby mnie poznał.

- Aaa...

Tylko tyle. Nie wiedział, kim jestem. Analizował rysy mojej twarzy, widział moje krótkie włosy i brązowy mundur, zastanawiał się, czy go znam, a jeśli tak, to skąd. Zdawał sobie sprawę, że jest w więzieniu, lecz nie wiedział dlaczego. Wiedział, że jest poetą, lecz nie wiedział, co pisze. Wiedział, że czyta książki, lecz nie znał ich treści. Czy pamiętał nasze wspólnie spędzone chwile? Te ciche rozmowy o

literaturze w pokoju przesłuchań, tajną podziemną bibliotekę, mieszkające tam zaczerpnięte księgi, kartki, które pisał dla więźniów, chóralną pieśń, której słuchał, dygocząc w szpitalnym korytarzu? Miałem taką nadzieję, nawet jeśli były to czasy bezpowrotnie minione. Chciałem mu pomóc, chciałem mu powiedzieć, kim jest.

Chwyciłem go za chudy nadgarstek. Spokojnie ruszył za mną. Przeszliśmy między grupkami odpoczywających więźniów. Gdy stracił równowagę, mocniej zacisnąłem palce i rozluźniłem je dopiero wtedy, gdy dotarliśmy do wanny z farbą. Obróciłem go w stronę ściany, gdzie widniały słowa „Niebo, wiatr, gwiazdy i poezja”. Jego twarz rozjaśnił uśmiech, ten sam, który zobaczyłem po raz pierwszy w dniu, gdy go poznałem. Ale teraz nie miał już nic, bo wszystko zostało mu odebrane. Tylko ja wiedziałem, kim kiedyś był. A był dzieckiem, które urodziło się w przegranym kraju, chłopcem, który mieszkał w domu ze śliwą, jadł owoce morwy, upajał się widokiem błękitnego nieba w studni i spoglądał na krzyż na wierzchołku strzelistej wieży, smucąc się, że nie ma już ojczyzny, potem nastolatkiem uwielbiającym Tołstoja, Goethego, Rilkego i Jammes'a, kupującym w antykwariacie bezcenną książkę i niosącym ją do bursy jak ktoś, kto właśnie podbił świat, pilnym młodzieńcem, który ślęczał nad nią do rana, autorem genialnych wierszy, których nikt nigdy nie przeczytał, kimś, kto lubił chodzić krętymi ścieżkami, chłopcem, który kochał się w dziewczynie, nic jej o tym nie mówiąc, mieszkańcem podbitego kraju z duszą rozdartą przez mroczne czasy, w którym wciąż coś iskrzyło, podróżnikiem, który wsiadł na statek, by opuścić ojczyste strony i uczyć się w wyłożonym sześcioma matami pokoju na obczyźnie, młodym mężczyzną czekającym na świt nowej ery, przestępcą, którego skuto kajdanami za to, że pisał wiersze w swoim ojczystym języku, synem tęskniącym za matką w dalekiej Mandzurii, osadzonym czekającym na pobudkę w zimnej celi i puszczającym latawce w wietrzne dni, kimś, kto się zawsze uśmiechał.

Patrzył na ścianę. Bardzo mu tych słów brakowało. Były obietnicą, przypominały mu, kim jest, jak czystą ma duszę, mówiły, że pisał piękne wiersze. Dotknął ich trzęsącą się ręką.

Cichym głosem wyrecytowałem:

- *Noc liczenia gwiazd.* Niebo mijającej pory roku / Wypełnia je-
sień. / Niczym się nie trapiąc, / Myślę, że mógłbym policzyć wszyst-
kie jesienne gwiazdy. / Tych, które jedna po drugiej wryły mi się w
serce, / nie zliczę, / ponieważ nadchodzi poranek, / ponieważ jutro
znowu zapadnie noc, / ponieważ wciąż jestem młody. / Jedna to
wspomnienia; / Jedna to miłość; / Jedna to samotność; / Jedna to

tęsknota; / Jedna to poezja; / Jedna to moja matka, matka. / Matko, każdej nadaję piękne imię. Imiona dzieci, z którymi siedziałem w ławce w szkole elementarnej, obco brzmiące imiona dziewcząt, Pei, Jing, Yu, imiona innych, które są już matkami, nazwiska zubożałych sąsiadów, imię gołębia, szczeniaczka, królika, osiołka, jelonka, nazwiska poetów takich jak Francis Jammes i Rainer Maria Rilke. / Są tak daleko. / Jak gwiazdy za dalą, / A ty, Matko - / Ty jesteś w dalekiej Mandżurii. / Tęskniąc za czymś / Na szczycie wzgórza pod spadającym światłem gwiazd, / Ryję moje imię / I zasypuję je ziemią. / Owad, który przez całą noc krzyczy, / Robi to, ponieważ smuci go wstydlive imię. / Lecz gdy minie zima i wiosna wzejdzie nad moją gwiazdą, / Na wzgórzu, gdzie pogrzebałem imię, / Wyrośnie trawa gęsta i dumna / Zielona trawa, soczysta jak na grobie.

Pojaśniała mu twarz. Może myślał o nocnym niebie, które oglądał z Sugiyamą, o wieczności za rozmytymi konstelacjami, o rozrzuconych w górze mrugających gwiazdach i śpiewających o nich głosach. Może jeszcze zbierze rozproszone wspomnienia i znowu będzie pisał, dyskutował o Tolstoju, Dostojewskim i Rilke. Jednak bardziej prawdopodobne było to, że nie miał pojęcia, iż przez te olśniewające słowa nie mógł kiedyś spać, że głowę wypełniało mu tak wspaniałe piękno ani że to on jest autorem tego wiersza.

Traciłem przyjaciela. Nie mogłem tego znieść.

Przerwa dobiegła końca. Więźniowie wstali, jęcząc i stękając. Na chwiejnych nogach Dong-ju ruszył spiesznie do wózka. Żeby mu pomóc, wepchnąłem mu pałkę pod pachę, jakbym go popędzał. Był zdumiewająco lekki. Mamrotał pod nosem wiersz, który przed chwilą wyrecytowałem.

- Matko... Tęskniąc za czymś na szczycie wzgórza pod spadającym światłem gwiazd, ryję moje imię i zasypuję je ziemią... lecz gdy minie zima i wiosna wzejdzie nad moją gwiazdą... - Nagle urwał i załamały się pod nim nogi.

- 645! - krzyknąłem. - Hiranuma! Dong-ju!

Stracił przytomność. Padając, musiał uderzyć się w głowę. A może upadł dlatego, że stracił przytomność. Nadbiegli więźniowie i otoczyli nas, łypiąc na mnie spode łba. Yun leżał na podłodze. Miał zamknięte oczy, lecz wciąż się uśmiechał.

LECZ GDY MINIE ZIMA I WIOSNA WZEJDZIE NAD MOJĄ GWIAZDĄ

Lekarze badali go co godzinę, mierząc ciśnienie krwi, temperaturę i puls. Nie próbowali go ratować, po prostu obserwowali proces umierania. Lekarz dyżurny dał mi specjalną przepustkę i poprowadził mnie wąskim korytarzem pełnym zwiewnych białych zasłon. Pacjenci czekali tu na kres życia. Lekarz wskazał mi łóżko i odsunął cienką zasłonę. Wyczułem obecność śmierci. Dong-ju to tracił, to odzyskiwał przytomność. Spojrzałem z urazą na igłę w jego ramieniu, którą wlewał się w niego przezroczysty płyn. Lekarz powiedział, że to środek odżywczy. Mówił prawdę? Miałem ochotę ją wyszarpnąć. Ilekroć Yun odzyskiwał przytomność, lekarz zasypywał go gradem pytań. „Jak się nazywasz?”, „Jaki mamy dziś dzień?”, „Gdzie jesteśmy?”.

Dong-ju przekrzywił głowę. Z trudem otworzył usta.

- Nie wiem. Czternastego lipca czterdziestego trzeciego. Jestem... Czy to może posterunek policji w Shimogamo?

Tego dnia aresztowali go agenci Specjalnej Wyższej Policji.

Lekarz zmarszczył brwi.

- Zupełnie stracił pamięć. Czy ty w ogóle coś pamiętasz? Powiedz, co ci przychodzi teraz do głowy.

- Niebo, wiatr, gwiazdy i poezja - wymamrotał Dong-ju. - Wspomnienia, miłość, tęsknota, wiersze i matka... Pewna gwiazda i piękne słowo, nazwiska zubożałych sąsiadów i mały szczeniaczek, królik, jeleni, osiołek, Rainer Maria Rilke...

Lekarz pokręcił głową. Dał mi znak, żebym z nim wyszedł. Yun patrzył na wskroś mnie, jakby zaglądał do innego świata.

Wtedy widziałem go ostatni raz.

Kilka dni później, w cenzorni, znalazłem formularz podpisany przez jego lekarza. *Prośba o wysłanie zawiadomienia o śmierci więźnia 645*. Wszystko poczerwniało. Wysyłanie tych telegramów należało do moich obowiązków. Przysunąłem bliżej telefon. Zakręciłem korbką, żeby połączyć się z centralą, ale nie mogłem mówić. Moje

milczenie przerwał dopiero porytowany głos telefonisty.

Zdołałem podyktować treść telegramu.

- Dong-ju zmarł szesnastego lutego. Proszę odebrać ciało.

Trzęsa mi się ręka - nie, trzęsło się całe moje ciało. Odłożyłem słuchawkę na widełki. Rozwarłem palce, żeby policzyć, ile pozostało mu do wyjścia.

Krążyłem po zamrażniętym dziedzińcu jak zwierzę w klatce. Dziesięć dni później przyjechał jego ojciec i kuzyn. Podeszedłem do nich, gdy wychodzili z więzienia. Pochyliłem głowę. Chciałem coś powiedzieć, chciałem im opisać, jak wyglądał, przekazać ostatnie słowa, coś, co pozwoliłoby ojcu zapamiętać syna takim, jakim tutaj był. Wyprostowałem się.

- Nie mogę w to uwierzyć. Dong-ju nie żyje. Ten piękny człowiek...

Odwróciłem się szybko i odszedłem. Moje łzy były niestosowne w obliczu ich smutku.

BŁOGOSŁAWIENI, KTÓRZY SIĘ SMUCĄ

Dla mnie czas się zatrzymał, ale dla innych jakimś cudem wciąż mijał. Śnieg spadł, urosł w zasy, spłynął i się roztopił, by ustąpić miejsca świeżym pędom trawy. Na przemarzniętych gałęziach rozkwitły i umarły wiosenne kwiaty. Nie zauważyłem nawet, kiedy zima przeszła w wiosnę, a wiosna w upalne lato. Dryfowałem jak malutka łódka na pustym oceanie, miałem porwane żagle i połamane wiosła. Nawiedzali mnie ludzie, których już nie było, wszędzie towarzyszyła mi twarz Sugiyamy i głos Yuna. Nieustannie wracałem myślą do widoku ciała wiszącego w głównym korytarzu, wciąż słyszałem donośne dźwięki *Die Winterreise*, widziałem długą, bladą rękę poety otwierającą drzwi pokoju przesłuchań i szorstką rękę Sugiyamy piszącą na chropowatym papierze z odzysku, widziałem oczy Yuna recytującego wiersze pod gwiazdami. Często myślałem o podziemnej bibliotece, długim, wąskim tunelu, o palcach Midori fruujących jak ptaki po klawiaturze, o tym, jak powiedziała wtedy: „Sugiyama był poetą”. W głowie wirowało mi od wierszy, które zmieniły się w smugę dymu, od książek, z których pozostała garść popiołu, od rozmów w pokoju przesłuchań i jego słów: „Książka, która zapuszcza korzenie w czyimś sercu, nigdy nie ginie”.

Wszyscy odchodzili z tego świata, zwłaszcza niewinni. Wojna zgwałciła moją duszę. Ludzie odchodzili nawet wtedy, kiedy to nie śmierć ich zabierała. Midori została nagle przeniesiona do szpitala wojskowego w Nagasaki. Może chciała stąd uciec, bo wiedziała, jakie żyją tu koszmary. Zawirował suchy wiatr i po prostu zniknęła, nie pozostawiając za sobą choćby cienia uśmiechu. Więzienie jeszcze bardziej opustoszało. Myślałem o niej w każdej chwili dnia. Żeby przestać, zajadłem wymachiwałem pałką, znęcając się nad więźniami, tak jak kiedyś Sugiyama. Chyba go wreszcie zrozumiałem, człowieka, który wbrew sobie stał się potworem, pod maską okrucieństwa ukrywając poczucie winy i aroganckim krokiem kamuflując to, że utyka. Osadzeni zaczęli mnie unikać, ale tego właśnie chciałem. Tak jak chciałem przestać myśleć o Midori. Bo Midori była dobra, w

przeciwieństwie do mnie. Życie dawało się znieść tylko wtedy, gdy byłem jeszcze bardziej okrutny niż wojna.

Pragnąłem stać się niewidzialny, pragnąłem uciec. Zaszywałem się w cenzorni, czytając książki i odkrytki i pocieszając się tym, że nie tylko mnie poobijały te czasy. Wymawiając się cenzorskimi obowiązkami, nie chodziłem na posiłki ani na apele strażników. Ilekroć myślałem o Yunie, szedłem do magazynu, chociaż pudła z jego dokumentami już dawno tam nie było. W takich chwilach sięgałem na dno szuflady i wyjmowałem Biblię w czarnych skórzanych okładkach. Był to jedyny dowód jego istnienia. Przerzucałem kartki, których dotykał swoimi palcami, i zatrzymywałem się na fragmencie, który znałem tak dobrze, że moje usta poruszały się same:

Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest Królestwo Niebios.

Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni.

Błogosławieni cisi, albowiem oni posiadą ziemię.

Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni.

Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.

Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą.

Błogosławieni pokój czyniący, albowiem oni synami Bożymi będą nazwani.

*Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania z powodu sprawiedliwości, albowiem ich jest Królestwo Niebios.**

* Ewangelia św. Mateusza 5,3-10, cyt. wyd.

Dong-ju pogodził się z niezgłębioną rozpaczą nawet w obliczu okrutnej, barbarzyńskiej śmierci. Te kojące słowa, które tyle dla niego znaczyły, pocieszały teraz i mnie.

Pewnego dnia otworzyłem Biblię i jak piórko wypadła z niej ma lutka karteczka zapisana starannym znajomym pismem.

Osiem błogosławieństw

Błogosławieni, którzy się smucą

Błogosławieni, którzy się smucą

Błogosławieni, którzy się smucą

Błogosławieni, którzy się smucą

Błogosławieni, którzy się smucą

Błogosławieni, którzy się smucą

Błogosławieni, którzy się smucą

Błogosławieni, którzy się smucą

Albowiem smuć się będą po wsze czasy.

Ogarnęła mnie straszliwa rozpacz. Powtórzenia zdawały się sugerować, że pogodził się z losem, jednak ostatnia linijka podkreślała, że ból będzie trwał całą wieczność. Czy Yun naprawdę poddał się? Pokręciłem głową. To do niego niepodobne. On walczyłby śmiało z wszelkim cierpieniem. Jego wiersz był obietnicą, że wygra i przeżyje bez względu na wszystko. Nie mogłem się teraz poddać. Musiałem odważnie stawić czoło naszym czasom, tak jak on.

Z nową energią codziennie chodziłem na pocztę, napelniałem torbę listami i wracałem do biura. Czasem odbierałem większe przesyłki. Ale obowiązki te mnie nudziły, bo cenzurując listy, wtykałem tylko nos w nie swoje sprawy. Odkrytki przyfruwały do mnie i odfruwały jak stada jaskółek szybujących nad więziennymi murami w drodze ku morzu i góróm.

Pod koniec maja natrafiłem na list zaadresowany do Hasegawy. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby naczelnik dostawał prywatne listy; przychodziły do niego tylko oficjalne dokumenty z departamentu policji albo Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Przejrzałem rejestr, żeby sprawdzić, czy z listami takimi miał do czynienia Sugiyama, i okazało się, że nie. Podniosłem brązową kopertę do światła i zobaczyłem zagraniczny znaczek. Z Mandżurii. Naczelnik nigdy tam nie stacjonował, a gdyby miał znajomego w Armii Kwantuńskiej, ten wysłałby list pocztą wojskową, tańszą i szybszą. Więc kto go napisał? Adresu zwrotnego nie było, a nazwisko nadawcy składało się z rzadkich chińskich znaków: 泊光壽太郎. Hakuaki Jutaro? Hakuteru Jutaro? A może Hakumitsu Jutaro? Co to, do licha, jest? I raptem znaki zaczęły się przegrupowywać.

Pierwszy 泊 można było podzielić na dwa: 三白 300. Co znaczyło, że następnym 光 nie jest *aki* czy *teru*, czyli „jasny”, tylko kolejna cyfra lub liczba: *mitsu*, a więc „trzy”. Hakumitsu. 壽, znak, który odczytałem jako *ju*, mógł znaczyć 十, czyli „dziesięć”; miał taką samą wymowę. Ujrzałem ciąg cyfr 三百三十! 330? Wytrzeszczonymi oczami przyjrzałem się ostatniemu znakowi i nagle przypomniał mi się pokój przesłuchań i moja pierwsza rozmowa z Choiem. Gdy spytałem go o japońskie nazwisko, odparł: „Niech pan nazywa mnie Ichiro” 一郎. Słowo *taro* 太郎, podobnie jak *ichiro*, znaczy „najstarszy syn”. 三百三十一 331. Choi Chi-su. Czy to możliwe? Czy to możliwe, że wciąż żył?

Ciekawość pokonała wahanie - ręce już rozrywały kopertę. Usprawiedliwiałem się tym, że moim obowiązkiem było przeglądanie

całej korespondencji przychodzącej. Wyjąłem kartkę brązowego papieru, takiego samego, jakiego używaliśmy w więzieniu. Co robiła w kopercie z Mandżurii? Nie powinienem jej otwierać. Ale było już za późno.

*

Szanowny Panie Naczelniku,

Przepraszam, że nie napisałem wcześniej. Mam nadzieję, że Pan to zrozumie - wróciłem do Mandżurii po tylu latach, że miałem dużo rzeczy do zrobienia. Wiem, że gdyby nie Pan, nie mógłbym napisać tego listu. Dlatego bardzo Panu dziękuję. Gdyby nie pomógł mi Pan, ryzykując wszystko, nie udało by mi się uciec z Fukuoki.

Dowodem tu zastępem złożonym z czterystu sześćdziesięciu żołnierzy ruchu wyzwolenczego. Tydzień temu rozbiliśmy trzy plutony Armii Kwantuńskiej. Stacjonujący w Mandżurii kontyngent jest teraz bezsilny. Wszystko dzięki Panu.

Najpierw wiadomość, na którą Pan czeka: niestety, tych trzech, których pan za mną wysłał, nie żyje. Nie byli tak inteligentni ani silni, jak Pan myślał, chociaż owszem, chronili mnie w drodze do Mandżurii przez Władawostok. Przeliczył się Pan, sądząc, że kilku karnych żołnierzy da mi radę w tym niebezpiecznym zakątku świata. Przez wzgląd na naszą starą zażyłość pochowałem ich w głębokim grobie, żeby nie zjadły ich wilki.

I kolejna wiadomość. Niestety, nie udało mi się odzyskać złota. Wiem, że wypuścił mnie Pan i wysłał za mną agentów tylko po to, ale na próżno. Nie, nie, nie przywłaszczyłem sobie Pańskiej części - to złoto nigdy nie istniało. Ale proszę nie myśleć, że Pana oszukałem. Mówiłem prawdę, bo rzeczywiście, tylko ja wiedziałem o wielkim skarbie ukrytym w Mandżurii. Nie wiedział Pan tylko, że chodziło mi o wyjście z więzienia, o bezcenną wolność. Ale Pan, człowiek chciwy, uznał, że mówię o złocie Armii Kwantuńskiej i pozwolił mi Pan uciec, żeby położyć na nim rękę. Ja znalazłem skarb, Pan nie. Na pewno zna Pan Hiranumę Tochu. Albo poetę Yuna Dong-ju. Yun nazywa to metaforą, prawdą ukrytą w fałszywym zdaniu.

Mam wielką prośbę. Chciałbym, żeby dotrzymał Pan za mnie słowa, które dałem Watanabe Yuichiemu, Pańskiemu strażnikowi. Obiecałem mu, że dowie się prawdy o życiu i śmierci Sugiyamy Dozana, ale chyba nie będę miał okazji z nim rozmawiać. Zresztą pewnie już wie, co dzieje się w Pańskim więzieniu, chociaż nie sędzę, by słyszał o naszej umowie. Proszę mu powiedzieć. Nawet jeśli Pan tego nie robi, jestem pewien, że Yuichi będzie w tym grzebał, dopóki się nie dogrzebie.

I druga prośba. Albo ostrzeżenie, jak Pan woli. Mam nadzieję, że więzionym przez Pana koreańskim zakładnikom nie stanie się nic złego. Gdyby się jednak stało, kopia tego listu trafi do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Jestem przekonany, że nie chciałby Pan zobaczyć, jak do więzienia wpadają agenci Specjalnej Wyższej Policji.

Dziękuję za to, że przez tyle lat karmił mnie Pan, ubierał i dawał mi miejsce do spania.

Więzień 331

Co się tu działo? Choi najwyraźniej wiedział, że przeczytam ten list. I w końcu w dwójnasób dotrzymał słowa: zrewanżował mi się za papier, który mu dałem, i zagwarantował, że dowiem się prawdy o śmierci Sugiyamy. Ogarnął mnie lęk. Doszukiwać się prawdy w tym zapomnianym przez Boga miejscu? Jaki w tym sens? Kogo obchodzi, że zamordowano jakiegoś strażnika? Mógłbym pójść łatwą drogą i spalić list. Trwała wojna, nikt by się nie zdziwił, że zaginał. Poza tym Hasegawa na pewno się go nie spodziewał. Drżąc w moich rękach, list czekał na wyrok. W końcu sięgnąłem po pieczęć: „Ocenzurowano”. List dotrze do naczelnika, który będzie wiedział, że go przeczytałem. Może zrobiłem coś, czego nie powinienem robić. I czego mogłem gorzko pożałować. Ale nie było już odwrotu.

BURZLIWE DNI

Wezwano mnie do gabinetu naczelnika. Przez całą wieczność stałem na baczność przed jego biurkiem, mimo to nie podniosłem wzroku znad gazety, której nagłówki krzyczały: *Wszystkie szkoły, od elementarnych po wyższe, przemianowane na szkoły wojskowe, Zarządzenie Ministerstwa Wojny obniża wiek poborowy. Znowu. Teraz brano do wojska piętnastoletnich chłopców. Ludzie rozmawiali tylko o jednym: o oporze narodowym. W końcu Hasegawa odłożył gazetę. Spojrzał na mnie z godnością lwa.*

- Dostałem list z Mandżurii.

Trząsałem się jak wiotka antylopa.

- Nie miałem wyboru, panie naczelniku - wymamrotałem na swoją obronę. - Mam przeglądać całą korespondencję przychodzącą.

Oczywiście obaj wiedzieliśmy, że od każdej zasady są wyjątki i powinienem przesłać mu list bez otwierania. Pilność równała się tym razem wypowiedzeniu wojny.

Hasegawa z trudem zachował spokój.

- O nic cię nie oskarżam. Spełniałeś swój obowiązek.

Myślałem, że mnie zwymyśla, i zdenerwowałem się jeszcze bardziej.

Naczelnik włożył do fajki trochę tytoniu i ubił go kciukiem.

- Wezwałem cię, ponieważ musisz o czymś wiedzieć.

Serce waliło mi jak młotem. Czułem, że teraz nie będzie niczego ukrywał ani unikał, i chciałem z tym wreszcie skończyć.

- Tak jest. Od pewnego czasu próbuję zrozumieć kilka rzeczy.

Hasegawa przypalił fajkę. Kilka razy głośno pyknął i pod sufit wzbijała się kręta smużka dymu.

- Na przykład jakich?

- Wiem tylko tyle, że w więzieniu dzieje się coś, co nie powinno mieć miejsca.

Naczelnikowi stężała twarz. Przeszedł mnie upiorny dreszcz.

- Nic takiego się nie dzieje - powiedział Hasegawa. - O czym ty mówisz?

- Lekarze z izby chorych przeprowadzają eksperymenty na zdrowych koreańskich więźniach. Próbują...

- Co chcesz wiedzieć? - warknął naczelnik.

- Czy Choi żyje?

Hasegawa zmarszczył brwi. Mocno posażł ustnik fajki i wypuścił kłąb białego dymu. Skinął głową.

Miałem do niego dziesiątki pytań, ale ponieważ nie wiedziałem, od którego zacząć, wykrztusiłem tylko:

- Jak to?

Naczelnik odprowadził wzrokiem smużkę dymu. Postukał fajką w popielniczkę. Pyknął z niej kilka razy na pusto.

- Dla Imperium. Utrzymywałem go przy życiu dla Imperium.

Kiedy go przywieziono, plotki o Koreańczyku, który rzucił bombą w cesarza, rozeszły się po więzieniu lotem błyskawicy. On jednak zasnurował usta i trzymał się na uboczu. Krążył po dziedzińcu jak zwierzę w klatce. Naczelnik zaczął go obserwować zza białych firanek już w dniu jego przyjazdu do Fukuoki. Czuł, że Choi knuje coś nawet wtedy, gdy bez słowa siedzi samotnie na słońcu. I chciał wiedzieć co. Kazał Kimowi Mang-gyo mieć go na oku i o wszystkim meldować. Już nazajutrz Choi został przeniesiony do jego celi. Otwarty i przyjazny Kim szybko zdobył zaufanie współtowarzysza, zaopatrując go w trudne do zdobycia artykuły oraz informacje od strażników.

Wkrótce przekazał naczelnikowi plotkę, że Choi ukrył wielki skarb pośród wzgórz Mandżurii. Z błyszczącymi oczami opowiadał, że Koreańczyk, który przed przybyciem do Japonii dowodził dużą grupą partyzantów, zaatakował oddział zaopatrzeniowy Armii Kwantuńskiej przewożący skarbiec stacjonujących w Mandżurii wojsk. Złoto jakoby ukrył w bezpiecznym miejscu, następnie przedostał się nielegalnie do Japonii. Hasegawa wybuchnął śmiechem. Nedoręczność. Banda rozwydrzonych zbirów nie mogła pokonać oddziału zaopatrzeniowego Armii Kwantuńskiej. Poza tym dlaczego Choi miałby zostawiać górę złota i wracać na wojnę?

Jednak wkrótce spróbował uciec. Ten stały bywalec karceru odepchnął na bok strażnika i popędził w stronę muru. Gdy już pobito go tak, że był nie do rozpoznania, Hasegawa przesłuchiwał więźnia osobiście. Spojrzał chciwie w jego zapuchnięte oczy i rzucił:

- Podobno jesteś generałem, tak? Dlaczego próbowałaś uciec?

- Ucieczka jest naczelną powinnością jeńca wojennego. Naczelnik uderzył go gniewnie pałką w twarz.
- Nie jesteś ani żołnierzem, ani jeńcem wojennym. Jesteś zwykłym przestępcą. I nie próbowałeś uciec, próbowałeś zginąć.
- Wszystko jedno. Jeżeli jedyną drogą ucieczki jest śmierć, niech zginę.

- Nieustraszeni jesteście, co? Dlaczego?
- Muszę coś załatwić.

Hasegawie przypomniały się nagle krążące plotki. A jeśli Choi rzeczywiście ukradł mandzurski skarb? Gdyby udało się go odzyskać, byłoby to niedoścignione wprost osiągnięcie. Zaczęła mu pulsować krew w skroniach. Ale nie, musiał być cierpliwy, musiał poczekać na właściwy moment. Podkręcił wąsa.

- Za próbę ucieczki grozi kara śmierci. Ale ten jeden, jedyny raz udam, że nic nie widziałem. Pójdiesz do karceru na dwa tygodnie. I jeśli znowu zrobisz coś głupiego, każę cię poszatkować kulami.

Zaraz po wyjściu z karceru Choi podjął kolejną próbę ucieczki. Tym razem ukrył się w rurze ściekowej pod murem. Strażnik robiący obchód natychmiast go wypatrzył. Hasegawa przesłuchał go po raz drugi. Z takim samym rezultatem. Choi wciąż utrzymywał, że ma coś do załatwienia. Naczelnik odesłał go z powrotem do karceru. Choi uciekł i spróbował wspiąć się na mur. I znowu Hasegawa wsadził go do karceru. Wyglądało to tak, jakby bawili się w kotka i myszkę. Za czwartym razem Choi ukrył się w ciężarówce przewożącej cegły z więziennej cegielni. Naczelnik kazał ją zatrzymać i rozładować. Spod góry cegieł wyłonił się pokryty pyłem Choi, który desperacko popędził w kierunku bramy. Strażnik na wieży wziął go na muszkę, obserwując rękę Hasegawy. Gdyby opadła, miał strzelać. Ale naczelnik spojrzał tylko na otaczających go strażników. Ci wyciągnęli pałki i rzucili się w pościg. Ledwo żywy Choi znowu trafił do pokoju przesłuchań. Hasegawa przyjrzał mu się uważnie. Dlaczego ten Koreańczyk tak uparcie próbuje uciec, wiedząc, że w każdej chwili może zginąć?

- Dlaczego to robisz? - spytał.

Choi nie odpowiedział.

Naczelnik rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy na pewno są sami.

- Milczysz, więc odpowiem za ciebie. Próbujesz uciec nie dlatego, że jest to obowiązek jeńca wojennego. Nie chodzi ci też o wolność twojego, pożałuj Boże, kraju.
- Nie? To dlaczego?
- Dla pieniędzy. Dla olbrzymiej ilości złota, które ukryłeś w

Mandżurii.

Choi spojrział na niego podbitymi oczami.

- O czym pan mówi?

- Przejrzałem akta w archiwum Ministerstwa Wojny. Jest w nich raport o antyjapońskim powstaniu w Mandżurii w latach trzydziestych. W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym koreańskie elementy niepodległościowe i komunistyczne zaatakowały oddział kwatermistrzowski Armii Kwantuńskiej. Pobiliśmy ich, lecz kosztem dużych strat w ludziach i zaopatrzeniu.

- I jest tam wzmianka o skradzionym złocie?

Hasegawa pokręcił głową.

- Trwała wojna. Wojsko nie ujawniłoby prawdziwego rozmiaru strat. Gdyby przepadła znaczna część funduszy wojskowych, rozstrzelano by dowódcę oddziału i kilku innych. To podstawa propagandy wojennej. Maksymalnie pomniejszać straty i powiększać znaczenie każdego zwycięstwa.

- Skąd pewność, że w ogóle skradziono jakieś złoto?

- Tego roku ministerstwo przydzieliło Armii Kwantuńskiej osiem tysięcy żołnierzy, w tym oddział wsparcia pułku, siedmiuset gwardzistów i trzystu zwiadowców. Wysłano szesnaście rozkazów celem otoczenia koreańskich i komunistycznych rebeliantów w Mandżurii. Nie zdarzyło się to nigdy przedtem ani potem. Co znaczy, że straty były ogromne. Musiano zrekonstruować kontyngent, wzmocnić czujność i ruszyć w pościg za antyjapońskimi elementami.

- Z jakim rezultatem?

- Odnieśliśmy częściowy sukces. Zlikwidowaliśmy ponad dwa tysiące uzbrojonych buntowników.

- W takim razie dlaczego częściowy?

Hasegawa uśmiechnął się znacząco.

- Nie ma tam ani jednej wzmianki o odzyskaniu skradzionego złota. Gdyby je odzyskano, na pewno zostałoby to odnotowane dla podkreślenia wielkiego zwycięstwa nad wrogiem.

- Więc gdzie ono jest?

- To ja pytam ciebie. - Naczelnik uśmiechnął się porozumiewawczo i Choi mimowolnie zacisnął usta. - Wiem, że te plotki są prawdziwe. Ryzykujesz życie, żeby stąd uciec i odzyskać złoto. Bo to ty zaatakowałeś ten oddział.

Hasegawa rozpiął kurtkę. Był gotów zawrzeć z nim układ. Najpierw musieli ustalić zasady. Choi był jedyną osobą, która wiedziała, gdzie jest złoto. Żeby je odzyskać, musiał uciec z więzienia. Hasegawa obiecał tego nie zauważyć. Złotem podzielił się po połowie.

Żeby Choi nie wystawił go do wiatru, będą go pilnowali uzbrojeni agenci. Naczelnik nie powiedział mu oczywiście, że mieli zabić go, kiedy tylko doprowadzi ich do skarbu. Najważniejszy był wiarygodny plan ucieczki. Rozważali różne opcje i wybrali najlepszą: Choi wykopie tunel, a Hasegawa uda, że nic o tym nie wie. Mogło to zająć miesiące, a nawet lata, ale plan musiał być wykonany perfekcyjnie.

Choi zaczął coraz częściej trafiać do karceru i ściągać tam innych Koreańczyków. Kiedy on i jego ludzie kopali tunel, wszystkie cele były zwykle zajęte. Gdy do końca zostało im ledwie piętnaście metrów, pojawił się problem: Sugiyama. Strażnik obserwował go, zwrócił spisek i ze szlachetnym ogniem w oczach zameldował o tym Hasegawie.

- Sugiyama - łagodził naczelnik - ja wiem, co się dzieje. Dziękuję za pański trud, ale proszę się tak nie ekscytować. Tu chodzi o coś większego. Niech pan o tym zapomni.

Sugiyama nie mógł tego zrozumieć. I ciągle myślał tylko o tym, jak uniemożliwić więźniowi ucieczkę. Zaprowadził Koreańczyka do pokoju przesłuchań i stłukł go na miazgę. Potem oświadczył, że jeśli Choi zasypie tunel, on o wszystkim zapomni. Tylko tyle mógł zrobić, żeby wypełnić rozkaz naczelnika i jednocześnie nie dopuścić do ucieczki. Więzień nie mógł go zlekceważyć, ponieważ Sugiyama codziennie zaglądał do tunelu. Hasegawa był sfrustrowany, a Choi nie miał żadnego ruchu. I wtedy Sugiyama zginął.

- Kto go zabił? - spytałem załamującym się głosem.

- Choi, przecież wiesz. Nieważne, kto go zadźgał i powiesił. Jego śmierć umożliwiła dalszą realizację planu.

Pokręciłem głową.

- Wykorzystał pan do tego śmierć strażnika?

- Takie to było ważne. Martwy strażnik to martwy strażnik. Gdyby Sugiyama wiedział, że jego śmierć przyczyni się do zwycięstwa Imperium, na pewno byłby szczęśliwy.

- Ale jak o tego doszło?

- Było za późno na dokończenie tunelu. Wysłętk wojenny coraz bardziej słabł, nie mieliśmy czasu na wahanie. Dlatego zmieniliśmy plan i uznaliśmy, że najlepszym sposobem ucieczki będzie egzekucja. A żeby do niej doszło, Choi musiał zostać oskarżony o zabójstwo Sugiyamy. - Hasegawa rozciągnął usta w uśmiechu.

Jego zarozumiałstwo przyprawiało mnie o mdłości. Z wściekłości i

urazy trząś mi się podbródek.

- A więc przydzielił mi pan śledztwo, żebym go oskarżył? Czy mój awans też był częścią planu?

Naczelnik zrobił zawstydzoną minę.

- Przepraszam - powiedział. - Naprawdę mi przykro. Ale idealnie się do tego nadawałeś. Jesteś odpowiednio naiwny i pełen najlepszych intencji. Nie mogłem ci powiedzieć, o co chodzi. Tak czy inaczej, zrobiłeś, co się dało, zwłaszcza w tej sytuacji. Wykryłeś mordercę i przyczyniłeś się do realizacji planu.

A więc to dlatego Choi tak szybko się przyznał. Byłem tylko marionetką. Tak ciężko pracowałem: te nieprzespane noce, te dni pełne wyrzutów sumienia - wszystko na nic. Tylko mnie w nic nie wtajemniczono.

- Jak już mówiłem - ciągnął łagodnie Hasegawa - dobrze się sprawiłeś. Twoim zadaniem było dać się nam nabrać.

- Zrobił pan ze mnie głupca i marionetkę! - krzyknąłem z oburzeniem.

- Możliwe. Jednak marionetki są czasem niezbędne. Choi uciekł i udało nam się odzyskać cesarskie złoto.

- Przecież plan nie wypalił! Tych trzech agentów nie żyje. I nie było żadnego złota!

- Nie, nie. Sprawdziłem w archiwum. Choi rzeczywiście zaatakował oddział kwatermistrzowski i ukradł dużą ilość złota. Wyśle za nim gwardzistów. Musimy je odzyskać! - Hasegawa miał wy pieki na twarzy.

- Niech pan sobie daruje. Dał się pan oszukać. Wie pan dlaczego? Nie próbował pan odzyskać złota dla cesarstwa, chciał pan zatrzymać je dla siebie. Gdyby było inaczej, zameldowałby pan o tym ministrowi wojny albo Specjalnej Wyższej Policji. Wołał więc pan zachować to w tajemnicy. Gdyby nie własna chciwość, od razu przejrzałby pan jego plan.

- To znaczy?

- Pierwszą próbę ucieczki, ten absurdalny skok na mur, Choi podjął tylko po to, żeby osobiście go pan przesłuchał. Przedtem rozpuścił plotkę o ukrytym złocie i zapowiedział, że spróbuje uciec. Zdawał sobie sprawę, że nie ma szans. Ale kiedy zamiast go rozstrzelać, wysłał go pan do karczeru, zyskał pewność, że uwierzył pan w krążące po więzieniu pogłoski. Ponieważ tylko on wiedział, gdzie jest ten mityczny skarb, sądził również, że pan go nie zabije. Potem próbował uciec jeszcze kilka razy. Pokazał, że gotów jest poświęcić życie, udowodnił, że naprawdę ma coś do załatwienia. A

pan coraz bardziej mu wierzył.

- Bzdura.

- Pewnie myślał pan, że nigdy nie da się nabrać, ale sam pan się o to prosił. Chciał mu pan wierzyć. Uwierzył pan w tę historyjkę, bo jest pan chciwy.

- Chciwy? - Hasegawa przeszył mnie wzrokiem i z trzaskiem odłożył pałkę na biurko. - Czy chciwością jest wierność cesarstwu i pragnienie zwrotu skradzionego złota narodowi?

Zamarłem. Za dużo powiedziałem. Musiałem wybierać. Jeśli zabiorę tajemnicę naczelnika do grobu, nic mi nie będzie groziło. Jeżeli zachowam ten sekret dla siebie, czas spokojnie popłynie dalej i przeżyję.

- Czy wasz plan od początku zakładał śmierć Sugiyamy? Potrzebował pan ofiary, żeby Choi wyszedł na mordercę?

Hasegawa pokręcił głową.

- Sugiyama nie miał nic wspólnego z naszym planem. Po prostu wszedł nam w drogę. Gdyby nie odkrył tunelu albo posłuchał mojej rady, nic by mu się nie stało. Okazał się uparty i Choi nie mógł się go pozbyć. To jeszcze nie wszystko. Sugiyama dopuścił się zdrady. Celowo zadawał rany niektórym więźniom, żeby nie skierowano ich na kurację. Choćby Hiranumie. Po jego śmierci dopilnowaliśmy, żeby to się zmieniło.

Zrobili tak, jak podejrzewałem. Dopiero teraz dotarło do mnie, dlaczego Midori uważała, że Sugiyama nie był złym człowiekiem.

- To dlatego go pan zabił?

Hasegawa pokręcił głową.

- Wykorzystałem jego śmierć, ale go nie zabiłem. Nie słuchał rozkazów i był zdrajcą, ale był również bohaterem wojennym. Bardzo dla mnie cennym.

- W takim razie kto go zabił?

Wzrok naczelnika przewiercił mi czaszkę i niespójne dotąd fragmenty układanki nareszcie zaczęły układać się w całość.

Przeraźliwie krzyżąc, wybiegłem z gabinetu.

Po krótkiej chwili wpadłem do gabinetu dyrektora Morioki. Akurat odkładał słuchawkę telefonu.

- Yuichi - powitał mnie jak zwykle z przyjazną twarzą. - Właśnie dzwonił naczelnik. Podobno chcesz mnie o coś spytać. - Mówił jedwabistym głosem.

Spojrzałem na niego nabiegłymi krwią oczami.

- Proszę o współpracę. Chodzi o śledztwo w sprawie zabójstwa Sugiyamy Dozana.

- Wciąż je prowadzisz? Przecież schwytaliście sprawcę i je zakończono. Nie masz nic lepszego do roboty? - Posłał mi współczujące spojrzenie.

Musiałem wyrzucić z siebie narastającą wściekłość.

- Przestępca został ujęty, ale sprawa wciąż jest otwarta. Bo to nie Choi był mordercą. Sugiyamę zabił ktoś inny.

- Tak? A kto?

Wzięłem głęboki oddech.

- Ktoś stąd, ze szpitala.

- Yuichi, kto ci naopowiadał takich bzdur? - spytał Morioka słodkim jak syrop głosem, żeby mnie rozbroić.

Musiałem go sprowokować, rozeźlić.

- Usta Sugiyamy zszyto nicią chirurgiczną. Igła i nici: to oczywiste, że ten przekłety drań jest lekarzem. Ale był niechlujny.

- A dowodem na to jest...

- Widziałem zwłoki. Szew był krzywy. Sprawca tak się pewnie trząsał z przerażenia, że uciekł, nie zaciskając węzła. - Kłamałem w żywe oczy: szew był precyzyjny, nienaganny. Ale robiłem, co mogłem, żeby zamącić mu w głowie.

Leciutko zadrżały mu kąciki oczu. Uśmiechnął się.

- Nie chlap językiem, jeśli nic nie wiesz. Po co lekarz z wydziału medycyny Cesarskiego Uniwersytetu Kiusiu miałby zabijać jakiegoś strażnika? - Spojrzał na mnie z dobronliwym wyrazem twarzy, ale w jego ciepłym uśmiechu dostrzegłem cień gniewu.

Głośno przełknąłem ślinę.

- Sugiyama wiedział, co się dzieje w izbie chorych. Próbował walczyć z tymi mordercami. Bił więźniów, żeby na nich nie eksperymentowano. Jego jedyną winą było to, że miał serce.

Morioka uśmiechnął się z politowaniem i poprawił okulary na nosie.

- Niemal całkowicie się mylisz, chociaż tak, po części masz rację. Sugiyama był zdrajcą i musiał zostać wyeliminowany. Należało mu zasznurować usta.

- Zdrajcą?

- Jako strażnik przysięgał oddać życie za cesarza. Zapomniał jednak, kim jest. Rozmawiałem z nim kilka razy, ale nie chciał mnie słuchać. Kiedyś był wspaniałym żołnierzem, lecz okazał się farbowanym lisem. Zapewniam cię, że stanowił problem, który trzeba było

usunąć.

Nie wiedziałem, co robić.

- Yuichi - ciągnął łagodnie Morioka. - Mam nadzieję, że cię nie zaraził. Jesteś za młody i za dobry, żeby zepsuła cię ideologia zdrady.

- To nie on stanowił problem! - krzyknąłem. - Problemem jesteśmy my, my pozostali!

- Wiem, że młodym trudno się z tym pogodzić. Ale nasz kraj prowadzi wojnę! Jako żołnierz musisz być tego świadomy!

- To nie ja ją zacząłem! Ci, którzy rozpętali tę wojnę, zamordowali tysiące ludzi tylko po to, żeby zdobyć więcej władzy. I zapłacą za to. Muszą zapłacić! - Wiedziałem, że posuwam się za daleko, lecz teraz nie mogłem już przestać.

Morioka wciąż miał łagodny wyraz twarzy.

- Jesteś młodym, inteligentnym człowiekiem, który ma przed sobą jasną przyszłość. Nie jesteś głupi i okrutny jak Sugiyama. Wierzę w ciebie.

Nie byłem na tyle odważny, by narażać się na śmierć. Chciałem żyć. Tak jak radził mi Choi, jak prosił mnie Dong-ju, chciałem przetrwać.

Morioka widział, że mierzę się z tym dylematem, więc uśmiechnął się szeroko.

- Sugiyama nie żyje. To nieodwracalne. Musimy zrobić wszystko, żeby jego śmierć nie poszła na marne. Będziemy się modlić, żeby trafił do lepszego miejsca. Chociaż był strasznym człowiekiem, jego odejście może być dla nas cenne.

Poczułem gwałtowne mdłości. Zasłoniłem ręką usta i podbiegłem do ściany. Zwymiotowałem, a Morioka pogłaskał mnie po plecach.

- Widzisz? Udajesz twardziela, ale tak naprawdę jesteś bardzo łagodny. Obrzydliwe: takie jest właśnie życie. Odnajdziesz jeszcze swoją drogę. Ufam, że zapomnisz o wszystkim, co usłyszałeś dziś w tym gabinecie. Prawda?

Wybiegłem. Nie mogłem zrobić nic, żeby to powstrzymać. Dobił mnie ten potworny spisek. Chciałem komuś o nim powiedzieć, ale nie miałem komu. A nawet gdybym miał, nikt by mi nie uwierzył. Byłem pewny, że nikt już temu nie zaradzi.

INNA SPOWIEDŹ

W lipcu nadpłynęło wilgotne powietrze znad oceanu. Na ścianach cenzorni wykwitł czarnosiny grzyb. Naloty trwały. W schronie było jak w ciemnym grobie. Ciągle gapiłem się w mrok. Wspominałem twarze martwych i żywych. Ja należałem do tych, którzy ocalili, i było mi wstyd.

W sierpniu wilgoć przeniknęła do więzienia. Grzyb rozpełznął się na wsporniki. Naloty przybierały na sile, liczba ofiar rosła, miasta zmieniały się w masowe groby, głosy w radiu stawały się coraz bardziej rozgorączkowane i oburzone. Ale ja żyłem dalej. Już samo to sprawiało, że czułem się jak przestępca. Przymykałem oczy, kupowałem gładkie kłamstwa i żyłem pośród zła. A prawda mogła żyć tylko we mnie. Wojna się przeciągała.

Szóstego i dziewiątego sierpnia zbombardowano Hiroszimę i Nagasaki. Wszystko spaliło się i wyparowało. Wojna skończyła się piętnastego. Kiedy się o tym dowiedziałem, policzyłem na palcach, ile czasu spędziłem już bez Yuna Dong-ju: pół roku bez jednego dnia. Zmarł ledwie sześć miesięcy przed wyzwoleniem ojczyzny. Byłem zbyt zmęczony, żeby się cieszyć. I tak oto uciekłem od tych plugawych czasów.

EPILOG

PROTOKÓŁ Z PRZESŁUCHANIA JAPONSKIEGO PRZESTĘPCY WOJENNEGO

DATA: 29 października 1946 r.

MIEJSCE: więzienie w Fukuoce

PRZESŁUCHUJĄCY: kapitan Mark Haley, śledczy z Departamentu
Sprawiedliwości Dowództwa Obszaru Pacyfiku

PRZESTĘPCA: D29745 Watanabe Yuichi

TŁUMACZ: Nakashima Kyotaro

HALEY: Przeczytaliśmy obszerny dokument, który sporządził pan podczas rocznego pobytu w areszcie. Czy to wszystko, co ma pan do powiedzenia?

WATANABE: Tak.

HALEY: Jeśli te zeznania okażą się ściśle, może pan stanąć przed sądem oskarżony o zbrodnie wojenne. Czy pan to rozumie?

WATANABE: Tak. Nie napisałem tego, żeby się bronić. To jest po prostu świadectwo tego, co widziałem podczas wojny.

HALEY: Czy to prawda? Czy fikcja?

WATANABE: Prawda i fikcja. Wplotłem w prawdę kilka fikcyjnych elementów.

HALEY: Czy opisy eksperymentów na ludziach, które przeprowadzali lekarze z wydziału medycyny Cesarskiego Uniwersytetu Kiusiu, są oparte na faktach?

WATANABE: Tak.

HALEY: Czy słyszał pan o amerykańskim samolocie bombowym B-29, który lądował awaryjnie na Kiusiu w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku?

WATANABE: Nie.

HALEY: Czy wie pan coś o jedenastu lotnikach, którzy byli na jego pokładzie?

WATANABE: Nie.

HALEY: Zachodnia Kwaterna Główna, której podlega Kiusiu, skazała porucznika Williama Fredericksa oraz ośmiu innych na śmierć bez procesu. Słyszał pan o tym?

WATANABE: Nie.

HALEY: Nasze śledztwo ujawniło, że na prośbę naukowców z wydziału medycyny Cesarskiego Uniwersytetu Kiusiu wysłano ich do szpitala więziennego w Fukuoce. Wie pan o tym?

WATANABE: Nie.

HALEY: Dokumenty więzienne nie wspominają o kuracji medycznej, o której pan pisze.

WATANABE: Mieliśmy rozkaz spalić wszystkie po zakończeniu wojny. Byłem cenzorem i ten obowiązek należał do mnie. Zebrałem dokumenty z wartowni, cenzorni i gabinetu naczelnika i je spaliłem.

HALEY: Dlaczego napisał pan o czymś, o czym nikt inny nie chciał mówić?

WATANABE: Ponieważ ktoś musi się o tym dowiedzieć. Nie mogę dopuścić do tego, żeby to, co widziałem, popadło w zapomnienie.

HALEY: Dlaczego nie zebrał pan po prostu suchych faktów? Dlaczego napisał pan to w formie powieści?

WATANABE: Powieść ujawnia czasem więcej prawdy niż fakty. Chciałem powiedzieć prawdę, ale nie potrafiłem ująć jej tak, jak ją widziałem.

HALEY: Uważa się pan za niewinnego?

WATANABE: Nie, jestem winny. Nie reagowałem.

HALEY: Czy chce pan coś dodać?

WATANABE: Czy może pan otworzyć okno? Dong-ju chciałby na pewno popatrzeć dzisiaj na gwiazdy.

YUN DONG-JU

Pod koniec XIX wieku wielu Koreańczyków zaczęło emigrować do Mandżurii, aby uciec przed nasilającym się głodem w północnej Korei. Pradziadek Dong-ju przeniósł się tam z rodziną około 1886 roku. Yun Dong-ju, najstarszy syn Yuna Yeong-seoka i Kim Yong, urodził się trzydziestego grudnia 1917 roku w wiosce Ming-dong w prefekturze Helong w prowincji Jiandao w Mandżurii.

Już jako dziecko wykazywał talent poetycki. W 1935 roku przeniósł się do gimnazjum Sungsil w Pyeongyangu, które rok później zamknięto za to, że odmówiło modłów w japońskiej świątyni shintoistycznej. Dong-ju wrócił do Mandżurii, gdzie ukończył szkołę średnią i gdzie zaczął publikować wiersze w czasopiśmie. W 1938 roku wstąpił do college'u Yeonhui w Seulu (obecnie Uniwersytet Yonsei). Tam zaczął zgłębiać historię i literaturę koreańską, tam też zainteresował się ruchem nacjonalistycznym. Wciąż pisząc i publikując, w 1940 roku uczęszczał na zajęcia poświęcone Kościołowi Hyeopseong oraz studiom biblijnym na kampusie żeńskiego college'u Ewha.

W 1941 ukończył studia. Dla uczczenia tej okazji, wybrał dziewiętnaście wierszy do swojego pierwszego tomiku zatytułowanego *Niebo, wiatr, gwiazdy i poezja*. Jednak trzy z nich, *Krzyż*, *Smutne plemię* oraz *Inny dom*, zostały ocenzurowane. Bojąc się o bezpieczeństwo poety, jego profesor namówił go do zmiany planów i Dong-ju oddał mu na przechowanie kilka kopii rękopisu; trafiły one również do rąk jego przyjaciela Jeonga Byeong-uka.

Pod koniec 1941 roku rodzina Dong-ju zmieniła nazwisko na Hirayama, żeby poeta mógł łatwiej dostać się na studia w Japonii. Rok później Dong-ju przeniósł się do Tokio i wstąpił na wydział literatury angielskiej na Uniwersytecie Rikkyo. Tego lata po raz ostatni odwiedził rodzinny dom. Jesienią przeniósł się na Uniwersytet Doshisha w Kioto.

W lipcu 1943 roku aresztowano go jako przestępcę politycznego i skonfiskowano wszystkie jego dzieła. W 1944 roku został oskarżony i

skazany na dwa lata w więzieniu w Fukuoce za pogwałcenie Aktu utrzymania porządku publicznego.

Osiemnastego lutego 1945 roku rodzina Dong-ju otrzymała telegram z wiadomością o jego śmierci; w więzieniu jego ojciec i kuzyn widzieli pięćdziesięciu kilku Koreańczyków stojących w kolejce do izby chorych, gdzie robiono im zastrzyki. Władze więzienne poinformowały ich, że Dong-ju zmarł szesnastego lutego o trzeciej trzydzieści sześć. Młody japoński strażnik podszedł do nich i powiedział: „Tuż przed śmiercią Dong-ju coś głośno krzyknął”. Jego ciało zostało skremowane, przewiezione do domu i pochowane na przykościelnym cmentarzu. Na pogrzebie recytowano *Autoportret* i *Nową drogę*.

W maju 1945 roku jego rodzina postawiła na cmentarzu kamień nagrobny z napisem „Grób poety Yuna Dong-ju”. Piętnastego sierpnia 1945 roku Japonia została pokonana i Korea odzyskała niepodległość. W 1947 roku w gazecie „Kyunghyang Sinmun” po raz pierwszy ukazał się *Wiersz łatwo ułożony*, a w 1948 przyjaciel poety, Jeong Byeong-uk, opublikował tomik wierszy pod tytułem *Niebo, wiatr, gwiazdy i poezja*, składający się z trzydziestu jeden utworów, które Dong-ju oddał mu na przechowanie.

W 1977 roku uzyskano dostęp do *Miesięcznego raportu Specjalnej Wyższej Policji*, opublikowanego podczas okupacji japońskiej, i ujawniono stenogram z przesłuchania Dong-ju. W 1982 roku, trzydzieści siedem lat po śmierci poety, upubliczniono jego wyrok. W 1985 roku profesor Omura z Uniwersytetu Waseda w Japonii oraz przedstawiciele władz miasta Yanbian odkryli grób Dong-ju w miejscowości Longjing w Chinach.

Yun Dong-ju jest jednym z najbardziej znanych i szanowanych koreańskich poetów. Jego wierszy uczą się uczniowie w całym kraju.

OD AUTORA

Ta książka jest utworem literackim. Aby dokładnie opisać tamte czasy, korzystałem z wielu źródeł. Wiersze Yuna Dong-ju pochodzą z jego jedyne opublikowanego tomiku. Występujące w powieści postaci oraz ich czyny są całkowicie fikcyjne. Proszę o wyrozumiałość potomnych poety.

Nie napisałbym tej powieści bez książek o Yunie Dong-ju i jego dziełach, takich jak *The Complete Collection of Yun Dong-ju's Poetry* wydanej przez Hong Jang-hak (Munhakgwa Jisongsa), *Noc liczenia gwiazd* wydanej przez Lee Nam-ho (Minumsa World Poetry) oraz pism i materiałów opublikowanych przez niezliczonych badaczy, których jest zbyt wielu, bym wymienił wszystkie nazwiska, prac takich jak *The Critical Biography of Yun Dong-ju* Song U-hye (Purun Yeoksa), *Yun Dong-ju -1 Study of Korean Modern Poet* autorstwa Lee Geon-che-onga (Munhak Segyesa) czy *If Spring Comes to My Star -Yun Dong-ju's Life and Literature* Go Ungi (Sanha).

MATERIAŁY ŹRÓDŁOWE

- Dobrej nocy* Wilhelma Mullera w koreańskim przekładzie Chi-Younga Kima: www.recmusic.org/lieder/get_text.html?TextId=11830;
- Selected Poems of Francis Jammes* w przekładzie Barry'ego Gifforda i Bettiny Dickie (Utah State University Press), 1976;
- Dzień jesienny* Rainera Marii Rilkego w przekładzie Mary Kinzie; „Poetry”, kwiecień 2008;
- German Love: from the Papers of an Alien* Friedricha Maxa Mullera w przekładzie Susanny Winkworth (Chapman and Hall), 1858;
- Słowa *Va, pensiero* Giuseppe Verdiego: <http://classicalmusic.about.com/od/classicalmusic/tips/qt/Va-Pensiero-Lyrics-And-Text-Translation.htm>;
- Pamiętniki Malte-Lauridsa Brigge* w przekładzie Burtona Pike'a (Dalkey Archive Press), 2008;
- Listy Vincenta van Gogha do Thea van Gogha*, Aries, poniedziałek 9 lub wtorek 10 lipca 1888: Muzeum van Gogha i Huygens ING, www.vangoghletters.org/vg/letters/let638/letter.html;
- Zbrodnia i kara* Fiodora Dostojewskiego w przekładzie Constance Garnett ze wstępem Ernesta J. Simmonsa (Dell Publishing), 1959;
- Cierpienia młodego Wertera* Johanna Wolfganga von Goethego, w przekładzie R.D. Boylana (Norilana Books), 2008.